

**JOHN leCARRE**

**Perfekcyjne morderstwo**

Przekład

Michał Ronikier

Tytuł oryginału A MURDER OF QUALITY

R

1

**CZARNE ŚWIECE**

Wielkość Carne School przypisywana jest, za powszechną zgodą, W Edwardowi VI, któremu -jak twierdzą historycy -pasję edukacyjną zaszczerpił książę Somerset. Sama szkoła chętniej powołuje się na autorytet monarchy niż na dyskusyjną politykę jego doradcy, czerpiąc siłę z założenia, że wielkie szkoły, podobnie jak królowie z dynastii Tu-dorów zawdzięczają swe istnienie woli Niebios.

Wielkość szkoły istotnie graniczy z cudem. Ufundowana przez mm-chów, obdarzona zapisem przez chorowitego młodego króla, wyciąg"\*; ta z niepamięci przez wiktoriańskiego tyrana, potrafiła otrząsnąć z siebie LtSny pył i dostosować się wspaniale do wymogów XX wieku. Tw mgnieniu oka ta prostaczka z Dorset stała się ulubienicą Londynu; kopciuszek zamienił się w królową. Carne School miała łacińskie pergaminy woskowe pieczęcie i tereny zieleni za opactwem. Miała posia-E ziemskie, krużganki, korniki, pręgierz, przy którym wymierzano karę chłosty, i własny zapis w koronnych ks.ęgach wieczystych - czegoż więcej

trzeba, by nauczać potomków bogatych rodzin?

I potomkowie ci istotnie tu przyjeżdżali. W pierwszym dniu każdego semestru (jako że nazwa „okres” brzmi nie dość 7<^L»"\* popołudnie z zatrzymujących się na stacji pociągów wys.adałygrupk posepnych, ubranych na czarno chłopców. Inni przyjeżdżał, wielkimi samochodami, lśniącymi jak karawany. Można by odnieść wrażenie, że przyjeżdżają na pogrzeb biednego króla Edwarda, ciągnęli bowiem po brukowanych uliczkach wózki z bagażami lub nieśli kufferki podobne do ma-^ch trumienek. Niektórzy z nich mieli na sobie togi, w których wyglądali jak wrony lub jak przybywające na pogrzeb czarne anioły LdidL«L nie stukając obcasami i przypominając karawamarzy. W Carne wszysce byli zawsze pogrążeni w żałobie; mali chłopcy- ponieważ musieli tu zostać, starsi - ponieważ mieli niebawem wyjechać, nauczyciele zaś -ponieważ ich prestiż nie był godziwie opłacany. Obecnie, kiedy semestr wielkopostny (jak nazywano tu drugi okres) dobiegał końca, nad szarymi wieżami szkoły wisiały jak zwykle ciemne obłoki smutku.

Smutek i chłód. Chłód był przenikliwy i ostry jak krzemień. Smagał twarze chłopców, którzy wolnym krokiem wracali ze szkolnych boisk po zakończeniu meczu. Przenikał przez czarne kapelusze i zamieniał ich wysokie kołnierzyki w lodowate, zaciśnięte wokół szyi obręcze.

Przemarznięci do szpiku kości schodzili z boiska i szli otoczoną z obu stron murami drogą wiodącą w kierunku miasteczka i sklepu. Drużyna rozpadała się stopniowo na mniejsze grupki, te zaś dzieliły się na pary. Dwaj chłopcy, którzy zdawali się jeszcze bardziej przemarznięci niż ich koledzy, przeszli na drugą stronę drogi i szli wąską ścieżką w kierunku bardziej odległego, ale mniej uczęszczanego sklepu z ciastkami.

- Chyba skonam, jeśli każą mi oglądać jeszcze jeden z tych cholernych meczów rugby. Ten hałas jest okropny - powiedział jeden z nich, wysoki, jasnowłosy młodzieniec, który nazywał się Caley.
- Chłopcy wrzeszczą tylko dlatego, że z trybuny obserwują ich nauczyciele - odparł drugi. - Dlatego wszyscy uczniowie danej klasy muszą stać razem. Żeby opiekunowie klas mogli się przechwalać, jak głośno krzyczą ich podopieczni.
- A w dodatku ten Rode - dodał Caley. - Dlaczego stoi razem z nami i każe nam się drzeć? Przecież nie jest nauczycielem, tylko cholernym woźnym!
- Przez cały czas podlizuje się opiekunom klas. Zauważ, jak kręci się po dziedzińcu podczas pauz, zabiegając o ich względy. Tak robią wszyscy młodszy nauczyciele. - Rozmówca Caley, cyniczny rudowłosy chłopak nazwiskiem Perkins, był starostą klasy, którą opiekował się pan Fielding.
- Byłem na podwieczorku u tego Rode'a - oznajmił Caley.
- Rode jest okropny. Nosi brązowe buty. Jaki był ten podwieczorek?
- Nudny. To zabawne, jak oni wszyscy obnażają się przy takich okazjach. Ale pani Rode jest zupełnie znośna, naturalna, choć na dość prostacki sposób; ozdobne serwetki i porcelanowe ptaszki. Jedzenie było dobre, skromne, ale smaczne.
- Rode ma w przyszłym semestrze prowadzić szkolenie wojskowe. To powinno go uspokoić. Jest taki strasznie gorliwy i tak okropnie się stara. Od razu widać, że nie jest dżentelmenem. Czy wiesz, jaką szkołę kończył?
- Nie.
- Państwowe liceum w Branxome. Fielding powiedział o tym mojej matce, kiedy przyjechała z Singapuru w zeszłym semestrze.
- Mój Boże. Gdzie jest Branxome?

- Nad morzem. Niedaleko Bornemouth. Ja nie byłem na podwieczorku u nikogo, z wyjątkiem Fieldinga. - Perkins zrobił drobną pauzę. - Pieczone kasztany i naleśniki. Nigdy nie pozwala sobie za nic dziękować. Twierdzi, że tylko klasy niższe okazują emocje. To typowe dla Fieldinga. Nie przypomina wcale innych nauczycieli. Myślę, że chłopcy go nudzą. Zaprasza każdego raz w semestrze na podwieczorek, w grupach, po czterech naraz. Poza tym właściwie z nami nie rozmawia.

Przez chwilę maszerowali w milczeniu. Potem odezwał się Perkins.

- Fielding wydaje dziś kolejną kolację.

- Ostatnio naprawdę wychodzi z siebie - stwierdził z dezaprobatą Caley. - Jedzenie w waszej stołówce jest chyba jeszcze gorsze niż zwykle?

To jego ostatni semestr przed emeryturą. Chce do końca semestru podjąć u siebie kolejno wszystkich nauczycieli, razem z żonami. Co wieczór czarne świece. Na znak żałoby. Kretyńska ekstrawagancja.

Tak. Sądzę, że to coś w rodzaju pozy.

- Mój pater twierdzi, że Fielding jest gejem.

Przeszli na drugą stronę drogi i zniknęli w cukierni, w której nadal rozmawiali o doniosłych sprawach dotyczących pana Terence'a Fieldinga, dopóki Perkins nie pożegnał się niechętnie. Jako słaby uczeń z przedmiotów ścisłych musiał niestety uczęszczać na dodatkowe zajęcia. Kolacja, o której wspominał tego popołudnia Perkins, dobiegała końca. Pan Terence Fielding, starszy opiekun klasowy szkoły Carne, dolał sobie odrobinę porto i ze znużeniem przesunął karafkę w lewą stronę. Było to jego porto; najlepsze, jakie miał. Wiedział, że posiadany zapas wystarczy mu do końca semestru, i nie myślał, co będzie potem. Był trochę zmęczony po obejrzeniu meczu, trochę pijany i trochę znudzony

towarzystwem Shane Hecht i jej męża. Shane była strasznie brzydka. Tęga i potężnie zbudowana, wyglądała jak emerytowana Walkiria. I te czarne włosy. Powinien był zaprosić kogoś innego. Może państwa Snów... choć on jest zbyt przemądrzały.

Albo Feliksa D'Arcy... ale D'Arcy przerywał... Postanowił, że za jakiś czas postara się zirytować Charlesa Hechta, który weźmie urazę do serca i wcześniej pójdzie do domu.

Hecht kręcił się nerwowo, mając ochotę zapalić fajkę, ale Fielding nie zamierzał na to przyzwolić. Skoro Hecht chciał palić, mógł zapalić cygaro.  
""^^^M\*!

Fajka pozostanie w kieszeni jego smokinga, gdzie jest zapewne jej miejsce, a on zachowa reputację sportowca.

- Może cygaro, Hecht?

- Nie, dziękuję, Fielding. Prawdę mówiąc, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- Mogę polecić te cygara. Młody Havelake przysłał mi je z Hawany. Czy wiecie, że jego ojciec jest tam ambasadorem?

- Oczywiście, mój drogi - powiedziała łagodnie Shane. - Vivian Have-lake służył w oddziale Charlesa, kiedy Charles był komendantem kadetów.

- Niezły chłopak, ten Havelake - oznajmił Hecht i zacisnął usta, jakby chciał pokazać, że jest surowym sędzią.

- To zabawne, jak wszystko się zmieniło - powiedziała pospiesznie Shane Hecht z raczej wymuszonym uśmiechem, jakby wcale nie uważała tego za zabawne. - Żyjemy teraz w takim bezbarwnym świecie. Pamiętam, jak przed wojną Charles dokonywał przeglądu oddziałów na białym koniu.

Teraz już nie ma takiego zwyczaju, prawda? Nie mam nic przeciwko temu

nowemu komendantowi, panu Iredale. Czy wiesz może, Te-rence, w jakim on służył pułku? Jestem pewna, że stara się jak najlepiej prowadzić szkolenie i robić wszystko, czego się teraz wymaga... i tak łatwo znajduje wspólny język z chłopcami. A jego żona jest bardzo miłą osobą... ciekawa jestem tylko, dlaczego uciekają od nich wszystkie służące. Słyszałam, że od przyszłego semestru pan Rode pomoże mu w prowadzeniu zajęć.

- Biedny mały Rode - powiedział powoli Fielding. - Biega w kółko jak szczeniak próbujący zasłużyć na ciasteczko. Tak bardzo się stara... Czy widzieliście kiedyś, jak organizuje doping podczas szkolnych meczów? A wiecie, że dopóki tu nie przyjechał, nigdy nie widział meczu rugby? W szkołach państwowych nie grają w rugby - wyłącznie w piłkę nożną. Czy pamiętasz jego przyjazd, Charles? To było fascynujące. Na początku przyczał się i wszystko obserwował: nas, nasze gry, nasz sposób mówienia i sposób bycia. Potem, pewnego dnia, jakby odzyskał mowę i zaczął mówić naszym językiem. Było to zdumiewające, jak operacja plastyczna. Oczywiście wszystkiego tego dokonał Feliks D'Arcy... ale nigdy przedtem nic podobnego nie widziałem.

- Droga pani Rode - stwierdziła Shane Hecht tonem abstrakcyjnej obojętności, który rezerwowała dla swych najbardziej jadowitych wypowiedzi. - Jest taka miła... i ma tak niewyszukane gusta, nie uważacie? Komu na przykład przyszłoby do głowy, żeby wieszać na ścianie te porcelanowe kaczki? Duże od frontu, małe z tyłu. Czy nie sądzicie, że to urocze?

Wygląda to jak w jednej z tych herbaciarni. Ciekawa jestem, gdzie je kupiła. Muszę ją o to spytać. Podobno jej ojciec mieszka gdzieś pod Borne-mouth. Musi się tam czuć bardzo samotny, prawda? To takie

wulgarne miejsce i nie ma nikogo, z kim można by porozmawiać.

Fielding rozsiadł się wygodnie i oceniał wygląd własnego stołu. Srebra były dobre. Słyszał, jak ktoś mówił, że najlepsze w Carne, i był skłonny zgodzić się z tą opinią. W tym semestrze ozdabiał stół wyłącznie czarnymi świecami. Czuł, że wszyscy będą o tym pamiętać, nawet po jego odejściu.

„Drogi stary Terence - wspaniały pan domu. W ciągu ostatniego semestru podejmował na kolacjach cały personel, łącznie z żonami. Czarne świece... to dość wzruszające. Pękało mu serce, kiedy musiał zrezygnować z prowadzenia swojej klasy". Ale musi teraz zirytować Charlesa Hechta. Shane powinna być z tego zadowolona. Shane będzie go popierać, bo nienawidzi Charlesa, a poza tym kryje w swym wielkim, brzydkim cielsku przebiegłą naturę węża.

Fielding spojrzał na Hechta, a potem na jego żonę. Shane wyszczerzyła do niego zęby w leniwym, przewrotnym uśmiechu ładaczniczy. Przez chwilę wyobraził sobie, jak Hecht konsumuje to rozlane ciało; była to scena godna Lautreca... tak, właśnie Lautreca! Nadęty Charles, w cylindrze, siedzi sztywno na pluszowej narzucie; z opasłego, obwisłego ciała Shane emanuje nuda. Obraz ten rozbawił go; odczuł perwersyjną przyjemność, przenosząc tego durnia Hechta ze spartańskiej czystości Carne do burdelu dziewiętnastowiecznego Paryża...

Fielding zaczął mówić, a raczej prawić z namaszczeniem, zabarwiając swój głos tonem przyjaznego obiektywizmu, na który Hecht musiał zareagować irytacją.

- Kiedy patrzę wstecz na trzydzieści lat, jakie spędziłem w tej szkole, zdaję sobie sprawę, że osiągnąłem mniej niż zmiatacz ulic. - Oboje spojrzeli na niego z uwagą. - Uważałem niegdyś zmiataczy ulic za osoby

postawione niżej niż ja. Obecnie wydaje mi się to wątpliwe. Kiedy gdzieś jest brudno, zamiatacz ulic doprowadza teren do stanu czystości i w świecie dokonuje się pewien postęp. Aleja, czego właściwie dokonałem? Popierałem klasę rządzącą, która nie wyróżnia się ani talentem, ani kulturą, ani inteligencją; pomagałem przedłużyć o jedno pokolenie podziały klasowe należące do starego świata.

Charles Hecht, który nie nauczył się dotąd ignorować wypowiedzi Fieldinga, poczerwieniał gwałtownie i poruszył się na krześle.

- Ale przecież uczymy czegoś naszych podopiecznych, prawda, Fielding? Czy zapominasz o naszych sukcesach, o stypendiach, jakie zdobywają uczniowie?

Ja osobiście nigdy nikogo niczego nie nauczyłem, Charles. Zwykle dlatego że dany chłopiec nie był wystarczająco pojętny, czasem dlatego, że ja byłem zbyt głupi. Widzisz, większość chłopców traci zdolność percepcji w okresie dojrzewania. Zachowują ją tylko nieliczni, a wtedy nasza szkoła usilnie stara się ją wykorzenić. Jeśli nasze wysiłki nie powiodą się, dany chłopiec zdobywa stypendium... Nie miej do mnie żalu, Shane, to mój ostatni semestr.

- Ostatni czy nie ostatni, moim zdaniem gadasz głupstwa - powiedział z gniewem Hecht.

- Taka jest tradycja naszej szkoły. Te sukcesy, o których mówisz, to w gruncie rzeczy porażki; sukcesy odnoszą ci nieliczni chłopcy, którzy nie dali się zdominować. Odrzucili panujący w szkole kult przeciętności. Nie możemy nic dla nich zrobić. Ale dla reszty, dla gapowatych małych kleryków i ślepych małych żołnierzy, maksyma Carne wypisana jest na ścianie, i oni właśnie nas nienawidzą.



Hecht roześmiał się z wyraźnym przymusem.

- Więc dlaczego, skoro nas nienawidzą, tak często tu przyjeżdżają?

Dlaczego pamiętają o nas i składają nam wizyty?

- Ponieważ, mój drogi Charlesie, to my jesteśmy tym napisem na ścianie!

To jedyna rzecz, której nauczyli się w Carne, i nigdy o niej nie zapomną.

Przyjeżdżają tu z wizytą, żeby nas odczytywać, czy tego nie rozumiesz?

To od nas nauczyli się tajemnicy życia: jak starzeć się, nie nabierając mądrości. Zdają sobie sprawę, że w czasie dorastania nic się nie wydarza;

nikt nie zostaje oślepiiony tajemniczym światłem w drodze do Damaszku,

nikt nie uświadamia sobie gwałtownie, że stał się człowiekiem dojrzałym.

Fielding odchylił głowę w tył, by przyrzeć się tandetnej wiktoriańskiej sztukaterii zdobiącej sufit i otoczce brudu zbierającego się wokół gipsowej róży.

- Po prostu stawaliśmy się coraz starsi. Opowiadaliśmy te same dowcipy, snuliśmy te same myśli, mieliśmy takie same aspiracje. Z roku na rok, Hecht, byliśmy tymi samymi ludźmi: ani mądrzejszymi, ani lepszymi. Nikt z nas nie wpadł w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat swego życia na żaden oryginalny pomysł. Oni widzą, że wszystko to jest humbug; Carne i my; nasze akademickie togi, nasze żarty w klasach, nasza skłonność do udzielania świątłych pouczeń, i dlatego przyjeżdżają tu rok po roku, porzucając na chwilę swe nieciekawe, bezbarwne życie; po to, by spojrzeć z fascynacją na mnie i na ciebie, jak dzieci stojące nad grobem, szukające rozwiązania zagadki życia i śmierci. Tak, tego właśnie się od nas nauczyli. Hecht przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

10

- Czy podać ci karafkę, Charlesie? - spytał Fielding, bardziej ugodowym

tonem, ale Hecht nadal nie spuszczał z niego wzroku.

- Jeśli mówisz to żartem... - zaczął, a jego żona zauważyła z satysfakcją, że naprawdę jest bardzo rozgniewany.

- Sam chciałbym to wiedzieć - odparł Fielding z udaną szczerością.

-Naprawdę sam chciałbym to wiedzieć. Kiedyś myślałem, że mieszanie komedii z tragedią jest dowodem inteligencji. Teraz chciałbym umieć je rozróżnić. - Był dość zadowolony z tej wypowiedzi.

Potem pili w salonie kawę i pan domu skierował rozmowę na plotki, ale Hecht nie dał się w nie wciągnąć. Fielding zaczął żałować, że nie pozwolił mu zapalić fajki. Potem przypomniał sobie swą paryską wizję państwa Hecht i to podniosło go na duchu. Czuł, że jest tego wieczoru w dobrej formie. Chwilami udawało mu się przekonać samego siebie, że mówi prawdę.

Kiedy Shane poszła po płaszcz, obaj mężczyźni czekali w przedpokoju, ale żaden z nich nie odezwał się słowem. Shane wróciła po chwili, niosąc na ramieniu pożółkłą ze starości gronostajową etolę. Przechyliła głowę na prawo i z uśmiechem podała Fieldingowi rękę, kierując palce w dół.

- Terence, kochany - powiedziała, gdy składał pocałunek na jej tłustej dłoni - bardzo miło, że nas zaprosiłeś. To twój ostatni semestr. Musisz przyjść do nas na kolację przed wyjazdem. To takie smutne. Zostało nas już tak mało. - Uśmiechnęła się ponownie, przymykając oczy, by zademonstrować swój żal, po czym wyszła w ślad za mężem na ulicę.

Było nadal przenikliwie zimno i zanosiło się na śnieg.

Fielding - może odrobinę zbyt wcześnie, niż to dyktowały wymogi uprzejmości - zamknął za nimi drzwi i starannie je zaryglował, po czym wrócił do jadalni. Kieliszek, z którego Hecht pił porto, był napełniony do

połowy. Fielding wziął go ze stołu i ostrożnie wlał jego zawartość z powrotem do karafki. Miał nadzieję, że Hecht nie jest zbyt rozdrażniony; był zły, kiedy ktoś go nie lubił. Zdmuchnął czarne świece i dogasił je, ściskając palcami knoty. Zapaliwszy światło, wyjął z komody tani notatnik i otworzył. Zawierał listę gości, których miał zaprosić na kolację przed końcem semestru. Wiecznym piórem starannie zrobił krzyżyk obok nazwiska Hecht. Miał ich z głowy. W środę będzie podejmował państwa Rode. On był człowiekiem na poziomie, ale ta jego piekielna żona... Nie wszystkie pary małżeńskie były takie jak oni. Kobiety wydawały mu się z reguły o wiele bardziej sympatyczne.

Otworzył komódkę i wyjął z niej butelkę koniaku oraz kieliszek.

Trzymając je w jednej ręce, poczłapał ze znużeniem do salonu, opierając się

drugą ręką o ścianę. Boże! Zdał sobie nagle sprawę, że jest okropnie stary; poczuł obręcz bólu wokół klatki piersiowej oraz ciężar nóg i stóp. Jakiego wysiłku wymagało przebywanie w towarzystwie - przez cały czas miał wrażenie, że występuje na scenie. Nienawidził samotności, ale ludzie nieznośnie go nudzili. Będąc sam, czuł się jak człowiek, który jest zmęczony, ale nie może usnąć. Pamiętał, jak cytował kiedyś jakiegoś niemieckiego poetę, który powiedział: „Ty możesz spać, ale ja muszę tańczyć”. Czy coś w tym rodzaju.

Taki właśnie jestem, myślał Fielding. Taka właśnie jest cała szkoła Carne. Stary satyr tańczący w takt muzyki. Muzyka robiła się coraz szybsza, a ich ciała starzały się, ale musieli tańczyć dalej, bo za kulisami czekali młodszy. Kiedyś bawiło ich wykonywanie starych tańców w nowych czasach. Dolał sobie jeszcze trochę koniaku. W pewnym sensie był zadowolony, że

odchodzi, choć wiedział, że będzie musiał uczyć w jakiejś innej szkole. Choć Carne miało swój urok... dziedziniec opactwa wiosną... barwne sylwetki chłopców oczekujących na rozpoczęcie nabożeństwa... przychodzenie i odchodzenie uczniów, przypominające zmianę pór roku... umieranie starych... Żałował, że nie potrafi malować; namalowałby procesję uczniów szkoły wugrowych brązach jesieni... Jaka szkoda, myślał, że istota tak wrażliwa na piękno nie ma talentu twórczego. Spojrzał na zegarek. Za kwadrans dwunasta. Pora udać się na spoczynek. .. nie po to, by spać, lecz po to, by tańczyć.

### CZWARTKOWY NASTRÓJ

Był czwartkowy wieczór i w redakcji „Głosu Chrześcijańskiego” właśnie oddano do druku najnowszy numer. Nie było to bynajmniej epokowe wydarzenie dla świata prasy. Nawet pryszczaty posłaniec z drukarni, który zabrał przed chwilą stertę odbitek szczotkowych, okazał tylko tyle szacunku, ile nakazywała mu nadzieja na otrzymanie świątecznej premii. Wiedział zresztą, że świeckie dzienniki wydawane przez firmę Unipress są znacznie bardziej hojne niż „Głos Chrześcijański”. Hojność poszczególnych redakcji była bowiem ściśle związana z wysokością nakładu.

Panna Brimley, redaktorka pisma, poprawiła nadmuchiwą poduszkę, na której s<sup>ga</sup>)j<sup>pp</sup>\$V9WVF®iWieJ sekretarka i zastępczyni w jed-,,

### BIBLIOTEKA PUBLICZNA

Filia w Brzeica

nej osobie ziewnęła, wrzuciła do torebki buteleczkę aspiryny, poprawiła włosy i życząc jej dobrej nocy, wyszła, pozostawiając za sobą silny zapach

pudru oraz puste pudełko po papierowych chusteczkach. Panna Brimley słuchała z ulgą odgłosu jej oddalających się kroków. Była zadowolona, że jest wreszcie sama i może rozkoszować się spokojem, jaki zajął teraz miejsce poprzedniego napięcia. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jest tak bardzo przejęta, wchodząc w każdy czwartek rano do budynku Unipress i jadąc w górę ruchomymi schodami jak bagaż ładowany na luksusowy statek pasażerski. Przecież redagowała „Głos” już od czternastu lat i niektórzy twierdzili, że jest to najrzetelniej wydawane pismo koncernu Unipress. A jednak witała każdy czwartek w tym samym nastroju; zawsze odczuwała niepokój wywołany obawą, że któregoś dnia, może właśnie dziś, nie będą gotowi, kiedy zjawi się goniec z drukarni. Często się zastanawiała, jakie byłyby tego skutki. Słyszała o niepowodzeniach innych redakcji wchodzących w skład tej potężnej maszyny wydawniczej, o odrzuconych numerach, o naganach, jakie otrzymywał personel. Nie mogła zresztą pojąć, dlaczego właściwie koncern nie zrezygnował dotąd z wydawania pisma, które zajmuje drogi lokal na siódmym piętrze, choć jego nakład jest tak mały, że wpływy pokrywają zaledwie koszty zakupu spinaczy do papieru.

„Głos” został ufundowany na przełomie wieków przez starego lorda Landsbury równocześnie z jakimś dziennikiem sekty nonkonformistów i z organem Towarzystwa Wstrzemięźliwości. Oba te pisma dawno już zmarły śmiercią naturalną, a syn lorda został poinformowany niedawno, że cała jego firma wydawnicza, wraz z personelem, meblami, atramentem i spinaczami do papieru, przeszła w wyniku poufnej transakcji na własność koncernu Unipress.

Było to przed trzema laty i od tej pory panna Brimley codziennie

oczekiwała dymisji. Ale jak dotychczas się nie doczekała; nie wydawano jej żadnych poleceń, nie zadawano żadnych pytań, nie zwracano się do niej z żadnymi sprawami. A zatem, jako kobieta rozsądna, prowadziła pismo dokładnie tak samo jak dawniej i przestała się zastanawiać nad jego perspektywami.

Praca ta sprawiała jej zresztą satysfakcję. Łatwo było szydzić z „Głosu”. Pismo dostarczało co tydzień, skromnie i bez fanfar, dowodów na ingerencję Boga w sprawy świata. Co tydzień prostym, dalekim od naukowego żargonu językiem opowiadało dzieje Żydów. Co tydzień też udzielało (w rubryce sygnowanej pseudonimem) matczynych rad wszystkim, którzy zechcieli o nie poprosić. Redakcja „Głosu” jakby nie przyjmowała do wiadomości istnienia pięćdziesięciomilionowej rzeszy ludzi,

13

którzy nigdy nie słyszeli o piśmie. Jego czytelnicy stanowili coś w rodzaju rodziny, więc zamiast pomstować na obcych, robiła co mogła dla swoich. Dla nich starała się zachować życzliwość i optymizm, z myślą o nich dostarczała informacji. Kiedy w Indiach umierał na skutek epidemii milion dzieci, cotygodniowy artykuł wstępny dotyczył cudownego ocalenia rodziny metodystów w hrabstwie Kent, której udało się uciec z płonącego budynku. „Głos” nie doradzał swym czytelnikom, jak ukryć zmarszczki pod oczami ani jak zapobiegać tyfii; nie irytował ludzi starych swą wieczną młodością. Był pismem w średnim wieku należącym do klasy średniej: zalecał dziewczętom ostrożność i wszystkich nakłaniał do ofiarności wobec ubogich. Nonkonformizm jest najbardziej konserwatywną z ludzkich postaw, toteż rodziny, które zaprenumerowały

„Głos" w roku 1903, prenumerowały go nadal w roku 1960.

Sama panna Brimley nie była osobą, którą należałoby koniecznie identyfikować z jej pismem. Losy wojny i wymogi pracy w wywiadzie doprowadziły do jej kontaktu z młodszym lordem Landsbury i przez sześć wojennych lat działali wspólnie, sprawnie i dyskretnie, w anonimowym budynku na terenie londyńskiej dzielnicy Knightsbridge. Po zawarciu pokoju oboje zostali bez pracy, ale zdrowy rozsądek i hojność skłoniły lorda Landsbury do zaoferowania jej posady. W czasie wojny „Głos" przestał się ukazywać i wydawało się, że nikomu nie zależy na jego wskrzeszeniu. Początkowo panna Brimley czuła się niezręcznie jako osoba, która ma na nowo powołać do życia i wydawać czasopismo bynajmniej nie-odzwierciedlające jej mgliście deistycznego światopoglądu, ale niebawem - gdy zaczęły nadchodzić wzruszające listy prenumeratorów i nakład wrócił do poprzedniej wysokości - polubiła swą posadę - oraz czytelników - i przestała żywić tego rodzaju wątpliwości. „Głos" stał się jej życiem, a jego czytelnicy zajęli najważniejsze miejsce w jej myślach. Starła się odpowiadać na ich dziwaczne, niepokojące pytania, szukała rady u innych w przypadkach, w których nie umiała udzielić jej sama, i wkrótce, pod szeregiem pseudonimów, stała się jeśli nie ich intelektualnym przewodnikiem, to w każdym razie ich doradcą, przyjacielem i ich wspólną ciotką.

Panna Brimley zgasła papierosa, podświadomie ułożyła szpilki, spinacze, nożyczki i klej w górnej prawej szufladzie biurka i sięgnęła po popołudniową pocztę, której, ponieważ był to czwartek, dotychczas nie tknęła. Było w niej wiele listów adresowanych do Barbary Fellowship. Pod tym właśnie pseudonimem pismo, od początku swego istnienia,

odpowiadało na pytania licznych korespondentów, zarówno listownie, jak i na łamach specjalnej rubryki. Panna Brimley doszła do wniosku, że mogą  
14

one poczekać do jutra. Lubiła tę „problemową korespondencję”, ale czytała ją zawsze w piątek rano. Otworzyła stojącą obok biurka szafkę na dokumenty i wrzuciła listy do odpowiedniej przegródki. Jeden z nich odwrócił się i panna Brimley stwierdziła ze zdziwieniem, że druga strona koperty ozdobiona jest eleganckim wizerunkiem niebieskiego delfina. Wyjęła list z przegródki i przyjrzała mu się z ciekawością, obracając go wielokrotnie w palcach. Koperta wykonana była z niebieskiego, delikatnie liniowanego, papieru. Widać było, że jest kosztowna, być może wykonana ręcznie. Pod delfinem widniała wypisana drobnymi literami inskrypcja, którą z trudem udało jej się odczytać: „Regem defendere diem videre”. Stempel pocztowy zawierał nazwę miejscowości: Carne, Dor-set. Musiała to być firmowa papeteria szkoły. Ale z czym kojarzyła jej się szkoła w Carne? Panna Brimley była dumna ze swej znakomitej pamięci i wpadała w irytację, kiedy nie mogła się w niej czegoś doszukać. W końcu otworzyła kopertę nożem z wyblakłej kości słoniowej i przeczytała list.

Droga Panno Fellowship,  
nie wiem, czy jest Pani autentyczną osobą, ale nie ma to znaczenia, ponieważ zawsze udziela Pani takich dobrych, życzliwych rad. To ja pisałam do Pani w czerwcu w sprawie przepisu na ciasto.

Nie jestem obłąkana i wiem, że mój mąż próbuje mnie zabić. Czy mogłabym przyjechać i zobaczyć się z Panią w najbliższym dogodnym dla Pani terminie? Jestem pewna, że Pani mi uwierzy i zrozumie, że jestem zupełnie normalna.



Bardzo proszę o wyznaczenie możliwie jak najbliższego terminu, ponieważ boję się długich nocy. Nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym się zwrócić. Mogłabym pójść do pana Cardew w naszym kościele, ale on mi nie uwierzy, a mój ojciec jest człowiekiem zbyt racjonalnym. Z moim mężem dzieje się coś złego. Czasem w nocy, kiedy myśli, że śpię, leży, patrząc w ciemność. Wiem, że nie należy snuć takich myśli i nosić lęku w naszych sercach, ale nie potrafię tego opanować. Mam nadzieję, że nie dostaje Pani wiele takich listów.

Szczerze oddana Stella Rode (z domu Glaston)

Panna Brimley siedziała przez chwilę nieruchomo za biurkiem, wpatrując się w wydrukowany niebieskimi literami elegancki nagłówek papieru listowego: NORTH FIELDS, CARNE SCHOOL, DORSET. Była oszołomiona i zaskoczona, ale w jej umyśle rozbrzmiewało wyraźnie jedno zdanie: „Wartość informacji zależy od źródła ich pochodzenia”. Było to ulubione powiedzenie Johna Landsbury. Dopóki nie znasz pochodzenia informacji, nie możesz ocenić raportu. „Nie jesteśmy demokratyczni - zwykli

15

mawiać. - Zamykamy drzwi na informacje, które nie mają dobrego pochodzenia”. A ona odpowiadała zazwyczaj: „Zgoda, John, ale nawet najlepsze rodziny musiały się od czegoś zacząć”.

Stella Rode miała dobre pochodzenie. Panna Brimley przypomniała już sobie całą jej historię. To ona była tą panną Glaston, o której małżeństwie wspomniano w artykule wstępnym, dziewczyną, która wygrała letni konkurs „Głosu”. Była córką Samuela Glastona z Branxome. Miała swoją kartę w katalogu panny Brimley.

Panna Brimley wstała gwałtownie i trzymając nadal w ręku list, podeszła do niezastłoniętego okna. Na parapecie stała nowoczesna biała skrzynka z metalowej plecionki. To dziwne, pomyślała, że nigdy nie udało mi się wyhodować w tej skrzynce żadnej rośliny. Wyrzuciła przez okno, nachylając się nieco; ulica tonęła we mgle, którą zabarwiały na żółto płonące w dole światła Londynu. Blade i posępne latarnie uliczne były ledwie widoczne. Panna Brimley odczuła nagle potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem i pod wpływem impulsu, nie licującego z jej zwykłym opanowaniem, szeroko otworzyła okno. Wdarł się przez nie gwałtownie uliczny hałas, a w ślad za nim podstępna mgła. Huk wydawany przez pojazdy był nieprzerwany i przypominał warkot jakiejś wielkiej maszyny. Potem dotarły do niej głosy gazeciarzy. Ich okrzyki przypominały wrzaski, jakie wydają mewy, czując nadchodzącą burzę. Po chwili dojrzała ich nieruchome sylwetki, kontrastujące z cieniami spieszących do domu przechodniów.

Mogła to być prawda. Na tym zawsze polegała trudność. Przez całą wojnę bez wytchnienia prowadziła takie poszukiwania. Mogła to być prawda. Nie można było ocenić prawdopodobieństwa meldunku, dopóki nie miało się pewnego kwantum wiedzy o przedmiocie. Przypomniała sobie pierwsze napływające z Francji meldunki o latających bombach, opowieści o betonowych pasach startowych zbudowanych w głębi lasów. Trzeba było z dystansem odnosić się do patosu tych informacji, opierając mu się. A jednak mogła to być prawda. Jutro lub pojutrze ci gazeciarze mogą wykrzykiwać tę prawdę, a Stella Rode z domu Glaston może już nie żyć. Skoro więc tak, skoro istnieje choćby najmniejsza możliwość, że ten mężczyzna zamierza zamordować tę kobietę, ona, Ailsa Brimley, musi

zrobić co w jej mocy, by temu zapobiec. Poza tym Stella Glaston ma prawo domagać się od niej pomocy; zarówno jej ojciec, jak i jej dziadek byli prenumeratorem „Głosu”, więc kiedy Stella wychodziła przed pięciu laty za mąż, panna Brimley zamieściła o tym krótką wzmiankę w artykule wstępnym. Państwo Glaston przysyłali co

16

rok kartkę na Boże Narodzenie. Ich przodkowie należeli do pierwszych prenumeratorów pisma...

Od okna płynął chłód, ale stała przy nim nadal, zafascynowana widokiem poruszających się dole cieni, oświetlonych mgliście bladym światłem ulicznych latarni. Zaczęła utożsamiać owego człowieka z jedną z tych sylwetek; wyobrażała sobie jego pospieszne ruchy, jego ledwie dostrzegalne w mroku oczy mordercy, i nagle poczuła, że się boi i sama potrzebuje pomocy.

Ale nie ze strony policji, jeszcze nie. Gdyby Stelli Rode o to chodziło, sama mogłaby pójść na policję. Dlaczego tego nie zrobiła? Z miłości? Z obawy, by się nie ośmieszyć? Dlatego że przeczucia nie są dowodami? Policja żąda faktów. Ale faktem wynikającym z morderstwa jest śmierć. Czy koniecznie trzeba na nią czekać?

Kto mógłby pomóc? Natychmiast pomyślała o Johnie Landsbury, ale on zajmował się uprawą roli w Rodezji. Kto jeszcze współpracował z nimi podczas wojny? Fielding i Jebedee już nie żyją, Steed Asprey zniknął. Smiley... gdzie jest Smiley? George Smiley, najbystrzejszy i może najdziwniejszy z nich wszystkich. Oczywiście... teraz przypomniała sobie wszystko. Zawarł to niesłychane małżeństwo i wrócił do Oksfordu, by zająć się pracą naukową. Ale nie został tam... Małżeństwo się rozpadło...

Co robił później?

Podeszła do biurka i wzięła książkę telefoniczną. W dziesięć minut później jechała już taksówką w kierunku Sloane Square. W dłoni ukrytej pod starannie naciągniętą rękawiczką trzymała kartonową teczkę zawierającą akta Stelli Rode ze spisu prenumeratorów oraz odpisy korespondencji, jaką prowadziły ze sobą podczas owego letniego konkursu. Była już blisko Piccadilly, kiedy przypomniała sobie, że nie zamknęła okna od swego pokoju w biurze. Ale wydało się jej to niezbyt istotne.

- Inni ludzie hodują perskie koty albo grają w golfa. W moim życiu miejsce to zajmują „Głos” i jego czytelnicy. Wiem, że jestem śmieszną starą panną, ale tak wygląda prawda. Nie pójdę na policję, dopóki nie spróbuję sama czegoś zrobić, George.

- I tak wpadłeś na pomysł, żeby zwrócić się do mnie?

- Owszem.

Siedzieli w gabinecie George'a Smileya w jego domu przy Bywater Street; jedynym źródłem światła była wymyślna stojąca na biurku lampa: czarny pajak, który rzucał jasny blask na pokrywające biurko rękopisy.

- A więc odszedłeś ze służby? - spytała.

Tak, odszedłem. - Przytaknął energicznym kiwnięciem głowy, jakby upewniając samego siebie, że naprawdę ma już za sobą te okropne

2 - Perfekcyjne morderstwo

17

przeżycia, i przyrządził panie Brimley whisky z wodą sodową. -

Wróciłem tam jeszcze na jakiś czas po... pobycie w Oksfordzie. Wiesz, w czasie pokoju wszystko to wygląda zupełnie inaczej. Panna Brimley kiwnęła głową.

- Mogę sobie wyobrazić. Więcej czasu na wymianę złości. Smiley nie skomentował jej uwagi, tylko zapalił papierosa i usiadł naprzeciw niej.

- I ludzie się zmienili. Fielding, Steed, Jebedee. Wszyscy odeszli

-powiedział rzeczowym tonem, sięgając po wyciągnięty przez nią z torebki list Stelli Rode.

To jest ten list, George.

Skończywszy czytać, podszedł na chwilę do lampy; na jego oświetlonej twarzy malowała się w tym momencie niemal komiczna gorliwość.

Przyglądająca mu się panna Brimley próbowała zgadnąć, jakie wrażenie musi wywierać na ludziach, którzy go dobrze nie znają.

Zawsze wydawał jej się najmniej godnym zapamiętania mężczyzną, jakiego znała; był niski, tęgi i łysawy, a w dodatku nosił okulary o grubych szklach i robił na pierwszy rzut oka wrażenie typowego kawalera w średnim wieku, który całe życie pracował za biurkiem, ale nie odniósł żadnego sukcesu. Jego wrodzoną nieudolność we wszystkich sprawach praktycznych odzwierciedlały stroje - kosztowne i fatalnie uszyte -jako że zdawał się we wszystkim na swego krawca, który niemiłosiernie go okradał.

Położył list na stojącym obok małym intarsjowanym stolyczku i spojrzał na nią bezradnie.

- A ten drugi list, który od niej dostałaś, Brim? Gdzie on jest? Podała mu kartonową teczkę. Otworzył ją i po chwili przeczytał na głos drugi list Stelli Rode:

Droga Panno Fellowship,

chciałabym zgłosić do Waszego konkursu na porady kuchenne następujący pomysł:

Jak przygotować ciasto przeznaczone do wypieku ciastek, aby można je robić tylko raz na miesiąc? Należy zmieszać starannie równe ilości cukru i masła i dodać jedno jajko na każde piętnaście deka mieszaniny. Do puddingów i ciast należy dodać odpowiednią ilość mąki.

Takie ciasto można przechowywać przez miesiąc.

Załączam zaadresowaną kopertę ze znaczkiem.

Szczerze oddana, Stella Rode (z domu Glaston)

18

PS Przy okazji: aby drucziana gąbka do zmywania naczyń nie rdzewiała, należy ją trzymać w słoiku z mydlinami. Czy wolno zgłosić dwa pomysły? Jeśli tak, to pragnę zgłosić ten jako drugi.

- Wygrała ten konkurs - stwierdziła panna Brimley - ale nie w tym rzecz. Oto, co chcę ci powiedzieć, George. Ona jest z domu Glaston; jej rodzina czytała „Głos” od chwili jego powstania. Dziadkiem Stelli był Rufus Glaston, król garncarzy z Lancashire. Razem z ojcem Johna Landsbury zbudowali kaplice i kościoły praktycznie we wszystkich miasteczkach na terenie środkowej Anglii. Kiedy Rufus umarł, „Głos” wydał specjalny numer, a stary Landsbury osobiście napisał nekrolog. Samuel Glaston przejął firmę swego ojca, ale musiał przenieść się na południe ze względu na stan zdrowia. Skończył gdzieś pod Bornemouth jako wdowiec zjedną córką. Wszyscy członkowie tej rodziny, łącznie ze Stella, są najbardziej praktycznymi ludźmi, jakich możesz sobie wyobrazić. Nie sądzę, by któryś z nich cierpiał kiedykolwiek na omamy lub manię prześladowczą. Smiley patrzył na nią ze zdumieniem.

- Moja droga Brim, nie jestem w stanie tego pojąć. Jakim cudem wiesz o tym wszystkim?

Panna Brimley uśmiechnęła się pokornie.

- Z Glastonami to łatwa sprawa; są niemal częścią składową naszego pisma. Przysyłaj ą kartki na Boże Narodzenie i pudełka czekoladek z okazji rocznic powstania „Głosu”. Mamy około pięciuset rodzin, które tworzą naszą tak zwaną bazę. Czytywały „Głos” od samego początku i pozostały z nami do tej pory. Oni do nas pisują, George; kiedy są czymś zatroskani, informują nas o tym listownie; kiedy się pobierają, przeprowadzają, przechodzą na emeryturę, kiedy są chorzy, przygnębieni lub czymś dotknięci, również nam o tym donoszą. Niezbyt często, Bóg mi świadkiem, ale dość regularnie.

- Jak ty to wszystko zapamiętujesz?

- Nie muszę. Prowadzę kartotekę. Widzisz, zawsze im odpisuję... tylko że...

Tylko że co? Panna Brimley spojrzała na niego z uwagą.

To jest pierwszy przypadek, aby ktoś pisał do nas dlatego, że się czegoś boi.

- Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

- Jak dotąd przyszedł mi do głowy tylko jeden pomysł. Przypominam sobie, że Adrian Fielding miał brata, który uczył w Carne...

- Jest tam opiekunem klasy, o ile nie przeszedł na emeryturę.

19

- Nie, odchodzi po tym semestrze, czytałam o tym przed kilku tygodniami w „Timesie”; w tej rubryce poświęconej wydarzeniom na uczelniach, w której szkoła zawsze się reklamuje. Wzmianka brzmiała: „Carne School rozpoczyna dziś Semestr Wielkopostny. Pan T. R. Fielding przejdzie na emeryturę po zakończeniu semestru, odbywszy statutową piętnastoletnią

kadencję na stanowisku opiekuna klasy".

Smiley roześmiał się.

- Doprawdy, Brim, twoja pamięć jest nieprawdopodobna!

To dlatego, że zwróciłam uwagę na nazwisko Fielding... Tak czy owak, pomyślałam, że mógłbyś do niego zatelefonować. Musisz go przecierzyć znać.

Tak, tak. Znam go. W każdym razie spotkałem go raz przy stole profesorskim w Magdalen College. Ale... - Smiley zaczerwienił się lekko.

- Ale co, George?

- No wiesz, on nie jest takim samym człowiekiem jak jego brat.

- A jak mógłby być? - spytała dość ostrym tonem panna Brimley. - Ale może byłby w stanie powiedzieć ci coś o tej Stelli Rode. I o jej mężu.

- Nie sądzę, żeby udało mi się to załatwić przez telefon. Chyba raczej pojedę tam i spotkam się z nim osobiście. Ale dlaczego nie zadzwonisz do Stelli Rode?

- No... nie mogę zrobić tego dziś wieczorem, prawda? Jej mąż będzie teraz w domu. Zamierzałam wysłać jeszcze dzisiaj list i poinformować ją, że może w każdej chwili przyjechać i zobaczyć się ze mną. Ale - ciągnęła, poruszając z lekka niecierpliwie stopą - chciałabym zrobić coś od razu, George.

Smiley kiwnął głową i podszedł do telefonu. Nakręcił numer informacji i poprosił o numer Terence'a Fieldinga. Po dłuższym oczekiwaniu dowiedział się, że musi zadzwonić pod numer centrali szkoły, która połączy go z żądanym abonentem. Panna Brimley, obserwując go, żałowała, że nie zna lepiej George'a Smileya, że nie wie, na ile jego skromność jest pozą, w jakim stopniu jest naprawdę wrażliwy.



- Jest najlepszy - mawiał Adrian. - Najsilniejszy i najlepszy.

Ale tylu ludzi straciło swą siłę podczas wojny, dowiedziało się o wielu potwornych rzeczach i z dreszczem niechęci zrzuciło po jej zakończeniu brzemie swej wiedzy.

Smiley uzyskał już połączenie. Usłyszała sygnał dzwoniącego telefonu i przez chwilę poczuła, że ogarnia ją lęk. Po raz pierwszy w życiu bała się, że wyjdzie na idiotkę, że będzie musiała coś nieprzekonująco tłumaczyć sztywnym, podejrzliwym ludziom.

- Czy mogę mówić z panem Terence'em Fieldingiem...? - Pauza. -Dobry wieczór, panie Fielding. Mówi George Smiley. Podczas wojny

20

byłem bliskim znajomym pańskiego brata. W gruncie rzeczy poznaliśmy się kiedyś... Tak, tak, ma pan rację, w Magdalen College, chyba latem ubiegłego roku? No więc, chciałem spytać, czy mogę przyjechać i zobaczyć się z panem w pewnej osobistej sprawie... trudno byłoby rozmawiać o niej przez telefon. Moja przyjaciółka otrzymała dość niepokojący list od żony jednego z waszych wykładowców... Rode, Stella Rode, jej mąż...

Smiley zeszywniał nagle, a obserwująca go uważnie panna Brimley zauważyła, że na jego puciołowatej twarzy pojawił się wyraz bólu i wzburzenia. Nie słyszała, co mówił dalej. Patrzyła tylko na okropną transformację jego oblicza, na zbielałe kostki dłoni zaciśniętej wokół słuchawki. Potem spojrział na nią i zaczął coś mówić... że jest za późno, Stella Rode nie żyje. Została zamordowana w środę, późnym wieczorem. Akurat tego wieczoru ona i jej mąż byli u Fieldinga na kolacji.

WIECZÓR MORDERSTWA

odchodzący o siódmej pięć z dworca Waterloo do Yeovil jest na ogół pustawy, choć można w nim zjeść znakomite śniadanie. Smiley bez trudu znalazł wolny przedział pierwszej klasy. Dzień był szary i dokuczliwie chłodny, a ciężkie chmury zapowiadały śnieg. Usiadł, owijając się połami obszernego płaszcza, kupionego niegdyś na kontynencie. W osłoniętej rękawiczką dłoni ścisnął plik porannych gazet. Jako człowiek dokładny i nieznoszący pośpiechu zjawił się na pół godziny przed planowym odjazdem pociągu. Nadal znużony wydarzeniami ubiegłego wieczoru, który upłynął na wielogodzinnych rozmowach z Ailsą Brimley, nie miał ochoty czytać. Wyjrząwszy przez okno na niemal opustoszałą stację, dostrzegł ku swemu zdumieniu pannę Brimley, która szła wzdłuż peronu, zaglądając do okien wagonów i wymachując trzymaną w ręku plastikową torbą na zakupy. Opuścił okno i zawołał ją.

- Moja droga Brim, co robisz tutaj o tej nieludzkiej godzinie? Powinnaś jeszcze leżeć w łóżku.

Usiadła naprzeciw niego i zaczęła rozpakowywać torbę, podając mu jej zawartość: termos, kanapki i tabliczkę czekolady.

- Nie wiedziałam, czy w tym pociągu jest wagon restauracyjny, a poza tym chciałam cię odprowadzić - wyjaśniła. - Jesteś bardzo kochanym człowiekiem, drogi George, i żałuję, że nie mogę jechać z tobą, ale firma

21

Unipress dostałaby szału. Zauważają człowieka tylko wtedy, kiedy go nie ma.

- Czy widziałaś gazety?

- Zerknęłam na nie po drodze. Podobno uważają, że to wcale nie on, tylko jakiś szaleniec...

- Wiem, Brim. To właśnie powiedział Fielding. - Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie.

- George, czy zachowuję się jak kompletna idiotka, każąc ci tam jechać? Ubiegłego wieczoru byłam pewna, że mam rację, ale teraz zastanawiam się...

- Po twoim wyjściu zadzwoniłem do Bena Sparrowa z Wydziału Specjalnego. Pamiętasz go, prawda? Współpracował z nami podczas wojny. Opowiedziałem mu całą historię.

- George! O trzeciej w nocy?

- Tak. Ma zadzwonić do wyższego inspektora policji w Carne. Powie mu o tym liście i zapowie mój przyjazd. Ben wpadł na pomysł, żeby zlecić tę sprawę człowiekowi nazwiskiem Rigby. Rigby i Ben pracowali kiedyś razem w policji. - Przez chwilę patrzył na nią z sympatią. - Poza tym jestem człowiekiem wolnym. Zmiana miejsca pobytu dobrze mi robi.

- Szczerze ci tego życzę, George - odparła panna Brimley z kobiecą łatwowiernością. Wstała, szykując się do wyjścia.

- Brim - powiedział Smiley - gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy albo czegokolwiek innego, a nie mogła się ze mną skontaktować, zwróć się do człowieka nazwiskiem Mendel, emerytowanego inspektora policji, który mieszka w Mitcham. Jest w książce telefonicznej. Jeśli powołasz się na mnie, zrobi dla ciebie, co będzie mógł. Ja zarezerwowałem sobie pokój w Sawley Arms.

Zostawszy sam, Smiley przejrzał z mieszanymi uczuciami zapasy dostarczone mu przez pannę Brimley. Obiecał sobie luksusowe śniadanie w wagonie restauracyjnym. Postanowił zachować kanapki i kawę na później, może na lancz, i zjeść przyzwoite śniadanie.

W wagonie restauracyjnym przeczytał na początek mniej sensacyjne relacje o śmierci Stelli Rode. Wynikało z nich, że w środę wieczorem pan i pani Rode gościli na kolacji u pana Terence'a Fieldinga, opiekuna klasy Carne School i brata nieżyjącego już Adriana Fieldinga, wybitnego znawcy literatury francuskiej, który zaginął w czasie wojny, wykonując specjalne zadanie na zlecenie Ministerstwa Wojny. Oboje wyszli z domu Fieldinga mniej więcej za dziesięć jedenasta i przeszli osiemsetmetrowy dystans dzielący centrum Carne od ich domu, który stoi samotnie na skraju słynnych terenów sportowych Carne School. Gdy dotarli na miejsce, pan

22

Rode przypomniał sobie, że zostawił u pana Fieldinga wypracowania egzaminacyjne, które musiał tej nocy sprawdzić i ocenić. (W tym miejscu Smiley przypomniał sobie, że nie zabrał smokinga, a Fielding niemal na pewno zaprosi go na kolację). Rode postanowił więc wrócić do domu Fieldinga Lzabrać swoje papiery; wyruszył około jedenastej pięć. Jak się wydaje, pani Rode naląła sobie filiżankę herbaty i zasiadła w salonie, by poczekać na jego powrót.

Do domu państwa Rode przylega oranżeria, połączona wewnętrznymi drzwiami z salonem. Tam właśnie znalazł pan Rode po powrocie swoją żonę. Widoczne były ślady walki; brakowało też kilku sztuk taniej biżuterii, którą miała tego dnia na sobie. W oranżerii panował straszliwy chaos. Na szczęście w środę po południu spadł świeży śnieg, więc detektywi z Dorchester mogli zbadać w czwartek rano odciski butów i inne ślady. Panu Rode, który przeżył szok, udzielono pomocy w Centralnym Szpitalu w Dorchester. Policja zamierza przesłuchać

mieszkanke pobliskiego miasteczka Pylle, nazywaną powszechnie, ze względu na jej samotniczy tryb życia i dziwactwa, Pomyloną Janie. Pani Rode, znana dobrze w Carne z energicznych działań na rzecz Międzynarodowego Roku Uchodźców, okazywała podobno życzliwe zainteresowanie jej warunkami materialnymi, ona zaś zniknęła bez śladu właśnie tej nocy, której popełniono morderstwo. Policja podejrzewa, na podstawie dotychczasowych wyników śledztwa, że morderca dostrzegł panią Rode przez okno salonu (nie zasunęła zasłon), ona zaś wpuściła go frontowymi drzwiami w przekonaniu, że jest to jej mąż wracający od pana Fieldinga. Sekcji zwłok dokonać ma specjalista zatrudniony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Inne relacje były mniej powściągliwe; jeden z artykułów zaczynał się od słów: Morderca sprofanował uświęcone tradycją tereny sportowe szkoły Carne, inny zaś nosił tytuł: NAUCZYCIEL FIZYKI ZNAJDUJE ZWŁOKI SWEJ ŻONY W ZALANEJ KRWIĄ ORANŻERII. Trzeci tytuł brzmiał: OBLĄKANA KOBIETA POSZUKIWANA W ZWIĄZKU Z ZABÓJSTWEM W CARNE. Smiley, z wyrazem niesmaku na twarzy, zebrał wszystkie gazety, z wyjątkiem „Guardiana” i „Timesa” i rzucił je na półkę przeznaczoną na bagaże.

Przesiadł się w Yeovil do lokalnego pociągu relacji Sturminster-Oke-ford-Carne. Było kilka minut po jedenastej, kiedy w końcu dotarł do miejsca swego przeznaczenia.

Zatelefonował ze stacji do hotelu i wysłał bagaże taksówką. Hotel Sawley Arms był przepelniony tylko w dniu rocznicy założenia szkoły i w dniu Świętego Andrzeja. Przez większość roku był całkiem pusty; przypominał

U sztywną wiktoriańską damę, a jego łupkowy dach wznosił się  
Posepnymi, zaniedbanymi trawnikami w połowie drogi między sta-ą  
kolejową a opactwem. Śnieg nadal pokrywał ziemię, ale dzień był ^ i  
suchy, więc Smiley postanowił pójść piechotą do miasteczka i spo-^ '• się  
z policjantem, który prowadził śledztwo. Wyszedł ze stacji, zbu-drwanej z  
przedwiktoriańską skromnością, i ruszył wysadzaną nagimi ^mi drogą,  
wiodącą ku wysokiej wieży opactwa, czarnej i jedno-'•"larowej na tle  
bezbarwnego zimowego nieba. Minął Abbey Close, P/jbiy i pogodny  
skwer pełen średniowiecznych domków, których da-j Pokryte były  
śniegiem, i gdzie przez białe trawniki przebijały się polezę kępy trawy.  
Kiedy mijał zachodnią, bramę opactwa, skrzypiąc a^i po suchym śniegu,  
zegar na wieży wybił wpół do dwunastej, a z ma-»° zamku nad bramą  
wyjechali dwaj konni rycerze i unieśli swe lance riizm 'e P°zdrowienia-  
Później, jakby poruszane przez ten sam mechaty otworzyły si^ drzwi  
stojących wokół skwerku budynków i wypa-\* nich gromadki ubranych na  
czarno chłopców, którzy brnąc w śnie-  
iev'arUSZyli W kierunku °Pactwa- Jeden z nich przebiegł tak blisko Smi-1  
" że otarł się o jego rękaw.

Co się dzieje? - zawołał do niego Smiley. ~ Seksta! - odkrzyknął w biegu  
chłopiec i zniknął. tec'!!ął główne wejście do szkoły i znalazł się od razu  
w centrum mia-s \*a, posepnego dziewiętnastowiecznego Disneylandu z  
wydobywa-1 lokalnie kamienia. Wszystkie domy miały gotyckie kominy i  
okna za J^11" szybkami. Stał tu ratusz, a obok niego ozdobiony  
powiewającą 1zieuS?de flag\*\*>udynekmlcd8CoweJ komendy policji,  
wzniesiony przed

Fink • Ćdziesięć laty W taki sposób by mógł chronić zajmujących go poczynienia przed strzałami z łuków i maszynami oblężniczymi.

kont SW jego nazwisko oficerowi dyżurnemu i oznajmił, że chciałby się Rod ktować z inspektorem prowadzącym śledztwo w sprawie Stelli Oficer, starszy mężczyzna o nieprzeniknionej twarzy, posługiwał udu o pewnym namaszczeniem, jakby wykonywał niezwykle trudne zadanie. Ku zaskoczeniu Smiley'a okazało się, że inspektor Rigby przyjął go od razu, i po chwili wezwano młodego praktykanta, który mu wskazał drogę. Został poprowadzony z oszłamiającą szybkością przez główny hol, potem szerokimi schodami, i po krótkiej chwili stanął przed inspektorem.

Smiley był niski i miał bardzo szerokie ramiona. Przypominał celtyckich wojowników zatrudnionych w kopalni rudy w Walii lub w kornwalijskiej okolicy Węgla. Jego krótko ostrzyżone ciemne włosy tworzyły pośrodku głowy czub, przypominający diabelską czapkę. Miał potężne dłonie

24

i budowę zapaśnika, ale mówił cichym i łagodnym głosem, z lekkim akcentem, typowym dla mieszkańców hrabstwa Dorset. Smiley natychmiast dostrzegł, że posiada on rzadką u niskich mężczyzn cechę: otwartość w stosunku do innych. Miał ciemne, błyszczące oczy i poruszał się niezwykle energicznie; emanowały z niego uczciwość i bezpośredniość.

- Ben Sparrow dzwonił do mnie dziś rano, sir. Cieszę się, że pan przyjechał. Podobno ma pan dla mnie list.

Rigby przyjrzał się Smileyowi badawczo zza swego biurka i był zadowolony z wyniku swych oględzin. Brał udział w wojnie i słyszał

trochę, choć niewiele, o działalności grupy Smileya w służbach specjalnych. Skoro Ben twierdził, że Smiley jest w porządku, gotów był przyjąć jego opinię bez zastrzeżeń - w każdym razie bez większych zastrzeżeń. Ale Ben powiedział mu więcej.

- Wygląda jak żaba, ubiera się jak bukmacher i ma łeb, za który oddałbym własne oczy. Miał ciężkie przeżycia podczas wojny. Bardzo ciężkie. Rzeczywiście wyglądał jak żaba. Niski i tęgi, w okularach o grubych szklach, powiększających nienaturalnie oczy. A jego strój istotnie był dziwny. Drogi - to widać było na pierwszy rzut oka. Ale marynarka marszczyła się w miejscach, w których z pozoru nie miała prawa się marszczyć. Najbardziej zaskoczyła Rigby'ego jego nieśmiałość.

Spodziewał się człowieka energicznego, którego pewność siebie nie pasowałaby do Carne; staroświecki sposób bycia Smileya odpowiadał jego konserwatywnym gustom.

Smiley wyjął z portfela list i położył go na biurku. Rigby tymczasem wydobyl z metalowego etui okulary w złotej oprawce i starannie umieścił je na nosie.

- Nie wiem, czy Ben wszystko panu wyjaśnił - powiedział Smiley -ale ten list został wysłany do działu korespondencji małego nonkonformistycznego czasopisma, które abonowała pani Rode.

- A to właśnie panna Fellowship przekazała panu ten list?

- Nie, jej prawdziwe nazwisko brzmi Brimley. Jest redaktorką pisma. Fellowship to tylko pseudonim, pod którym prowadzi dział łączności z czytelnikami.

Rigby przez chwilę przyglądał mu się uważnie.

- Kiedy otrzymała ten list?



- Wczoraj, siedemnastego. W czwartki są bardzo zajęci, bo oddają numer do drukarni. Otwierają zwykle popołudniową pocztę dopiero wieczorem. Ten list został, o ile wiem, otwarty koło szóstej.

- I przyszła z nim prosto do pana?

- Owszem.

25

- Dlaczego?

- Pracowała u mnie podczas wojny, to znaczy w moim wydziale. Nie chciała iść wprost na policję - ja byłem jedynym znanym jej człowiekiem, który nie pracował w policji - stwierdził bezsensownie i dodał: -To znaczy spośród ludzi, którzy mogli jakoś pomóc.

- Czy mogę spytać, sir, jaki jest pański zawód?

- Właściwie nie pracuję zawodowo. Prowadzę prywatne badania nad Niemcami w XVII wieku. - I ta odpowiedź wydała mu się głupia. Ale Rigby najwyraźniej nie był tym przejęty.

- Co to za wcześniejszy list, o którym wspomina pani Rode?

- O ile wiem, wygrała jakiś konkurs - wyjaśnił Smiley. - Chodzi o list, w którym zgłosiła swój udział. Podobno pochodzi z rodziny, która prenumerowała to pismo od jego powstania. Dlatego właśnie panna Brimley była mniej skłonna uznać ten list za nonsensowny wymysł. Choć jedno nie ma z drugim nic wspólnego.

- Co pan ma na myśli?

- To, że jej rodzina prenumerowała pismo przez pięćdziesiąt lat, nie zmniejsza możliwości, że ona sama była niezrównoważona umysłowo. Rigby kiwnął głową, jakby zgadzał się z tym rozumowaniem, ale Smiley odniósł niepokojące wrażenie, że w istocie wcale tak nie jest.

- Ach - powiedział Rigby z leniwym uśmiechem. - Ach, te kobiety!

Smiley, kompletnie zbity z tropu, zaśmiał się cicho. Rigby patrzył na niego z namysłem.

- Czy ma pan jakichś znajomych wśród personelu szkoły, sir?

- Znam tylko pana Fieldinga. Spotkaliśmy się kiedyś na jakiejś kolacji w Oksfordzie. Zamierzałem go odwiedzić. Znałem dobrze jego brata.

Rigby zeszywniał nieco, usłyszawszy nazwisko Fielding, ale nie odezwał się, więc Smiley ciągnął dalej:

- Zadzwońłem do Fieldinga, kiedy panna Brimley przyniosła ten list. On powiedział mi, co się stało. Było to wczoraj wieczorem.

- Rozumiem.

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Smiley czuł się niezbyt pewnie i sprawiał odrobinę komiczne wrażenie. Rigby oceniał go, zastanawiając się, ile może mu powiedzieć.

- Jak długo zamierza pan tu pozostać? - spytał w końcu.

- Nie wiem - odparł Smiley. - Panna Brimley sama chciała się tu wybrać, ale musi prowadzić swoje pismo. Widzi pan, ona uważa, że powinna zrobić wszystko, co w jej mocy, dla pani Rode, mimo że pani Rode już nie żyje. Ponieważ była prenumeratorką jej pisma. Obiecałem, że postaram się, by ten list jak najprędzej dotarł do właściwych rąk. Nie sądzę, 26 bym mógł zrobić coś więcej. Zostanę chyba dzień lub dwa, by porozmawiać z Fieldingiem... może pójdę na pogrzeb. Zamówiłem sobie pokój w Sawley Arms.

- To dobry hotel.

Rigby odłożył okulary do etui i wrzucił je do szuflady.

- Carne to dziwna miejscowość. Istnieje spory dystans między szkołą a

miastem, jak to nazywamy; strony nie znają się i nie lubią. Wszystko przez lęk; lęk i ignorancję. To bardzo utrudnia prowadzenie śledztwa w takiej sprawie jak ta. Oczywiście mogę odwiedzić pana Fieldinga czy pana D'Arcy, a oni powiedzą: „Dzień dobry, sierzancie” i poczęstuj ą mnie w kuchni filiżanką herbaty, ale nie jestem w stanie rozmawiać z nimi na równej stopie. Widzi pan, oni mają swoje własne środowisko i nikt z zewnątrz nie może do niego przeniknąć. Żadnych pogawędek w pubie, żadnych kontaktów, nic... najwyżej filiżanka herbaty, kawałek ciasta, no i to, że mówią do mnie „sierzancie”. - Rigby zaśmiał się nagle i Smiley z ulgą poszedł w jego ślady. - Chciałbym im zadać wiele pytań, dowiedzieć się wielu rzeczy, na przykład, kto lubił państwa Rode, a kto nie, czy pan Rode jest dobrym nauczycielem i czyjego żona była taka jak inne żony. Dysponuję wszystkimi faktami, jakie są mi potrzebne, ale nie mam pojęcia, jakie było ich tło. -Spojrzał na Smileya wyczekująco. Znow zapadła długa cisza.

- Jeśli chce pan, żebym panu pomógł, chętnie to zrobię - powiedział w końcu Smiley. - Ale najpierw proszę mi podać fakty.

- Stella Rode została zamordowana między godziną jedenastą dziesięć a jedenastą czterdzieści pięć wieczorem, w środę, szesnastego. Zadano jej piętnaście do dwudziestu uderzeń pałką, kawałkiem rury albo czymś w tym rodzaju. Było to straszne morderstwo... straszne. Ślady uderzeń na całym ciele. Na pierwszy rzut oka skłonny byłbym przypuszczać, że wyszła z salonu i podeszła do drzwi frontowych, by wpuścić kogoś, kto do nich zadzwonił; kiedy je otworzyła, została uderzona i zawleczona do oranżerii. Drzwi do oranżerii nie były zamknięte na klucz, rozumie pan?

- Rozumiem... To dziwne, że on o tym wiedział, prawda?

- Być może morderca ukrywał się tam już od pewnego czasu; nie możemy tego stwierdzić, opierając się na śladach. Miał na sobie wysokie buty kalosze typu Wellington numer 10 i pół. Na podstawie odległości odcisków stóp w ogrodzie możemy przypuszczać, że miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu. Kiedy zawlókł ją do oranżerii, musiał uderzyć ją jeszcze wiele razy - głównie w głowę. W oranżerii jest wiele krwi, którą nazywamy przeniesioną - to znaczy krwi z arterii. Nigdzie indziej nie ma śladów krwi.

27

- A czy znaleziono plamy krwi na ubraniu jej męża?

- Dojdę do tego wkrótce, ale w zasadzie nie. - Odczekał chwilę, po czym ciągnął dalej: - Powiedziałem, że morderca zostawił odciski stóp, i tak jest w istocie. Zbliżył się do domu od tyłu, od strony ogrodu. Ale skąd przyszedł i dokąd poszedł, jedynie Bóg raczy wiedzieć. Widzi pan, nie ma żadnych śladów, żadnych odcisków kaloszy, które prowadziłyby w którąkolwiek stronę. Żadnych. Oczywiście nie jest wykluczone, że ślady odchodzącego mordercy znajdowały się na ścieżce, która wiedzie do furtki, i że zostały zdeptane w wyniku całego zamieszania, jakie nastąpiło później. Ale myślę, że w takim wypadku i tak udałoby się nam je znaleźć.

- Znowu spojrzał na Smileya i ciągnął dalej: - Zostawił w oranżerii tylko jedną rzecz: stary granatowy pasek z materiału, chyba od jakiegoś taniego płaszcza. Badamy go właśnie.

- Czy została... obrabowana albo coś w tym rodzaju?

- Nie ma śladów kontaktu fizycznego. Miała na sobie naszyjnik z zielonych koralików, który zniknął. Wydaje się też, że próbował zdjąć jej z palca pierścionki, ale trzymały się zbyt mocno. - Ponownie przerwał. - Nie

muszę panu mówić, że otrzymujemy ze wszystkich zakątków kraju meldunki o wysokich mężczyznach w granatowych płaszczach i w kaloszach. Ale o ile wiem, żaden z nich nie ma skrzydeł. Ani siedmiomilowych butów, w których mógłby przeskoczyć z oranżerii aż na drogę. Przerwali rozmowę, bo praktykant policyjny wniósł tacę z herbatą. Położył ją na biurku, spojrzął na Smileya spode łba i doszedł do wniosku, że herbatę powinien nalać inspektor Rigby. Ustawił więc czajnik w taki sposób, że jego rączka skierowana była w stronę inspektora, i wyszedł. Smiley był rozbawiony kontrastem między schludnym wyglądem serwetek i starannym doborem filiżanek a olbrzymimi dłońmi praktykanta, który je przyniósł. Rigby nalał herbatę i przez chwilę pili ją w milczeniu. Smiley doszedł do wniosku, że inspektor musi być człowiekiem miazdząco precyzyjnym i kompetentnym. Jego niepozorny wygląd i wystrój gabinetu identyfikowały go ze społeczeństwem, które ochraniał. Proste meble - drewniane szafki na akta, nagie ściany, archaiczny aparat telefoniczny, brązowy fryz na ścianach i brązowy lakier na podłodze, lśniące linoleum i lekki zapach karbolu, hałaśliwy gazowy grzejnik i tandetny kalendarz - były dowodami jego skromności i umiaru. Surowość tego wnętrza budziła zaufanie i poczucie bezpieczeństwa. Rigby ciągnął dalej:

- Rode wrócił do domu Fieldinga po prace egzaminacyjne. Fielding oczywiście to potwierdza. Mówi, że zjawił się u niego około jedenastej trzydzieści pięć. Nie zatrzymał się długo; odebrał w drzwiach swoje pa-28 piery, znajdujące się w niewielkim pojemniku na przybory do pisania, w którym zwykle nosił zeszyty, i wyszedł. Rode nie pamięta, czy widział kogoś po drodze. Przypomina sobie mgliście, że wyprzedził go jakiś rowerzysta, ale nie jest tego pewien. Twierdzi, że poszedł prosto do domu.

Po przybyciu na miejsce zadzwonił do drzwi. Nadal był w smokingu, więc nie miał przy sobie kluczy. Żona spodziewała się, że zadzwoni. Rozumie pan, na tym polegało całe nieszczęście. Była jasna, księżycowa noc, a ziemię pokrywał śnieg - w takiej nocy widoczność jest doskonała. Zaczął w końcu wołać, ale ona nadal nie otwierała. Wtedy zobaczył odciski stóp prowadzące na drugą stronę domu. Nie tylko odciski stóp, lecz również plamy krwi i ślady, jakie zostawiło na śniegu jej ciało, kiedy morderca włókł ją do oranżerii. Nie wiedział jeszcze, że są to kałuże krwi; w świetle księżyca dostrzegł tylko ciemne plamy i, jak powiedział później, myślał, że jest to brudna woda przelewająca się na ścieżkę z kanału ściekowego. Idąc po śladach, obszedł dom i dotarł do oranżerii. Było tam ciemniej niż na dworze, więc namacał kontakt, ale światło się nie zapaliło.

- Czy zapalił zapalniczkę?

- Nie, nie miał przy sobie zapalniczek. Nie jest palaczem. Jego żona nie popierała palenia. Ruszył od drzwi w głąb pomieszczenia. Ściany oranżerii zbudowane są głównie ze szkła, z wyjątkiem metra od podłogi, ale dach kryty jest dachówką. Księżyc stał tej nocy wysoko, więc w oranżerii panował mrok; wpadało tylko nieco światła przez okno dzielące ją od salonu, ale tam paliła się jedynie mała lampa ustawiona na stole. Posuwał się więc naprzód niemal po omacku, przez cały czas wołając żonę. W pewnym momencie potknął się o coś i o mało nie upadł. Przykląkł i namacał jej ciało. Zdał sobie sprawę, że jego ręce zbroszone są krwią. Nie bardzo pamięta, co było później, ale jeden z profesorów, który mieszka o jakieś sto metrów dalej wraz ze swą siostrą - nazywa się D'Arcy - usłyszał od strony drogi jego krzyk. Poszedł więc, by zobaczyć, co się dzieje. Rode miał ręce i twarz we krwi; zachowywał się jak człowiek, który postradał

zmysły. D'Arcy zadzwonił na policję, a ja znalazłem się tam około pierwszej w nocy. Widziałem w życiu sporo okropnych scen, ale ta była najgorsza. Wszędzie krew. Morderca - kimkolwiek był - musiał być dosłownie skąpany we krwi. Na dworze, na zewnętrznej ścianie oranżerii, zamontowany jest kran z wodą. Był odkręcony; zapewne przez mordercę, który chciał umyć ręce. Nasi eksperci znaleźli w śniegu pod kranem ślady krwi. O ile wiem, Rode niedawno zabezpieczył ten kran przed zamrożeniem...

- A odciski palców? - przerwał Smiley. - Co udało się ustalić?

29

- Wszędzie znaleźliśmy odciski pana Rode. Na podłodze, na ścianach i oknach, na ciele ofiary. Ale były też inne ślady - głównie smugi krwi - pozostawione przez kogoś, kto miał na sobie rękawiczki.

- A zatem przez mordercę?

- Te ślady powstały, zanim Rode pozostawił swoje odciski. W niektórych miejscach odciski palców pana Rode nakładają się na ślady dłoni w rękawiczce.

Smiley milczał przez chwilę.

Te prace egzaminacyjne, po które wrócił... Czy naprawdę były aż tak ważne?

Tak. Podobno były. W każdym razie dla niego. W piątek, przed dwunastą, miał przekazać panu D'Arcy wszystkie oceny.

- Ale po co w ogóle zabierał je z sobą do Fieldinga?

- To nie on je tam przyniósł. Przez całe popołudnie nadzorował przebieg egzaminów i wręczono mu te prace dopiero o szóstej. Włożył je do tej małej teczki i polecił jednemu z chłopców zanieść ją do domu Fieldinga.

Ten chłopiec jest starostą klasy pana Fieldinga... nazywa się Per-kins.

Rode pełnił w tym tygodniu dyżury podczas nabożeństw w kaplicy, więc nie mógł wrócić przed kolacją do domu.

- W takim razie, gdzie się przebrał?

- W szatni dla nauczycieli, która przylega do pokoju nauczycielskiego. Są tam przebieralnie, przeznaczone głównie dla instruktorów sportowych, którzy mieszkają w pewnej odległości od szkoły.

Ten chłopiec, który zaniósł teczkę do domu Fieldinga, kto to jest?

- Nie potrafię powiedzieć panu o nim wiele więcej, niż powiedziałem dotychczas. Nazywa się Perkins; jest starostą klasy pana Fieldinga. Fielding rozmawiał z nim i potwierdził oświadczenie pana Rode...

Opiekunowie klas bardzo dbają o swoich uczniów... wie pan, nie chcą, by przesłuchiwali ich prymitywni policjanci. - Rigby wydał się nagle trochę przygnębiony.

- Rozumiem. - Smiley uśmiechnął się w końcu, jakby bezradnie. - Ale jak pan wytłumaczy ten list?

- Ten list nie jest jedyną rzeczą, którą musimy wytłumaczyć. Smiley spojrział na niego badawczo.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć - odparł wolno Rigby - że pani Rode w ciągu ostatnich tygodni wielokrotnie zachowywała się w sposób dosyć dziwaczny.

30

## MIASTO I SZKOŁA

Pani Rode należała do kościoła nonkonformistów - kontynuował Rigby. - Mamy tu w Carne sporą kongregację członków tego wyznania. Prawdę mówiąc - dodał z lekkim uśmiechem - moja żona też do nich należy.



Przed dwoma tygodniami przyszedł do mnie tutejszy pastor. Było to wieczorem, chyba koło szóstej. Właśnie zamierzałem iść do domu, dlatego pamiętam porę. Wszedł do mojego gabinetu i zasiadł na tym samym miejscu, na którym pan siedzi. Nasz pastor jest potężnie zbudowanym mężczyzną i wspaniałym człowiekiem; pochodzi z północy, tak jak pani Rode. Nazywa się Cardew.

- Czy to ten pan Cardew, o którym mowa w liście?

- Tak, to on. Wiedział wszystko o rodzinie Stelli, zanim jeszcze państwo Rode przenieśli się w te strony. Glaston to znane nazwisko tam na pomocy i pan Cardew był bardzo zadowolony, kiedy dowiedział się, że Stella Rode to córka pana Glastona; naprawdę bardzo się cieszył. Pani Rode bywała w świątyni regularnie jak w zegarku; może pan sobie wyobrazić, z jakim uznaniem spotykało się to ze strony tutejszych wiernych. Mogę pana zapewnić, że moja żona bardzo się cieszyła. Był to chyba pierwszy wypadek, żeby ktoś ze szkoły tak się zachowywał. Większość członków kongregacji nonkonformistów to drobni mieszczanie, tak zwani tubylcy. - Rigby znów się uśmiechnął. - Nieczęsto się zdarza, żeby miasto i szkoła kontaktowały się z sobą, że tak powiem. Tutaj nie ma takiego zwyczaju.

- A jej mąż? Czy też był członkiem kongregacji?

- Kiedyś był; tak przynajmniej powiedział pan Cardew. Pan Rode urodził się i wychował w Bronxome i cała jego rodzina należała do kościoła nonkonformistów. O ile wiem, w ten właśnie sposób poznał swoją żonę, w świątyni w Bronxome. Czy był pan tam kiedyś? Mają bardzo piękny kościół, na wzgórzu, z widokiem na morze.

Smiley potrząsnął przecząco głową i Rigby przyglądał mu się przez chwilę uważnie.

- Powinien pan - powiedział. - Powinien pan tam pojechać, żeby go obejrzeć. Wygląda na to - ciągnął - że pan Rode, po przybyciu do Carne, przeszedł na łono kościoła anglikańskiego. Próbował nawet nakłonić żonę, żeby zrobiła to samo. Anglikanie mają w szkole wielką przewagę. Prawdę mówiąc, wiem o tym od żony. Z reguły nie plotkuje, jako żona policjanta, i tak dalej, ale pan Cardew sam jej to powiedział.

31

- Rozumiem.

- No więc, odwiedził mnie pan Cardew. Był bardzo zmieszany i zatroskany. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić, ale chciał ze mną porozmawiać nie jak z policjantem, lecz jak z przyjacielem. - Rigby powiedział to z pewną goryczą. - Kiedy ktoś mi to mówi, od razu wiem, że chce ze mną rozmawiać jak z policjantem. Potem opowiedział mi następującą historię. Tego popołudnia złożyła mu wizytę pani Rode. Odwiedzał akurat żonę pewnego farmera w Okefordzie i wrócił do domu dopiero koło wpół do szóstej, więc pani Cardew dotrzymywała jej towarzystwa i rozmawiała z nią aż do jego powrotu. Pani Rode była blada jak ściana i siedziała nieruchomo koło kominka. Gdy tylko pastor wrócił, pani Cardew zostawiła ich samych i Stella zaczęła opowiadać o swoim mężu.

Powiedziała, że pan Rode zamierzają zabić - podjął po krótkiej przerwie. - Podczas długich nocy. Wyglądało na to, że ma na tym tle obsesję. Cardew nie potraktował tego z początku zbyt poważnie, ale zastanowiwszy się nad tym później, postanowił mnie o tym powiadomić.

Smiley spojrzał na niego uważnie.

- Nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi. Myślał, że jest obłąkana. Widzi

pan, to człowiek prosty, chociaż jest pastorem. Myślę, że być może potraktował ją zbyt szorstko. Spytał, co jej nasunęło takie przerażające myśli, a ona zaczęła płakać. Nie szlochała histerycznie, tylko cicho popłakiwała. Próbował ją uspokoić, obiecał, że zrobi, co w jego mocy, żeby jej pomóc, i spytał ponownie, co nasunęło jej taki pomysł. Ale ona potrząsnęła tylko głową, a potem wstała i podeszła do drzwi, nadal rozpaczliwie potrząsając głową. Odwróciła się do niego i wydało mu się, że zamierza coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Po prostu wyszła.

To bardzo dziwne - powiedział Smiley - że skłamała w liście do panny Brimley. Napisała wyraźnie, że nic nie powiedziała panu Cardew. Rigby wzruszył swymi potężnymi ramionami.

- Proszę mnie zrozumieć - powiedział. - Jestem w diabelnie niezręcznej sytuacji. Komisarz policji wolałby poderżnąć sobie gardło niż wezwać na pomoc Scotland Yard. Żąda, żeby kogoś aresztować, i to jak najszybciej. Dysponujemy wystarczającą ilością informacji: znamy czas morderstwa, mamy ślady stóp, poszlaki dotyczące stroju mordercy i nawet narzędzie zbrodni.

Smiley spojrzał na niego z zaskoczeniem.

- A więc znaleźliście narzędzie zbrodni?

Tak, znaleźliśmy - odparł Rigby po krótkim wahaniu. - Ale prawie nikt o tym nie wie, sir, i bardzo proszę, żeby pan o tym pamiętał. Znaleźliśmy je wczesnym rankiem, nazajutrz po morderstwie, o sześć kilome-

32

trów od Carne, przy drodze do Okefordu. Leżało w przydrożnym rowie.

Półmetrowy odcinek tak zwanego kabla współosiowego. Wie pan, co to jest, prawda? Produkują różne grubości, ale ten kawałek miał około pięciu

centymetrów średnicy. Ma w środku miedziany rdzeń i plastikową warstwę izolacyjną, oddzielającą ten rdzeń od powłoki zewnętrznej. Była na nim krew tej samej grupy co krew Stelli Rode oraz włosy z jej głowy, które przykleiły się do krwi. Trzymamy to w wielkiej tajemnicy. Dzięki Bogu, znalazł go jeden z naszych ludzi. Wiemy dzięki temu, w którą stronę oddalił się morderca.

- Nie majak sądzę, wątpliwości, że na pewno jest to narzędzie zbrodni? - spytał niezręcznie Smiley.

- Znaleźliśmy cząsteczki miedzi w ranach na ciele.

To dziwne, że morderca niósł narzędzie zbrodni aż tak daleko, zanim zdecydował się wyrzucić - z namysłem powiedział Smiley. - Nie sądzi pan? Szczególnie, jeżeli szedł piechotą. Można by sądzić, że powinien się go pozbyć możliwie jak najszybciej.

To dziwne, bardzo dziwne. Droga do Okefordu biegnie nad kanałem przez trzy spośród tych sześciu kilometrów; mógł przecież w dowolnym miejscu wrzucić ten kabel do kanału. Nigdy byśmy go nie znaleźli.

- Czy ten kabel był stary?

- Nieszczególnie. Po prostu zwykły kabel. Można taki znaleźć byle gdzie, właściwie wszędzie.

Rigby znów wahał się przez chwilę, a potem zaczął mówić zdecydowanym tonem:

- Proszę posłuchać, sir, co mam na ten temat do powiedzenia.

Okoliczności tego przestępstwa sprawiają, że wymaga ono szczególnego rodzaju śledztwa: poszukiwań na szeroką skalę, precyzyjnych badań laboratoryjnych, masowych przesłuchań. Tego właśnie żąda mój szef, i ma rację. Nie dysponujemy żadnymi poszlakami przeciwko mężowi i prawdę

mówiąc, nie mamy z niego żadnego pożytku. Wydaje się dość zagubiony, trochę roztargniony, myli się w nic nieznaczących szczegółach, takich jak data ich ślubu czy nazwisko jego lekarza. Oczywiście jest to skutek szoku; widziałem już wiele takich przypadków. Wiem teraz wszystko o liście, który pan przywiózł, i jest on istotnie cholernie dziwny, ale jeśli potrafi mi pan wyjaśnić, w jaki sposób Rode był w stanie wyciągnąć z kapelusza te kalosze i w jaki sposób pozbył ich się później, jak pobił na śmierć żonę, w nieznacznym tylko stopniu plamiąc sobie krwią płaszcz, potem wyrzucił narzędzie zbrodni o sześć kilometrów od miejsca przestępstwa, a wszystko to w ciągu dziesięciu minut od wyjścia z domu Fiel-dinga, będę panu niezmiernie wdzięczny. Szukamy obcego mężczyzny,

### 3 Perfekcyjne morderstwo

33

wzrostu około metra osiemdziesięciu, mającego na sobie dość nowe kalosze typu Wellington, numer dziesięć i pół, skórzane rękawiczki i stary granatowy płaszcz zachlapany krwią. Człowieka, który porusza się na piechotę, był w okolicy North Fields w dniu morderstwa pomiędzy 11.10 a 11.45 wieczorem i odszedł w kierunku Okefordu, zabierając ze sobą półmetrowy odcinek współosiowego kabla, sznur zielonych paciorków i jeden klips ze sztucznym diamentem, wart niewiele ponad jednego funta. Szukamy maniaka, człowieka, który zabija dla przyjemności albo dla łupu wartego jeden posiłek. - Rigby przerwał, uśmiechnął się posepnie i dodał: - I który potrafi przelecieć w powietrzu piętnaście metrów. Ale posiadając takie informacje, co mamy właściwie robić? Czego jeszcze powinniśmy szukać? Nie mogę kazać moim ludziom poszukiwać duchów, choć wygląda na to, że byłoby to wskazane.

- Rozumiem pana.
- Ale ja jestem starym policjantem, panie Smiley, i lubię wiedzieć, z czym mam do czynienia. Nie lubię szukać ludzi, w których istnienie nie wierzę, i nie lubię być odcięty od świadków. Lubię spotykać ludzi, rozmawiać z nimi, węszyć tu i tam, poznawać tło sprawy. Ale nie mogę tego robić, nie na terenie szkoły. Czy rozumie pan, o co mi chodzi? Musimy zatem polegać na laboratoriach, psach tropiących i obławach na skalę ogólnokrajową, ale ja czuję w kościach, że nie jest to przypadek.
- Czytałem w gazetach o takiej jednej kobiecie. Pomyłonej Janie...
- Do tego właśnie zmierzam. Pani Rode była miłą i przystępną kobietą. Ja w każdym razie wielokrotnie się o tym przekonałem. Niektóre członkinie kongregacji nonkonformistów były przeciwko niej, ale wie pan, jakie są kobiety. Wygląda na to, że okazała życzliwość tej Janie. Janie żebrze, chodzi po domach, sprzedając zioła i zaklęcia - zna pan ten rodzaj kobiet. Jest dziwaczką, rozmawia z ptakami, i tak dalej. Mieszka w opuszczonej normandzkiej kaplicy niedaleko Pyle. Stella Rode dawała jej jedzenie i odzież - biedna kobieta często głodowała. Teraz Janie zniknęła. Widziano ją w środę wczesnym wieczorem na drodze wiodącej w stronę North Fields i od tej pory zapadła się pod ziemię. To oczywiście nic nie znaczy. Tacy ludzie pojawiają się i znikają, kiedy przyjdzie im ochota. Mogą mieszkać w jakiejś okolicy przez wiele lat, a potem nagle rozplywają się jak śnieg w ogniu. Czasem okazuje się, że utonęli w rowie albo że rozchorowali się i zniknęli na odludziu jak koty. Janie nie jest jedyną wariatką w naszych stronach. Wszyscy byli bardzo podnieceni, bo znaleźliśmy dodatkowe ślady stóp, biegnące wzdłuż linii drzew na samym końcu ogrodu. Wyglądały na odciski stóp kobiecych; w pewnym miejscu

przebiegały dość blisko tej oranżerii. Mogła to być jakaś Cyganka albo 34 żebraczka. Mógł to być każdy, ale ja podejrzewam, że to ślady stóp Janie. Mam w Bogu nadzieję, że tak jest w istocie, sir; przydałby się nam świadek, nawet jeśli jest obłąkany. Smiley wstał. Kiedy ściskali sobie dłonie, Rigby powiedział:

- Do widzenia, sir. Może pan do mnie dzwonić o każdej porze, w dzień i w nocy. - Nagryzmolił na leżącym przed nim bloczku jakiś numer, wydarł kartkę i wręczył ją Smileyowi. - To jest mój numer domowy. -

Odprowadzając gościa do drzwi, jakby się zawahał, a potem spytał: - Pan przypadkiem nie jest absolwentem Carne, sir?

- Broń Boże, nie!

- Nasz komisarz kończył właśnie tę szkołę - oznajmił Rigby po chwili ciszy. - Potem służył w Indiach. Doszedł do stopnia dowódcy brygady Havelock. To jego ostatni rok. Bardzo interesuje się tą sprawą. Ale nie pozwala mi węszyć na terenie szkoły. Nie życzy sobie tego.

- Rozumiem.

- Żąda, żebyśmy szybko kogoś aresztowali.

- Kogoś spoza szkoły, jak sądzę?

- Do widzenia, panie Smiley. Proszę pamiętać o telefonie do mnie. Och, jest jeszcze jedna sprawa, o której powinienem wspomnieć. Ten kawałek kabla...

- Tak?

- Pan Rode demonstrował taki sam kawałek kabla, wygłaszając wykład na temat podstaw elektroniki. Zaginał mu mniej więcej przed trzema tygodniami.

Smiley wolnym krokiem poszedł do swego hotelu.

Moja droga Brim,

zaraz po przybyciu wręczyłem Twój list oficerowi policji zajmującemu się tą sprawą; tak jak przypuszczał Ben, jest to inspektor Rigby. Wygląda jak krzyżówka kukły Humpty-Dumpty z kornwalijskim elfem -jest bardzo niski i barczysty - i moim zdaniem nie jest to człowiek, którego łatwo wyprowadzić w pole.

Aby zacząć od środka, nasz list nie odniósł w zasadzie takiego skutku, na jaki czekaliśmy: podobno Stella Rode powiedziała przed mniej więcej dwoma tygodniami panu Cardew, tutejszemu pastorowi baptystów, że jej mąż próbuje ją zabić podczas długich nocy, cokolwiek to oznacza. Jeśli idzie o okoliczności morderstwa, to relacja zamieszczona w „Guardian” jest w zasadzie ścisła.

W gruncie rzeczy, im więcej dowiadywałem się od Rigby'ego, tym mniej prawdopodobne wydawało się to, że zabił ją mąż. Niemal wszystko zdaje

35

się dowodzić jego niewinności. Pomijając już kwestię motywu, trzeba wziąć pod uwagę miejsce znalezienia narzędzia zbrodni, odciski stóp na śniegu (wskazujące na wysokiego mężczyznę w kaloszach), obecność niezidentyfikowanych śladów d/on/ w rękawiczce, pozostawionych w oranżerii. Dodajmy do tego najmocniejszy argument: ktokolwiek ją zabił, mus/a/ być cały poplamiony krwią; Rigby twierdzi, że oranżeria wyglądała wręcz przerażająco. Oczywiście Rode miał na sobie ślady krwi, kiedy spotkał kolegę na ścieżce, ale były to tylko plamy powstałe zapewne w wyniku potknięcia się w ciemności o ciało. Nawiasem mówiąc, odnaleziono jedynie ślady stóp wiodące do ogrodu; nie wiadomo, w jaki sposób morderca wyszedł.



Na obecnym etapie śledztwa istnieje - jak twierdzi Rigby - tylko jedna interpretacja: mordercą był człowiek obcy, jakiś włóczęga, być może szaleniec, który zabił ją dla przyjemności lub być może dla jej biżuterii (zresztą bezwartościowej), a potem odszedł drogą wiodącą do Okefordu, wrzucając po drodze narzędzie zbrodni do rowu. (Ale dlaczego niósł je aż przez sześć kilometrów i dlaczego nie wrzucił go do kanału, biegnącego po drugiej stronie drogi? Droga do Okefordu krzyżuje się z kanałem Okemoor, który jest z obu stron zabezpieczony groblami przeciwpowodziowymi). Jeśli taka wersja jest słuszna, to możemy tłumaczyć list Stelli i jej rozmowę z pastorem Cardew manią prześladowczą lub przeczuciem śmierci, w zależności od tego, czy jesteśmy przesądni, czy nie, A skoro tak, to mamy do czynienia z najbardziej przerażającym zbiegiem okoliczności, o jakim w życiu słyszałem. Co prowadzi mnie do ostatniej uwagi.

Z tego, czego nie powiedział mi Rigby, wnoszę, że jego szef, komisarz policji, depta mu po piętach, każąc szukać w całym kraju włóczęgi w poplamionym krwią granatowym płaszczu (pamiętasz ten pasek). Rigby oczywiście nie ma wyboru: musi iść za tym tropem i robić to, co każe mu przełożony.

Ale coś wyraźnie go gnębi - coś, o czym mi nie powiedział, albo coś, co po prostu czuje w kościach. Myślę, że był szczery, prosząc mnie, bym mu doniósł o wszystkim, czego się dowiem na terenie szkoły: chodzi o tych państwa Rode, o to, jak układały się ich stosunki z resztą personelu, i tak dalej. Najwyraźniej uważa, że mury klasztorne otaczające Carne School są nadal bardzo wysokie...

A więc powęszę trochę i zobaczę, jak się sprawy mają. Po powrocie z

komisariatu zadzwoniłem do Fieldinga, a on zaproponował, bym zjadł z nim dziś kolację. Napiszę znowu, gdy tylko będę miał jakieś wiadomości.

George

Smiley starannie zakleił kopertę, przyciskając jej rogi kciukami, zamknął drzwi od swego pokoju i zszedł na dół po szerokich marmurowych 36 schodach, ostrożnie stąpając po wąskim plecionym chodniku, który przykrywał tylko środkową część stopni. W holu wisiała czerwona skrzynka na listy, przeznaczona dla gości hotelowych, ale Smiley, jako człowiek ostrożny, zignorował ją. Poszedł do skrzynki stojącej na skrzyżowaniu ulic, wrzucił list i zaczął się zastanawiać, gdzie zjeść lunch. Miał oczywiście kanapki i kawę, które przyniosła mu panna Brimley. Niechętnie wrócił do hotelu. Był on pełen dziennikarzy, a Smiley nienawidził dziennikarzy. Było w nim również chłodno, a on nienawidził chłodu. A poza tym jedzenie kanapek w hotelowym pokoju wydawało mu się zajęciem dość przygnębiającym.

## KOT I PIES

Tegoż wieczoru, tuż po siódmej, George Smiley wspiał się po schodach wiodących do frontowych drzwi internatu prowadzonego przez Fieldinga. Kiedy zadzwonił, otworzyła mu jakaś mała, tęga, pięćdziesięcio-kilkuletnia kobieta, która poprosiła go, by wszedł do holu. Pod prawą ścianą dostrzegł kominek, w którym paliła się jasnym płomieniem sterta bierwion; wokół pozostałych ścian biegła otoczona galerią mahoniową klatka schodowa, prowadząca na wyższe piętra domu. Choć głównym źródłem światła był ogień palący się w kominku, Smiley zauważył, że na wszystkich ścianach wiszą obrazy reprezentujące różne style i epoki, a na obudowie kominka stoją najróżniejsze objets d'art. Z mimowolnym

dreszczem niechęci stwierdził, że ani obrazy, ani ogień nie stłumiły do końca typowego dla szkół zapachu: zapachu taniej pasty do podłóg, kakao i uczniowskiej stołówki. Z holu wybiegało kilka korytarzy i Smiley zauważył, że dolna część wszystkich ścian pomalowana była na brązowo lub zielono, zgodnie z niewzruszonymi zasadami ustalonymi przez szkolnych dekoratorów wnętrz. W jednym z tych korytarzy pojawiła się wysoka sylwetka Terence'a Fieldinga.

Podszedł do Smileya, powiewając połami swej togi; był potężnie zbudowany, a na czoło spływała mu malownicza burza siwych włosów.

- Pan Smiley? - spytał jowialnym tonem. - Ach! Poznał pan już True, pannę Truebody, moją gospodynię? Wspaniały ten śnieg, prawda? Istny Bruegel! Widział pan chłopców jeżdżących na łyżwach po Eyot? Piękny widok! Czarne stroje, kolorowe szaliki, blade słońce, wszystko tak jak .trzeba. Wspaniała bruegelowska sceneria! - Wziął od Smileya płaszcz

37

i rzucił go na stare wyplatane krzesło z jasnego drewna, stojące w kącie holu.

- Podoba się panu to krzesło, poznaje je pan?

- Chyba nie bardzo - odparł Smiley, nieco zmieszany.

- Ach, powinien pan je rozpoznać, naprawdę pan powinien! Zamówiłem je w Prowansji, jeszcze przed wojną. U znajomego drobnego stolarza. Czy teraz już pan je kojarzy? To kopia żółtego krzesła z obrazu van Gogha, niektórzy je rozpoznają. - Poprowadził Smileya korytarzem do dużego, wygodnego gabinetu, ozdobionego holenderskimi kaflami, drobnymi fragmentami renesansowych rzeźb, tajemniczymi brązami, psami z porcelany i wazami z matowego kryształu.

Na tle tej kolekcji sam Fielding prezentował się naprawdę imponująco. Jako starszy kierownik oddziału szkoły miał prawo nosić zamiast tradycyjnego stroju akademickiego specjalną togę, w której wyglądał jak mnich w smokingu. Spartańska surowość tej szaty żywo kontrastowała z jego świadomie ekstrawaganckim sposobem bycia. Zdając sobie z tego sprawę, usiłował przełamać bezbarwność swego odzienia i nadać mu pewne cechy własnego charakteru; dlatego ozdabiał je starannie dobranymi kwiatami z własnego ogrodu. Ku oburzeniu krawców z Carne, których witryny z matowego szkła ozdobione były insygniami dworów królewskich, kazał im robić w swych togach butonierki. W zależności od nastroju nosił w nich różne kwiaty - od hibernii do dzwonek. Tego wieczoru ozdobił togę różą; była zupełnie świeża i Smiley domyślił się, że Fielding zamówił ją specjalnie w tym celu i włożył do butonierki dopiero przed chwilą.

- Sherry czy madera?

- Dziękuję, kieliszek sherry.

- Madera to napój ladacznic - zawołał Fielding, nalewając z karafki -ale chłopcy ją bardzo lubią. Może właśnie dlatego. Mają bardzo zalotną naturę. - Podał Smileyowi kieliszek i dramatycznie modulując głos, dodał:

- Wszyscy jesteśmy w tej chwili dość przygnębieni tą okropną aferą.

Nigdy dotąd nic podobnego się tu nie zdarzyło. Czy widział pan wieczorne gazety?

- Nie, nie czytałem. Ale Sawley Arms roi się oczywiście od dziennikarzy.

- Policja idzie na całego. Sprowadzili z Hampshire wojsko z wykrywaczami min. Bóg raczy wiedzieć, czego szukają.

- A jak przyjmują to chłopcy?

- Są zachwyceni! Moja klasa jest oczywiście szczególnie uprzywilejowana, bo państwo Rode byli u mnie tego wieczoru na kolacji. Jakiś cymbał z policji chciał nawet przesłuchiwać jednego z moich uczniów.

- Doprawdy? - spytał niewinnie Smiley. - W jakiej sprawie? 38

- Och, Bóg raczy wiedzieć - odparł nonszalanckim tonem Fielding i zmieniając temat, zapytał: - Znał pan dobrze mojego brata, prawda? Dużo mi o panu mówił.

- Owszem, znałem Adriana bardzo dobrze. Byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

- Również podczas wojny? Tak.

Należał pan do jego grupy?

- Jakiej grupy?

Tej, do której należeli Steed-Asprey, Jebedee; wszyscy ci ludzie. Tak.

- W gruncie rzeczy dotąd nie powiedziano mi, jak umarł. Czy pan to wie?

- Nie.

- Rzadko widywałem się z nim w ciągu ostatnich lat. Jako jego marna kopia nie mogłem sobie pozwolić na to, by pokazywać się w towarzystwie oryginału- stwierdził Fielding, jakby wracając do swej poprzedniej nonszalanckiej pozy. Smiley poczuł się zakłopotany koniecznością odpowiedzi na to stwierdzenie, ale oszczędziło mu tego ciche pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł nieśmiało wysoki, rudy chłopiec.

- Jesteśmy już gotowi, sir. Czy zechce pan przyjść?

- Do diabła - mruknął Fielding, opróżniając swój kieliszek. - Modlitwa.

Oto Perkins, mój główny starosta - oznajmił, zwracając się do Smileya. -

Geniusz muzyczny, ale ma problemy z nauką. Może pan zostać tutaj albo pójść z nami, jak pan woli. To trwa tylko dziesięć minut.

- Dzisiaj jeszcze krócej, sir - powiedział Perkins. - To Nunc Dimittis.
- Dzięki ci, Boże, za drobne objawy łaski - zadeklamował Fielding, zbierając poły swej togi.

Szybkim krokiem poprowadził Smileya korytarzem, a potem przez hol. Perkins nieśmiało szedł za nimi; Fielding mówił przez cały czas, nie odwracając głowy.

- Cieszę się, że przyszedł pan akurat dziś wieczorem. Z zasady nie przyjmuję gości w niedzielę, bo tego dnia robią to wszyscy inni; choć w gruncie rzeczy nie mamy w tej chwili wielkiej ochoty na życie towarzyskie. Przyjdzie jeszcze Feliks D'Arcy, ale jego towarzystwo trudno uznać za atrakcję. D'Arcy to zawodowiec. Nawiasem mówiąc, zwykle przebieramy się do kolacji w smokingi, ale nie ma to znaczenia.

Smiley wydał wewnętrzny jęk. Doszli do końca korytarza i skręcili w następny.

- Modlimy się tu o najróżniejszych porach. Rektor wskrzesił tę starą tradycję: Prima, Tercja, Seksta i tak dalej. Obżarstwo podczas semestru,

39

abstynencja w czasie wakacji: oto zasady systemu, reguły gry. Dzięki tym modlitwom łatwiej sprawdzać obecność. - Fielding przebył kolejny korytarz, otworzył szeroko podwójne drzwi i wszedł prosto do jadalni uczniów, powiewając z wdziękiem połami togi. Chłopcy już na niego czekali.

- Jeszcze trochę sherry? - spytał Fielding, gdy wrócili do gabinetu. - Jak się panu podobała modlitwa? Zupełnie dobrze śpiewają. Mamy jednego czy dwóch niezłych tenorów. D'Arcy powinien niedługo się zjawić. Jest straszliwym nudziarzem. Wygląda jak stary manekin. Ma pan jednak

szczęście, że tym razem nie będzie mu towarzyszyć jego siostra. Jest jeszcze gorsza!

- Jaka jest jego dziedzina wiedzy? - spytał Smiley.

- Dziedzina wiedzy? Obawiam się, że żaden z nas nie przeczytał ani słowa na temat żadnej dziedziny wiedzy, odkąd opuścił uniwersytet. - Zniżył głos i dodał pośepnie: - To znaczy, jeśli w ogóle był na uniwersytecie. D'Arcy uczy francuskiego. Jest starszym wychowawcą z wyboru, kawalerem z zawodu, subtelnym gejem z zamiłowania... - Fielding stał nieruchomo, z głową odchylną do tyłu, wyciągając w kierunku Smileya prawą rękę - ...a jego specjalność to słabostki bliźnich. Przede wszystkim jest jednak samozwańczym majordomusem szkoły sprawującym pieczę nad protokołem. Kiedy ktoś przejedzie się na rowerze w todzie, niewłaściwie odpisze na zaproszenie, popełni błąd w placement swoich gości zaproszonych na kolację lub powie o koledze „pan”, D'Arcy dowie się o tym i udzieli mu upomnienia.

- Na czym więc polegają obowiązki starszego wychowawcy? - spytał Smiley.

- Jest rozjemcą pomiędzy humanistami a przedstawicielami nauk ścisłych; poza tym planuje rozkłady zajęć i sprawdza rezultaty egzaminów. Ale przede wszystkim, biedak, musi godzić z sobą wiedzę humanistyczną i nauki ścisłe. - Z powagą potrząsnął głową. - A to wymaga większych umiejętności niż te, jakimi dysponuje D'Arcy. Choć skądinąd nie ma żadnego znaczenia kto zyska dodatkową godzinę w piątek po południu. Komu to robi różnicę? W każdym razie nie tym biednym chłopcom, tego jestem pewien.

Fielding mówił bez przerwy, przeskakując z tematu na temat i wygłaszając

kategoryczne sądy, niekiedy machając ręką w powietrzu, jakby chciał pochwycić jakąś nieuchwytną metaforę; o kolegach - z szyderczą ironią, o chłopcach - z sympatią, a niekiedy i zrozumieniem, o sztuce -40 z zapalem, i przez cały czas przybierał pozę samotnego obserwatora rzeczywistości, pochylającego się ze zdumieniem nad sprawami świata.

- Carne nie jest szkołą. To sanatorium dla intelektualnych wykołajeńców. Pierwsze symptomy wystąpiły, gdy tylko skończyliśmy uniwersytety; stopniowy rozkład naszych intelektualnych możliwości. Z każdym dniem nasze umysły zanikają, a nasz duch obumiera i gnije. Obserwujemy ten proces u naszych kolegów, mając nadzieję, że w ten sposób zapomnimy o własnej chorobie.

Przerwał i przyjrzał się z namysłem swoim rękom.

- Jeśli idzie o mnie, to proces dobiegł końca. Widzi pan przed sobą martwą duszę, a Carne jest ciałem, w którym mieszkam. - Zadowolony najwyraźniej z tego wyznania, Fielding wyciągnął swe potężne ramiona w taki sposób, że rękawy jego togi upodobniły się do skrzydeł ogromnego nietoperza. - Oto wampir Carne - powiedział, składając głęboki ukłon. -Alcooligue et poetel - Skwitował swą uwagę wybuchem gromkiego śmiechu.

Smiley był zafascynowany Fieldingiem - jego głosem, jego wzrostem, jego zmiennym temperamentem, całym jego ekranowym stylem bycia. Sprzeczne z sobą pozy budziły równocześnie jego sympatię i antypatię. Zastanawiał się, czy powinien wziąć udział w rozgrywającym się przed jego oczami przedstawieniu, ale Fielding był najwyraźniej tak oślepiiony światłami rampy, że nie zwracał uwagi na publiczność. Im dłużej Smiley go obserwował, tym bardziej niezrozumiały wydawał mu się człowiek,



którego usiłował zrozumieć. Był zmienny, lecz niewzruszony, odważny, lecz płochliwy, barwny, pomysłowy i nieskrępowany, a zarazem przewrotny i przebiegły. Smiley zaczął się zastanawiać, jakie są materialne aspekty życia Fieldinga - jego możliwości, jego ambicje, jego rozczarowania.

Rozmyślenia te przerwała mu panna Truebody, oznajmiając, że przybył Feliks D'Arcy.

Nie było świec, tylko zimna kolacja, wspaniale przygotowana przez pannę Truebody. Zamiast claretu - reńskie wino, które krążyło wokół stołu jak porto, i w końcu, po długim zwlekaniu, Fielding wspomniął o Stelli Rode. Rozmawiali dotąd dość sumiennie o nauce i sztuce. Byłoby to dość nudne (gdyż rozmowa była powierzchowna), gdyby nie fakt, że Fielding stale prowokował pana D'Arcy, wyraźnie usiłując przedstawić go w jak najgorszym świetle. Poglądy pana D'Arcy, dotyczące zarówno problemów, jak i osób, były silnie zabarwione troską o -jak to określił- „sprostanie wymogom dobrego tonu” oraz jego kobiecą niechęcią do kolegów.

41

Po jakimś czasie Fielding spytał, kto zastąpi pana Rode podczas jego nieobecności, na co D'Arcy odpowiedział:

- Nikt - i dodał obłudnie: - Cała ta sprawa wywołała straszliwy szok w naszej społeczności.
- Nonsens - odparł Fielding. - Chłopcy uwielbiają katastrofy. Im dalej jesteśmy od śmierci, tym mniej wydajemy się im atrakcyjni. Uważają tę aferę za niezwykle podniecającą.
- Ale cały ten rozgłos był w bardzo złym tonie - powiedział D'Arcy. - I bardzo niepożądany. Chyba większość nauczycieli zdaje sobie z tego

sprawę. - Zwrócił się do Smileya. - Wie pan, prasa jest dla nas stałym źródłem zmartwień. W przeszłości byłoby to nie do pomyślenia. Dawniej nasze wielkie rodziny i wielkie instytucje nie były narażone na tego rodzaju natręctwo. Nie, nie było o tym mowy. Ale dziś wszystko to uległo zmianie. Liczni spośród nas prenumerują właśnie z tego powodu brukowe gazety. W pewnym niedzielnym wydaniu wspomniano ni mniej, ni więcej, tylko o pięciu absolwentach oddziału pana Hechta. Zawsze w niefortunnym kontekście, i oczywiście tego rodzaju gazety nigdy nie omieszkają wspomnieć, że ci chłopcy są absolwentami Carne. Wie pan zapewne, że mamy tu młodego księcia. (Ja sam mam zaszczyt nadzorować jego studia z zakresu francuskiego). Jest tu też młody Sawley. Rola, jaką odegrała prasa podczas rozvodu jego rodziców, była godna ubolewania. W najwyższym stopniu. Nasz rektor napisał nawet w tej sprawie do Rady Dziennikarskiej. Ja sam pomagałem mu sformułować ten list. Ale przy tej tragicznej okazji dziennikarze przeszli samych siebie. Zjawili się nawet wczoraj wieczorem na nabożeństwie, rozumie pan, czekali na specjalną modlitwę. Zajmowali całe dwie ostatnie ławki po zachodniej stronie. Hecht miał tego wieczoru dyżur w kaplicy i próbował ich usunąć.

-Przerwał, uniósł brwi, wyrażając lekką naganę i ciągnął dalej: -

Oczywiście nie miał do tego prawa, ale to nigdy nie powstrzymało przed niczym naszego poczciwego Hechta. - Znów zwrócił się do Smileya. - To jeden

z członków naszej trójki, zajmujący się sportowym wychowaniem młodzieży.

- Stella była jak na twój gust zbyt pospolita, prawda, Feliksie?

- Nic podobnego - odparł szybko D'Arcy. - Nigdy bym tego o sobie nie

powiedział, Terence. Nigdy nie dyskryminuję nikogo z powodu jego pochodzenia, najwyżej z powodu manier. Muszę ci przyznać, że akurat w tej dziedzinie miała spore braki.

- Pod wieloma względami była dokładnie tym, czego nam potrzeba -ciągnął Fielding, zwracając się do Smileya i ignorując swego kolegę.  
-Reprezentowała wszystko, co nauczono nas ignorować: domy z czerwono-  
42

nej cegły, tanie budownictwo komunalne, nowe miasta; była antytezą Carne! - Odwrócił się gwałtownie do pana D'Arcy, i powiedział: - Ale dla ciebie, Feliksie, była tylko osobą źle wychowaną.

Bynajmniej; jedynie nieodpowiednią. Fielding w desperacji zwrócił się do Smileya.

- Proszę posłuchać - powiedział. - Mówimy tu akademickim językiem, nosimy akademickie stroje i jadamy kolację przy profesorskim stole w profesorskiej jadalni. Odmawiamy przed posiłkami długie modlitwy po łacinie, których nikt z nas nie potrafiłby przetłumaczyć. Kiedy idziemy do opactwa, nasze żony, w tych swoich okropnych kapeluszach, siadają na specjalnie dla nich przeznaczonych ławkach. Ale wszystko to jest tylko grą. Bez żadnego znaczenia.

D'Arcy uśmiechnął się blado.

- Nie mogę uwierzyć, mój drogi Terence, żeby ktoś, kto podejmuje gości tak wspaniale jak ty, nie przywiązywał wagi do subtelności życia towarzyskiego. - Spojrzał na Smileya, jakby licząc na jego poparcie, a Smiley lojalnie powtórzył jego komplement. - Poza tym znamy Terence<sup>^</sup> tu w Carne już od dawna. Jesteśmy przyzwyczajeni do jego

provokujących wypowiedzi.

- Wiem, dlaczego nie lubiłeś tej kobiety, Feliksie. Była uczciwa, a Carne nie potrafi się obronić przed tego rodzaju uczciwością.

D'Arcy wpadł nagle w autentyczny gniew.

Terence, nie pozwalam ci tak mówić. Po prostu nie pozwalam. Uważam, że mam tu w Carne do spełnienia pewien obowiązek, który ciąży zresztą na nas wszystkich: chodzi o przywrócenie i utrzymanie pewnych reguł zachowania, które tak bardzo ucierpiały w czasie wojny. Zdaję sobie sprawę, że ta zdecydowana postawa narobiła mi nieraz sporo wrogów. Ale moje oceny czy zalecenia nie są nigdy - i proszę, żebyś zwrócił na to uwagę - nie są nigdy skierowane przeciwko konkretnym osobom, tylko przeciwko pewnego rodzaju zachowaniu, przeciwko niestosownemu naruszaniu pewnych form. Przyznaję, że niejednokrotnie byłem zmuszony rozmawiać z tym Rode na temat postępowania jego żony. Ale ta sprawa nie ma nic wspólnego z moim osobistym stosunkiem do tych osób, Terence. Nie życzę sobie, by mówiono, że nie lubiłem pani Rode. Taka sugestia zawsze byłaby niefortunna, ale w zaistniałych okolicznościach jest godna ubolewania. Pochodzenie i wykształcenie pani Rode nie ułatwiały jej oczywiście adaptacji do naszego stylu życia, ale to zupełnie inna sprawa. Ilustruje ona jednak pewien problem, na który pragnę zwrócić twoją uwagę, Terence: chodziło mi zawsze nie o to, by kogoś krytykować, lecz o to, by go wychowywać. Czy wyraziłem się jasno?

43

- Wystarczająco jasno - chłodno odparł Fielding.

- Czy inne żony ją lubiły? - wtrącił się Smiley.

- Nie bez zastrzeżeń - zdecydowanym tonem odparł D'Arcy.

- Żony! Mój Boże! jęknął Fielding, przykładając dłoń do czoła.

Nastąpiła chwila ciszy.

- O ile wiem, niektóre z nich miały zastrzeżenia wobec jej sposobu ubierania się. Poza tym miała zwyczaj korzystać z publicznej pralni. To również nie robiło dobrego wrażenia. Powinienem dodać, że nie chodziła do naszego kościoła...

- Ale czy miała jakieś bliskie przyjaciółki w gronie żon profesorów?

-uparcie drażył Smiley.

- Podobno zaprzyjaźniła się z nią młoda pani Snów.

- I mówi pan, że jadła u pana kolację w dniu, w którym została zamordowana?

- Owszem - odparł spokojnie Fielding. - A poza tym to właśnie Feliks i jego siostra zaopiekowali się później tym biednym Rode... -Zerknął w kierunku swego kolegi.

- Istotnie tak było - szybko potwierdził D'Arcy. Patrzył w tym momencie na Fieldinga i Smiley odniósł wrażenie, że przekazali sobie nawzajem jakieś przesłanie. - Nigdy tego nie zapomnimy, nigdy... Terence, jeśli mogę zabrać na chwilę głos w sprawach zawodowych, to pozwól sobie powiedzieć, że Perkins nie ma pojęcia o gramatyce. Muszę stwierdzić, że nigdy nie widziałem takich wypracowań. Czy coś mu dolega? Jego matka jest kobietą bardzo kulturalną, podobno spokrewnioną z Sam-fordami. Smiley, obserwując pana D'Arcy, pograżył się w rozmyślaniach. Jego smoking był wyblakły, pozieleniały ze starości. Można sobie było wyobrazić, jak mówi, że należał do jego dziadka. Skóra jego twarzy była tak gładka, że choć nie był gruby, w pewien sposób przypominał ludzi tęgich. Mówił, nie zmieniając wysokości głosu i stale się uśmiechał, bez

względu na to, czy brał akurat bezpośredni udział w rozmowie, czy nie. Uśmiech nigdy nie opuszczał jego gładkiej twarzy i był jak gdyby w nią wrośnięty; D'Arcy stale rozciągał wargi, ukazując nienaganne uzębienie, i rozchylając kąciki ust w taki sposób, jakby przytrzymały je niewidzialne palce dentysty. Ale mimo to jego twarz nie była bynajmniej pozbawiona ekspresji; odbijała każdą jego myśl. Łatwo było odczytać i zinterpretować każdy najmniejszy grymas ust, każde skrzywienie nosa, każde zerknięcie lub zmarszczenie brwi. A teraz najwyraźniej pragnął zmienić temat. Nie unikał rozmowy o Stelli Rode (sam w chwilę później zaczął się na jej temat rozwodzić), ale nie chciał mówić o okolicznościach jej 44

śmierci, o wydarzeniach owego konkretnego wieczoru. Co więcej, Smiley był przekonany, że Fielding również to dostrzegł, że w spojrzeniach, które wymienili, było porozumienie podyktowane lękiem, być może ostrzeżenie. Od tego momentu Fielding zmienił wyraźnie sposób bycia; stracił humor i stał się mniej nonszalancki, a jego nagła transformacja dała Smileyowi wiele do myślenia. D'Arcy zwrócił się do Smileya tonem pełnym sztucznej zażyłości.

- Proszę mi wybaczyć, że w sposób tak karygodny sprowadziłem rozmowę na poziom szkolnych plotek. Zapewne sądzi pan, że jesteśmy tu trochę odcięci od reszty świata? Wiem, że tak się często uważa. Carne uchodzi powszechnie za „snobistyczną szkołę”. Może pan to przeczytać codziennie w brukowej prasie. A jednak, mimo tego, co twierdzą ludzie zaliczający się do awangardy - tu zerknął złośliwie w stronę Fieldinga - zapewniam pana, że nikt nie zasługuje mniej na zarzut snobizmu niż Feliks D'Arcy. - Smiley zwrócił uwagę na jego gęste jasne włosy. Rosły

głównie na czubku głowy, tak że różowy kark był zupełnie odsłonięty.

- Weźmy na przykład tego biednego Rode'a. Oczywiście nie mam mu za złe jego pochodzenia. Jestem pewien, że szkoły państwowe znakomicie wywiązują się ze swych obowiązków. Poza tym on doskonale dopasował się do tutejszych warunków. Mówiłem to już rektorowi. Powiedziałem mu, że Rode doskonale się dopasował, podkreślając szczególnie fakt, że znakomicie się sprawdza podczas dyżurów w kaplicy. Co więcej, mam nadzieję, że odegrałem w procesie jego adaptacji swoją rolę.

Powiedziałem rektorowi, że ludzie tego pokroju, starannie prowadzeni za rękę, mogą nauczyć się naszych zwyczajów, a nawet naszych form towarzyskich i - rektor przyznał mi rację.

Kieliszek Smileya był pusty; D'Arcy, nie porozumiewając się z Fiel-  
dingiem, wziął ze stołu karafkę i napełnił go. Miał gładkie, nieowłosione  
dziewczęce dłonie.

- Ale - ciągnął dalej - muszę być uczciwy. Pani Rode nie przystosowywała  
się tak chętnie do naszego sposobu życia. - Nadal uśmiechając się,  
pociągnął łyk wina.

Chce wyraźnie określić swoje stanowisko, pomyślał Smiley.

- Nigdy nie zaadaptowałyby się w pełni do życia w Carne. Jestem o tym  
przekonany - choć oczywiście nigdy nie ujawniałem tego poglądu, dopóki  
żyła. Obciążało ją pochodzenie. Ona sama nie była winna -winę ponosiło  
pochodzenie, które, jak już mówiłem, było niefortunne. W gruncie rzeczy,  
jeżeli możemy rozmawiać szczerze i w zaufaniu, mam powody do  
przypuszczeń, że właśnie jej przeszłość stała się przyczyną jej śmierci.

45

- Dlaczego pan tak uważa? - spytał szybko Smiley, a D'Arcy zerknął w

kierunku Fieldinga i odparł:

- Podobno spodziewała się napaści.

- Moja siostra uwielbia psy - ciągnął D'Arcy. - Być może już o tym wiecie. Hoduje spaniele King Charles. W ubiegłym roku jej suka, Królowa Carne, zdobyła pierwsze miejsce na wystawie w Dorset, a wkrótce potem tytuł championa w Cruft. Sprzedaje też psy do Ameryki. Mogę śmiało stwierdzić, że niewielu jest w kraju ludzi, którzy tak dobrze znaliby tę rasę. Żona rektora znalazła okazję, by powiedzieć to samo: mniej więcej przed tygodniem. No więc, jak pan wie, państwo Rode są naszymi sąsiadami, a Dorothy nie jest osobą, która zaniedbywałaby sąsiedzkie obowiązki. Jeśli idzie o spełnianie obowiązków, jest bez zarzutu. Państwo Rode też mieli psa, dużego kundla, dość inteligentnego, którego przywieźli tu z sobą. (Nie bardzo się orientuję, skąd przyjechali, ale to już inna sprawa). Wydawali się bardzo przywiązani do tego zwierzęcia i nie wątpię, że naprawdę je lubili. Rode przywodził je z sobą na szkolne mecze piłkarskie, dopóki mu tego nie odradziłem. Zwyczaj ten wywoływał niestosowne komentarze chłopców. Odczułem to niegdyś na sobie, kiedy chodziłem na spacer z spanielami Dorothy.

Zmierzam do sedna sprawy. Dorothy korzysta z usług weterynarza nazwiskiem Harriman; uroczonego człowieka, który mieszka przy drodze do Sturminster. Wezwała go przed mniej więcej dwoma tygodniami. Królowa Carne fatalnie kaszlała, więc Dorothy poprosiła Harrimana, by zechciał ją obejrzeć. Mogę panów zapewnić, że suka tej klasy zasługuje na staranną opiekę.

Fielding jęknął, ale D'Arcy nie zwrócił na to uwagi i ciągnął dalej.

- Byłem akurat w domu i zaprosiliśmy Harrimana na filiżankę kawy. Jak



już powiedziałem, jest uroczym człowiekiem. Harriman wspomniał coś o psie państwa Rode i prawda wyszła na jaw: poprzedniego dnia pani Rode kazała mu go uśpić. Powiedziała, że pogryzł listonosza. Opowiedziała jakąś długą i mętną historyjkę: że poczta będzie ją skarżyć do sądu, że była już u niej policja i sam nie wiem, co jeszcze. Stwierdziła też, że ten pies i tak nie potrafiłby jej ochronić, mógłby najwyżej ostrzec. Powiedziała do Harrimana: „Na nic by mi się nie przydał”.

- Czy nie była zmartwiona koniecznością pozbycia się psa? - spytał Smiley.

- Ależ tak. Harriman mówił, że kiedy przyszła, tonęła we łzach. Pani Harriman musiała ją poczęstować filiżanką herbaty. Proponowali, żeby dała psu jeszcze jedną szansę, umieściła go na jakiś czas w zakładzie

46

tresury, ale ona była nieugięta, całkowicie nieugięta. Harriman nie posiadał się ze zdumienia. Jego żona również. Rozmawiając o tym później, doszli do wniosku, że zachowanie pani Rode nie było zupełnie normalne. W gruncie rzeczy całkowicie nienormalne. Inną zagadkową okoliczność stanowił stan tego psa - zwierzę było najwyraźniej fatalnie traktowane. Na grzbiecie miało pręgi, jakby ktoś je bił.

- Czy Harriman skomentował jakoś tejej uwagę? Że pies na nic jej się nie przyda? Do jakich doszedł wniosków? - spytał Smiley, nie spuszczać wzroku z pana D'Arcy.

- Powtórzyła to podczas rozmowy z panią Harriman, ale nie chciała tego dokładniej wyjaśnić. Zresztą, moim zdaniem, żadne wyjaśnienie nie jest potrzebne.

- Doprawdy? - spytał Fielding.

D'Arcy przechylił głowę na bok i przyłożył dłoń do ucha.

- Każdy z nas ma w sobie coś z detektywa - powiedział. - Rozmawialiśmy o tej sprawie z Dorothy, już po... po zabójstwie. Doszliśmy do wniosku, że Stella Rode, jeszcze przed przyjazdem do Carne, nawiązała jakąś podejrzaną znajomość i że znajomość ta została ostatnio odnowiona... być może wbrew jej woli. Jakiś agresywny gbur - dawny adorator - który nie mógł się pogodzić z jej społecznym awansem.

- Czy ten listonosz poważnie ucierpiał na skutek pogryzienia go przez psa państwa Rode? - spytał Smiley.

D'Arcy znów odwrócił się w jego stronę.

To niezwykła sprawa. To właśnie jest sedno całej opowieści, drogi panie Smiley; listonosz wcale nie został pogryziony. Dorothy sprawdziła to. Cała opowieść pani Rode była od początku do końca stekiem kłamstw.

Wstali od stołu i przeszli do gabinetu Fieldinga, w którym panna Truebody podała kawę. Konwersacja nadal krążyła wokół tragedii, do jakiej doszło w minioną środę. D'Arcy był obsesyjnie przejęty brutalnymi aspektami całej sprawy: natręctwem dziennikarzy, gruboskórnością policji, niepewnością pochodzenia pani Rode, nieszczęściem, jakie spadło na jej męża. Fielding był nadal zagadkowo milczący, pogrążony we własnych myślach; tylko od czasu do czasu zdawał się budzić i wtedy rzucał wrogie spojrzenie w kierunku swego kolegi. Punktualnie za kwadrans jedenasta D'Arcy oznajmił, że jest zmęczony, po czym wszyscy trzej przeszli do holu; panna Truebody przyniosła płaszcz Smileya oraz płaszcz, szal i czapkę pana D'Arcy. Fielding skwitował podziękowania swego kolegi posępnym skinieniem głowy. Potem zwrócił się do Smileya:

Ta sprawa, w związku z którą pan do mnie dzwonił... o co dokładnie chodziło?

- Och, po prostu o list, który napisała pani Rode tuż przed śmiercią - odparł wymijająco Smiley. - Policja wie o nim, ale nie uważa, żeby było to... istotne. Wcale tak nie uważa. Wygląda na to, że pani Rode cierpiała na coś w rodzaju - uśmiechnął się z zażenowaniem - manii prześladowczej. Czy tak się to nazywa? Tak czy owak, możemy o tym kiedyś porozmawiać. Musi pan przyjść na kolację do Sawley Arms, zanim stąd wyjadę. Czy przyjeżdża pan czasem do Londynu? Moglibyśmy spotkać się tam po zakończeniu semestru.

D'Arcy stał już w drzwiach, patrząc na świeży, biały, czysty śnieg, który pokrywał chodnik.

- Ach! - powiedział z wiele mówiącym uśmiechem. - Te długie noce, co, Terence? Te długie noce!

#### ZAKLĘCIE PRZECIWIW DIABŁU

Ci to są długie noce? - spytał Smiley Feliksa D'Arcy, gdy obaj oddalili się już od domu Fieldinga i szybkim krokiem szli po świeżym śniegu w kierunku skweru Abbey Close.

- Mamy tu takie przysłowie, w myśl którego w Carne zawsze pada śnieg podczas długich nocy. Ale w istocie jest to tradycyjna nazwa dla nocy wielkiego postu. Przed Reformacją mnisi z naszego opactwa czuwali w okresie wielkiego postu; od Kompletu do Laudy. Być może pan o tym już wie. Ponieważ opactwo przestało być siedzibą zakonu, zwyczaj ten zaniknął. My staramy się go jednak zachowywać, odmawiając Kompletę podczas wielkiego postu. Kompletą była ostatnią z modlitw dni kanonicznych; odmawiano ją tuż przed udaniem się na nocny spoczynek.

Nasz rektor, który żywi wielki szacunek dla tego rodzaju tradycji, przywrócił stare słowa i wprowadził je do naszych modłów. Jak pan z pewnością wie, Prymatę odmawiano o świcie. Tercję - w trzeciej godzinie światła dziennego, czyli o dziewiątej rano. Nie nazywamy tej modlitwy Modlitwą Poranną, lecz Tercją. Uważam ten zwyczaj za wspaniały. Na tej samej zasadzie podczas adwentu i wielkiego postu idziemy w południe do opactwa, by odmówić Sekstę.

- Czy wszystkie te modlitwy są obowiązkowe?

- Oczywiście. W przeciwnym wypadku musielibyśmy organizować jakieś zajęcia dla tych chłopców, którzy nie chcieliby brać w nich udziału. 48 Ale to nie byłoby wskazane. Poza tym proszę nie zapominać, że Carne School jest fundacją religijną.

Noc była bardzo piękna. Kiedy mijali skwer, Smiley zerknął w kierunku wieży. W świetle księżyca wydawała się niższa i bardziej harmonijna.

Niebo rozjaśniło się tak bardzo od świeżego śniegu, że na jego tle odbijał się wyraźnie cały budynek opactwa, a nawet okaleczone figury świętych; nieszczęsne, pozbawione twarzy postacie niemające nawet oczu, którymi mogłyby się przyglądać zmiennym losom świata.

Dotarli do skrzyżowania dróg, znajdującego się nieopodal południowej ściany opactwa.

Tu niestety się rozstajemy - oznajmił D'Arcy, wyciągając rękę.

- Jest taka piękna noc - szybko powiedział Smiley. - Niech mi pan pozwoli odprowadzić się do domu.

- Chętnie - odparł bez entuzjazmu D'Arcy.

Skręcili w North Fields Lane. Z jednej strony osłaniał ją wysoki kamienny mur, z drugiej rozciągały się tereny sportowe. Zespół co najmniej

dwudziestu boisk do rugby przylegał do drogi na długości kilometra. Szli w milczeniu, dopóki D'Arcy nie zatrzymał się i nie wskazał laską małego domku stojącego na skraju terenów rekreacyjnych.

To właśnie jest North Fields, dom państwa Rode. Niegdyś mieszkał w nim główny stróż boisk, ale szkoła dobudowała do niego przed kilku laty nowe skrzydło i obecnie przeznaczony jest dla członków ciała pedagogicznego. Mój dom jest trochę większy i stoi przy tej samej drodze, nieco dalej. Na szczęście lubię chodzić piechotą.

- Czy tu właśnie spotkał pan owej nocy Stanleya Rode?

- Trochę bliżej mojego domu, o jakieś czterysta metrów stąd - odparł po krótkiej przerwie D'Arcy. - Biedak był w okropnym stanie, okropnym. Nie znoszę widoku krwi. Gdybym wiedział, jak wygląda, chyba nie zaprosiłbym go do domu. Na szczęście moja siostra, Dorothy, jest kobietą bardzo zorganizowaną.

Przez chwilę szli w milczeniu. Potem odezwał się Smiley.

- Z tego, co mówił pan dziś przy kolacji, wynika, że byli bardzo niedobraną parą.

- Owszem. Gdyby jej śmierci towarzyszyły jakiekolwiek inne okoliczności, nazwałbym ją śmiercią opatrnościową - błogosławionym wybawieniem dla jej męża. Była bardzo złośliwą kobietą, panie Smiley, i stale ośmieszała swego męża. Uważam, że robiła to celowo. Inni nie podzielają mego zdania. Ja mam jednak powody, by tak myśleć. Poniżanie męża sprawiało jej przyjemność.

- A przy okazji szkodziła opinii szkoły?

4 Perfekcyjne morderstwo

- Święta prawda. Carne przeżywa krytyczny okres. Inne szkoły ustąpiły wobec wulgarnych żądań tych, którzy domagają się zmian. Zmian za wszelką cenę. Nasza jednak, co muszę z przyjemnością podkreślić, nie przyłączyła się do tych gadareńskich wieprzy. Dlatego też, bardziej niż kiedykolwiek, musimy bronić się przed wrogami, zarówno zewnętrznymi, jak i wewnętrznymi - zakończył z zaskakującą gwałtownością.
  - Ale czy naprawdę stanowiła taki problem? Czy jej mąż nie mógł z nią po prostu porozmawiać?
  - Mogę pana zapewnić, że nigdy go do tego nie zachęcałem. Nie mam zwyczaju wtrącać się do spraw, które powinny być rozstrzygnięte między mężem i żoną.
- Doszli do domu Feliksa D'Arcy. Wysoki laurowy żywopłot całkowicie osłaniał go od strony drogi; widoczne były tylko dwa szerokie kominy, które pozwoliły Smileyowi domyślić się, że musi to być budynek w stylu wiktoriańskim.
- Nie wstydzę się wiktoriańskich upodobań - powiedział D'Arcy, powoli otwierając furtkę - ale muszę przyznać, że Carne School jest dość odległa od nowoczesności. Ten dom należał kiedyś do proboszcza z North Fields, ale obecnie tamtejszy kościół znajduje się pod opieką duchownych z opactwa. Budynek stoi na gruntach szkoły, która - na szczęście dla mnie - oddała mi go w użytkowanie. Dobranoc. Musi pan przed wyjazdem wpaść do mnie na kieliszek sherry. Czy przyjechał pan na długo?
  - Chyba nie - odparł Smiley - ale jestem pewien, że i beze mnie ma pan w tej chwili dość kłopotów.
  - Co pan ma na myśli? - ostrym tonem spytał D'Arcy.
  - Prasę, policję i całe związane z tym zamieszanie.

- Ach tak, istotnie. Ale mimo wszystko życie naszej społeczności musi płynąć dalej. Zawsze organizujemy w połowie semestru drobne przyjęcie i uważam, że stanowczo powinniśmy zrobić to i teraz, bez względu na okoliczności. Jutro przyślę panu do hotelu zaproszenie. Moja siostra będzie zachwycona. Dobranoc. - Zatrzasnął furtkę i w tym momencie zza domu dobiegło wściekłe ujadanie psów. Otworzyło się jedno z okien i Smiley usłyszał ostry głos jakiejś kobiety:

- Czy to ty, Feliksie? Tak, Dorothy.

- Dlaczego robisz taki piekielny hałas? Znowu obudziłeś psy. - Okno zamknęło się z donośnym trzaskiem, a D'Arcy, nie rzuciwszy nawet okiem w stronę Smileya, szybko zniknął w ciemnościach otaczających dom.

50

Smiley ruszył z powrotem w kierunku miasta. Po dziesięciu minutach marszu zatrzymał się i spojrzał w stronę domu państwa Rode, stojącego po drugiej stronie jednego z boisk, o jakieś sto metrów od drogi. Ukryty był w cieniu kępy jodeł, ciemnej i tajemniczej na tle białych pól. W kierunku domu biegła wąska ścieżka, która -jak domyślił się Smiley - musiała prowadzić do miasteczka o nazwie Pylle. W miejscu jej skrzyżowania z drogą stała skrzynka pocztowa w kształcie słupa, a obok niej drewniany drogowskaz. Znajdujący się na nim napis kryła warstwa śniegu; Smiley odgarnął go i przeczytał NORTH FIELDS wypisane pretensjonalnym gotyckim liternictwem, które musiało budzić silne obiekcje Feliksa D'Arcy. Ścieżkę pokrywał nietknięty ludzką stopą śnieg; musiał spaść całkiem niedawno, choć skądinąd między Carne a Pylle nie było zapewne dużego ruchu. Smiley szybko spojrzał w obie strony głównej drogi i wszedł na ścieżkę. Po obu stronach rosły wysokie żywopłoty, więc widział tylko

rozciągające się nad nim blade niebo i sterczące ku niebu gałęzie wierzb. Raz zdawało mu się, że słyszy za sobą czyjeś kroki, ale kiedy stanął, dotarł do niego cichy trzask obciążonych śniegiem gałązek żywopłotu. Odczuł teraz bardziej dotkliwe zimno; nad ścieżką wisiał przenikliwy chłód, równie nieprzyjemny jak ziąb panujący w opustoszałym domu. Po jakimś czasie miejsce żywopłotu rosnącego po lewej stronie ścieżki zajął rzadki szpaler drzew; Smiley domyślił się, że jest to fragment widocznej od strony drogi kępy jodeł. Pod drzewami leżały tylko płaty śniegu, a naga ziemia wydała mu się nagle brzydka i nierówna. Ścieżka skręciła łukiem w lewo i Smiley ujrzał przed sobą dom, który w świetle księżyca wydawał się ponury i niedostępny. Kamienne i ceglane ściany zasłaniały częściowo gęste pędy bluszczu, który zwisał nad gankiem jak splątana grzywa. Zerknął w kierunku ogrodu. Rosnący wzdłuż drogi rząd drzew przylegał niemal do narożnika budynku i sięgał aż do końca trawnika, osłaniając dom od strony terenów sportowych. Morderca musiał dotrzeć do skraju ogrodu, kryjąc się między drzewami, a następnie podejść do domu wąską ścieżką, która biegła przez trawnik. Pod śniegiem widoczne były tylko jej zarysy. Białe oszklone drzwi w lewej ścianie domu prowadziły zapewne do oranżerii... I nagle Smiley poczuł lęk; bał się tego domu, bał się rozległego ciemnego ogrodu. Przyptyw strachu przypominał gwałtowny atak bólu. Miał wrażenie, że porośnięte bluszczem ściany chwytają go i przyciągają ku sobie jak stara kobieta natrętnie tuląca niechętne dziecko. Dom był duży, lecz zaniedbany i bezkształtny, a w kontrastowym świetle księżyca wydawał się połyskliwy i czarny. Zafascynowany Smiley, pokonując lęk, ruszył w jego stronę. Cienie zmieniały swe pozycje, przemieszczając



się gwałtownie lub zastygając w bezruchu, kryły się w gęstych zwojach bluszczu lub wypełzały na czarne okna.

Smiley stwierdził ze zdumieniem, że lęk zmusza go do podświadomego działania. Poczul strach, a potem nagle wszystkie jego zmysły wydały wspólny okrzyk przerażenia, w umyśle zaś zapanował chaos, niepozwalający normalnie reagować na bodźce zewnętrzne, takie jak obraz, dźwięk czy dotyk. Odwrócił się i pognął w kierunku furtki. Po drodze odwrócił się przez ramię, by raz jeszcze zerknąć w stronę domu.

Na ścieżce, blisko kołyszących się na zawiasach drzwi oranżerii, stała jakaś kobieta i przyglądała mu się uważnie.

Przez sekundę stała nieruchomo; potem odwróciła się i pobiegła w stronę oranżerii. Smiley, zapomniawszy o lęku, popędził za nią. Minąwszy narożnik budynku, stwierdził ze zdumieniem, że kobieta stoi w drzwiach, kołysząc się leniwie w przód i w tył, jak małe dziecko. Początkowo widział tylko jej plecy; potem odwróciła się nagle w jego stronę i powiedziała z silnym lokalnym akcentem, infantylnie modulując głos: - Myślałam, że jesteś diabłem, ale nie masz skrzydeł.

Smiley zawahał się. Wiedział, że jeśli podejdzie bliżej, kobieta może ponownie się go przestraszyć i uciec. Obserwował ją z uwagą w odbitej przez śnieg poświacie, próbując domyślić się, kim może być. Miała na głowie kaptur lub chustkę, na plecach zaś ciemną pelerynę. W ręku trzymała pokrytą liśćmi gałązkę, którą machała łagodnie w powietrzu, akcentując swoje słowa.

- Ale nie możesz mi nic zrobić, mój panie, bo mam czarodziejską paproć, która cię powstrzyma. Więc stój w miejscu i nie ruszaj się, bo mała Janie

potrafi cię zatrzymać.

Gwałtownie machnęła w jego kierunku gałęzią i zaczęła się cicho śmiać.

Nadal trzymała jedną rękę na klamce, a otwierając usta, przechylała lekko głowę w bok.

Trzymaj się z daleka od małej Janie, mój panie, choćby nie wiem jak ci się podobała.

Tak, Janie - powiedział łagodnie Smiley. - Jesteś bardzo ładną dziewczyną i widzę, że masz piękną pelerynę.

Najwyraźniej zadowolona z komplementu, chwyciła za poły peleryny i powoli obróciła się wkoło, jak dziecko naśladowujące wytworną damę.

Smiley zauważył przy tym, że z obu jej boków zwisają puste rękawy płaszcza.

- Niektórzy wyśmiewają się z Janie - powiedziała z nutą urazy w głosie - ale mało który z nich widział latającego diabła. A Janie widziała, 52 naprawdę go widziała. Miał srebrne skrzydła, srebrne jak ryby. Janie widziała je wyraźnie.

- Gdzie znalazłaś ten płaszcz, Janie?

Złożyła dłonie i zaczęła powoli kiwać głową w obie strony.

On jest niedobry. Och, on jest naprawdę zły, proszę pana - powiedziała, śmiejąc się cicho. - Widziałam, jak leci, jak frunie na wietrze. A za nim był księżyc... księżyc oświetlał mu drogę. Księżyc i diabeł są sobie bliscy jak bracia.

Pod wpływem nagłego impulsu Smiley zerwał zwisający ze ściany pęk bluszczu i wyciągnął rękę w jej kierunku, powoli posuwając się naprzód.

- Czy lubisz kwiatki, Janie? Tu są kwiatki dla ciebie; ładne kwiaty dla ładnej Janie. - Był już niemal przy niej, gdy nagle, z zaskakującą

szybkością, przebiegła przez trawnik, zniknęła na chwilę między drzewami, a potem pognęła ścieżką w stronę Pylle. Smiley nie gonił jej. Był i tak mokry od potu.

Po powrocie do hotelu natychmiast zatelefonował do inspektora Rigby.

## KOŚCIÓŁ KRÓLA ARTURA

Kawiarnia hotelu Sawley Arms przypominała do złudzenia pawilon roślin tropikalnych w Kew Gardens. Zbudowana w okresie, gdy najmodniejszą rośliną był kaktus, a bambus niezbędnym atrybutem ludzkiego życia, zaprojektowana została na podobieństwo polanki w dżungli. Stalowe słupy, którym nadano fakturę palmowych pni, podtrzymywały szklany dach, którego majestatyczna kopuła zastąpić miała niebo Afryki.

Olbrzymie urny z brązu i zielonej ceramiki zawierały wszystkie eleganckie i efektowne okazy rodziny kaktusów; siedzący wśród nich mieszkańcy hotelu mieli wypoczywać na sofach z plecionych pędów bambusa, sącąc ciepłą kawą i przeżywając na nowo niewygodę safari.

Wysiłki Smileya, który chciał o wpół do dwunastej w nocy zamówić butelkę whisky i syfon wody sodowej, nie od razu zostały uwieńczone powodzeniem. Dziennikarze zniknęli już najwyraźniej, jak drapieżne ptaki porzucające obgryzioną padlinę. Jedyнным przejawem życia w hotelu był nocny portier, który z dezaprobatą odniósł się do prośby Smileya i radził mu iść spać. Smiley, który nie był człowiekiem upartym, namacał w tym momencie w kieszeni płaszcz półkoronówkę i z lekkim rozdrażnieniem wcisnął ją staremu w dłoń. Metoda ta okazała się może nie cudowna, lecz

53  
w każdym razie skuteczna, kiedy więc Rigby dotarł do hotelu, Smiley siedział w kawiarni przy kominku, mając przed sobą butelkę i dwie

szklanki. Zrelacjonował inspektorowi bardzo dokładnie swe przeżycia z minionego wieczoru.

- Wpadł mi w oko ten płaszcz - powiedział na zakończenie. - Ciężki płaszcz, chyba męski. Pamiętałem o tym granatowym pasku, więc...

-Urwał, nie kończąc zdania. Rigby kiwnął głową, wstał, energicznym krokiem przeszedł przez salę i minął wahadłowe drzwi, kierując się w stronę recepcji. Wrócił po upływie dziesięciu minut.

- Myślę, że powinniśmy ją zatrzymać - powiedział bez wstępów. - Kazałem przysłać samochód.

- Powinniśmy... to znaczy my dwaj? - spytał Smiley.

Tak, o ile zgodzi się pan pojechać ze mną. O co chodzi? Boi się pan?

- Owszem - odparł Smiley. - Owszem, boję się.

Miasteczko Pylle leży na południe od North Fields, na wysokim wzgórzu, wznoszącym się stromo ponad płaskimi, wilgotnymi pastwiskami doliny Carne. Składa się z kilku kamiennych domków i z małej oberży, w której można napić się piwa w saloniku właściciela. Patrząc na nie od strony terenów sportowych szkoły, można wziąć je za garść kamieni zalegających skalisty szczyt, gdyż rzeczone wzgórze, widziane od północy, przypomina ostro ścięty stożek. Miejscowi historycy twierdzą, że jest to najstarsza osada w Dorset, że nazwa Pylle pochodzi od anglosaskiego terminu oznaczającego przystań i że za czasów rzymskich, kiedy wszystkie okoliczne doliny zalewało morze, znajdował się tu port. Utrzymują też, że wypoczywał tu kiedyś, po siedmiu miesiącach spędzonych na morzu, król Artur, który jakoby złożył hołd świętemu Andrzejowi, patronowi żeglarzy, zapalając dziękczynną świecę za każdy miesiąc przeżyty na statku. Działo się to rzekomo w miejscu, w którym obecnie stoi kościół wzniesiony dla

upamiętnienia królewskiej wizyty. Historycy twierdzą też, że w tym opuszczonym, samotnie stojącym na stoku wzgórza kościółku, ukryta jest brązowa moneta, ta sama, którą ofiarował kościelnemu król Artur, zanim ponownie wyruszył na morze, by popłynąć na wyspę Avalon.

Inspektor Rigby, gorliwy badacz lokalnych dziejów, dość zwięźle zrelacjonował Smileyowi przeszłość tych stron, ostrożnie prowadząc samochód po zasypanych śniegiem drogach.

- Te małe odcięte od świata miasteczka to dosyć dziwne miejsca -oznajmił na zakończenie. - Często mieszkają w nich tylko trzy czy cztery rodziny, tak ze sobą spokrewnione i pokrzyżowane, że wszyscy są do sie-54

bie podobni jak dzikie koty. Stąd biorą się w takich osadach ludzie upośledzeni umysłowo. Oni to nazywają piętnem diabła; moim zdaniem to po prostu kazirodztwo. Mieszkańcy osad nienawidzą tych miejscowych przygłupów i starają się ich za wszelką cenę wygnać, chcąc w ten sposób zmyć swoją hańbę, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

- Rozumiem.

Ta Janie ma coś w rodzaju manii religijnej. U niektórych spośród tych ludzi obłęd przybiera taką właśnie formę. Widzi pan, wszyscy mieszkańcy Pylle są teraz nonkonformistami, więc od czasów Wesleya kościół króla Artura przestał być komukolwiek potrzebny. Jest opuszczony, wali się w gruzy. Przybysze z doliny zwiedzają go jako historyczny zabytek, ale nikt się nim nie opiekuje. To znaczy nikt się nim nie opiekował, dopóki nie zamieszkała w nim Janie.

- Zamieszkała?

- Owszem. Sprząta w nim całymi dniami i nocami, przynosi polne kwiaty

i tak dalej. Dlatego mówią, że jest czarownicą.

W milczeniu minęli dom państwa Rode i pokonawszy ostry zakręt, stromą drogą wiodącą do Pylle zaczęli piąć się w górę. Szosę pokrywał świeży śnieg, ale jeśli nie liczyć kilku drobnych poślizgów, posuwali się bez trudu. Niższe partie wzgórza były zalesione i droga tonęła w ciemności; dopiero gdy wjechali na niewielki odsłonięty płaskowyż, w samochód uderzył ostry wiatr pędzący z pół tumanów śniegu. Po jednej stronie szosy zaczynały się już tworzyć zasy trudniące dalszą jazdę. W końcu Rigby zatrzymał samochód.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, sir, pójdziemy dalej piechotą.

- Jak daleko?

- Można powiedzieć, że dwa kroki. Miasteczko leży tuż przed nami.

Smiley dostrzegł przez szybę w odległości jakichś czterystu metrów, ledwo widoczne w tumanach śniegu, dwa niskie budynki. W tym momencie do samochodu zbliżyła się jakaś wysoka, starannie opatulona postać.

To Ted Mundy - powiedział z wyraźną satysfakcją Rigby. - Kazałem mu tu przyjechać. Jest sierżantem posterunku w Okefordzie. Hej, Ted! - zawołał wesołym głosem, wychylając się z samochodu: - Jak się miewasz, stary draniu? - Otworzył tylne drzwi i sierżant wgramolił się do środka. Rigby przedstawił go Smileyowi.

- W kościele pali się światło - oznajmił Mundy - ale nie wiem, czy Janie tam jest. Nie mogę spytać o to żadnego z mieszkańców miasteczka, bo miałbym ich od razu wszystkich na karku. Oni myślą, że zniknęła na zawsze.

- Czy ona sypia w tym kościele, Ted? Czy ma tam jakieś łóżko albo coś w tym rodzaju? - spytał Rigby, a Smiley stwierdził, że kiedy rozmawia z Mundy, jego akcent, typowy dla hrabstwa Dorset, staje się znacznie bardziej zauważalny.

Tak mówią, Bili. Kiedy zająłem tam w ubiegłą sobotę, nie znalazłem żadnego łóżka. Ale powiem ci coś dziwnego, Bili. Podobno pani Rode przychodziła tu czasem, do tego kościoła, żeby zobaczyć się z Janie.

- Słyszałem o tym - odparł lakonicznie Rigby. - No więc, gdzie jest ten kościół, Ted?

- Z drugiej strony wzgórza. Za miasteczkiem, obok wybiegu dla koni. Wie pan zapewne, sir - zwrócił się do Smileya - że zdarza się to często w naszych stronach. Widzi pan - mówił wolno dalej, starannie dobierając słowa - kiedy nadchodziła zaraza, mieszkańcy pozostawiali swych zmarłych w miasteczku i przenosili się do kościoła. Nie mogli odejść daleko, bo musieli doglądać swych pól. - Mówił takim tonem, jakby czarna śmierć dziesiątkowała te okolice stosunkowo niedawno, niemal za jego pamięci.

Wysiedli z samochodu, z trudem otwierając drzwi szarpane przez wiatr, i ruszyli w kierunku miasteczka. Mundy szedł przodem, a Smiley podążał jako ostatni. Twardy, ostry śnieg boleśnie smagał ich twarze. Smiley czuł się dziwnie, idąc po ośnieżonym wzgórzu w środku nocy. Zarys górskiego grzbietu, wycie wiatru, śnieżnobiałe chmury mknące po niebie i zasłaniające co chwila księżyc, posępne, nędzne domki, które mijali - wszystko to zdawało się należeć do innego świata.

Mundy skręcił gwałtownie w lewo i Smiley domyślił się, że chce obejść centrum miasteczka, by nie zwracać na siebie uwagi. Po mniej więcej

dwudziestu minutach, podczas których musieli kilkakrotnie brnąć w głębokim śniegu, ruszyli wzdłuż niskiego żywopłotu oddzielającego od siebie dwa pola. W najdalszym zakątku prawego pola dostrzegli ledwie widoczne na tle śniegu blade światełko. Tak blade, że Smiley odwrócił wzrok, a potem spojrział ponownie w tamtym kierunku, by upewnić się, że nie jest ono wytworem jego wyobraźni. Rigby zatrzymał się i gestem wezwał do siebie obu współuczestników wyprawy.

- Od tej pory będę szedł pierwszy - powiedział. Odwrócił się do Smileya.

- Prosiłbym, sir, żeby trzymał się pan nieco z tyłu. Na wypadek jakichś komplikacji.

- Oczywiście.

- Trzymaj się za mną, Ted. 56

Idąc dalej naprzód, dotarli do prześwitu w żywopłocie. Widzieli stąd wyraźnie kościół; niski budynek, bardziej przypominający stodołę niż świątynię. W jednym końcu migotał, słabo widoczny przez witrażowe okna, wąty płomień świecy.

- Jest - mruknął pod nosem Mundy i obaj z Rigbym ruszyli naprzód; Smiley szedł za nimi, utrzymując pewną odległość.

Przeszli przez pole i zbliżyli się do kościoła. Mimo wycia wichru, do ich uszu zaczęły docierać nowe odgłosy: skrzypienie drzwi, trzask ledwie trzymających się gontów, uderzenia wiatru o ściany wymarłego budynku.

Obaj policjanci zatrzymali się w cieniu kościoła i zaczęli szeptem rozmawiać. Potem Mundy cicho ruszył naprzód i zniknął za rogiem. Rigby odczekał chwilę, a następnie podszedł do wąskich drzwi w tylnej ścianie i pchnął je energicznie.

Otworzyły się powoli, z jęklwym skrzypnięciem zawiasów. Rigby zniknął



we wnętrzu. Smiley czekał na dworze i nagle usłyszał krzyk, zagłuszający wszystkie inne dźwięki. Był tak głośny, przenikliwy i wyraźny, jakby nie pochodził z żadnego określonego źródła - jakby unosił się na skrzydłach wyjącego wiatru wprost ku niebu. Smiley przypomniał sobie swoje wcześniejsze spotkanie z Pomyloną Janie i w jej szaleńczym wrzasku rozpoznał tę samą nutę przerażającego obłędu. Przez chwilę czekał, aż wybrzmi echo okrzyku. Potem powoli, brnąc w śniegu, podszedł do otwartych drzwi.

Na nagim ołtarzu paliły się dwie świece i lampa oliwna, rzucając skąpe światło na niewielką kaplicę. Przed ołtarzem, na stopniach, siedziała Janie i bez większego zainteresowania przyglądała się obu policjantom. Jej pozbawiona wyrazu twarz pokryta była zielonymi i niebieskimi plamami, brudne łachmany zdobiły pędy bluszczu, a wokół niej na podłodze leżały ciała drobnych zwierząt i ptaków.

Ławki również udekorowane były zwłokami wszelkiego rodzaju okazów fauny, na ołtarzu zaś leżały połamane gałązki i kupki liści ostrokrzewu. Między świecami stał grubo ciosany krucyfiks. Smiley wysunął się zza pleców inspektora Rigby, przeszedł szybko między rzędami ławek, minął pochyloną postać Janie i stanął przed ołtarzem. Przez chwilę wahał się, po czym odwrócił głowę i cicho zawołał inspektora.

Na krzyżu, owinięty wokół jego ramion jak prymitywny diadem, wisiał sznur zielonych paciorków.

51

## 8 KWIATY DLA STELLI

Obudził się, mając w uszach jej powtórzony przez echo krzyk. Zamierzał długo spać, ale zegarek wskazywał siódmą trzydzieści. Zapalił nocną

lampkę., było bowiem jeszcze ciemnowo, i rozejrzał się po pokoju. Na krześle wisały jego spodnie; nogawki nadal były mokre od śniegu. Zerknął na buty i doszedł do wniosku, że będzie musiał kupić nowe. Obok leżały notatki, które sporządził przed kilku godzinami, usiłując spisać z pamięci fragmenty monologu Pomyłonej Janie, wygłoszonego w drodze do Carne. Wiedział, że nigdy nie zapomni tej podróży. Mundy siedział obok niej na tylnym siedzeniu. Rozmawiała sama z sobą; dziecięcym głosem zadawała pytania, a potem odpowiadała na nie cierpliwym tonem osoby dorosłej, dla której wszystko jest jasne i oczywiste. Wydawała się pochłonięta jedną obsesją: widziała diabła. Widziała, jak frunął na wietrze, powiewając srebrnymi skrzydłami. Czasem wspomnienie to ją bawiło, czasem budziło w niej poczucie własnej ważności i zadowolenie ze swojej urody, czasem zaś napełniało ją przerażeniem. Zaczynała wtedy wycić, szlochać i błagać go, by odszedł, a Mundy przemawiał do niej łagodnie i uspokajał ją. Smiley zastanawiał się, czy policjanci wyrabiają w sobie z czasem tolerancję w stosunku do odrażających aspektów swej pracy; czy nie budzą w nich odrazy cuchnące szmaty okrywające ciała ich podopiecznych, czy nie czują wstępu, gdy muszą tulić do siebie szarpiących się, szlochających i wyjących obłąkańców. Janie musiała ukrywać się przez wiele nocy, musiała od dnia morderstwa znajdować żywność na polach i w kubłach na śmieci... Co robiła tego wieczoru? Co widziała? Czy to ona zabiła Stellę Rode? Czy widziała mordercę i wzięła go za diabła frunącego na wietrze? Dlaczego odniosła takie wrażenie? A jeśli to nie ona zabiła Stellę Rode, to co widziała... co przeraziło ją do tego stopnia, że bląkała się przez trzy długie zimowe noce jak zaszczute zwierzę? Czy to diabeł opętał Janie i tchnął w nią siłę, która pozwoliła jej

zabić Stelle? Czy był to ten sam diabeł, który latał na skrzydłach wiatru? Ale jak tłumaczyć obecność paciorków, płaszcza i odcisków stóp, które nie należały do niej? Leżał, zastanawiając się nad tym, ale nie doszedł do żadnego wniosku. W końcu uznał, że pora wstawać - był to dzień, na który wyznaczono pogrzeb.

W tym momencie zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos inspektora Rigby; Smiley odniósł wrażenie, że jest napięty i podniecony.

58

- Chciałbym się z panem zobaczyć. Czy może pan do mnie wpaść?
- Przed pogrzebem czy po? - spytał Smiley.
- Przed, jeśli to możliwe. Może od razu?
- Będę u pana za dziesięć minut.

Rigby po raz pierwszy od chwili ich poznania był zmęczony i zaniepokojony.

- Chodzi o tę Pomyloną Janie - oznajmił. - Mój szef uważa, że powinniśmy wnieść przeciw niej oskarżenie.
- O co?
- O morderstwo - odparł zdecydowanym tonem Rigby, podsuwając Smileyowi teczkę z aktami. - Ta stara wariatka złożyła oświadczenie... właściwie przyznała się do winy.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, a tymczasem Smiley czytał owo niezwykle oświadczenie.

Sygnowane było dużymi, nagryzmołonymi dziecięcym pismem, inicjałami J.L. Funkcjonariusz, który je protokołował, starał się początkowo uprościć i skondensować opowieść Janie, ale już pod koniec pierwszej strony najwyraźniej zrezygnował z tych wysiłków.

Smiley dotarł w końcu do opisu morderstwa:

Więc ja mówię mojej drogiej przyjaciółce: „To nieładnie, że zadajesz się z diabłem”, ale ona wcale mnie nie słuchała, rozumie pan, ja się na nią złościłam, a ona nie zwracała na to uwagi. Nie mogłam jej pozwolić, żeby spotykała się po nocy z diabłami, i powiedziałam jej to. Powinna postarać się o jakieś zaklęcie, taka jest prawda, i powiedziałam jej to, ale ona nie chciała mnie słuchać. Janie nie powie nic więcej, ale Janie wygnała z niej tego diabła, i kiedyś, biedactwo, będzie mi za to wdzięczna, a potem wzięłam jej klejnoty dla świętych, żeby ozdobić kościół, i wzięłam jej płaszcz, żeby było mi ciepło.

Smiley powolnym ruchem odłożył teczkę na biurko. Rigby przyglądał mu się z uwagą.

- No więc, co pan o tym sądzi? Smiley wahał się przez chwilę.
- W tej formie wydaje się to dość absurdalne - odparł w końcu.
- Oczywiście, że jest absurdalne - powiedział Rigby, jakby z pogardą. - Janie coś zobaczyła. Bóg raczy wiedzieć co, kiedy krążyła koło domu; pewnie chciała coś ukraść. Mogła obrabować ciało - a może znalazła te paciorki w miejscu, w którym upuścił je morderca. Zidentyfikowaliśmy ten płaszcz. Należał do pana Jardine, piekarza ze wschodniej dzielnicy

59

Carne. Pani Jardine dała go Stelli Rode dla uchodźców, było to w ubiegłą środę rano. Janie musiała ukraść go z oranżerii. To miała na myśli, mówiąc: „i wzięłam jej płaszcz, żeby było mi ciepło”. Ale z pewnością nie zabiła Stelli Rode. Jak wytłumaczyć te odciski stóp i ślady rękawiczek w oranżerii? Poza tym Janie nie jest na tyle silna, żeby wlec tę biedną kobietę po śniegu piętnaście metrów. Musiał to zrobić mężczyzna - nie ulega

wątpliwości.

- Więc co właściwie...?

- Odwołaliśmy poszukiwania, a mnie polecono przygotować oskarżenie przeciwko niejkiej Janie Lyn, zamieszkałej w miasteczku Pylle, a podejrzanej o zamordowanie z premedytacją Stelli Rode. Chciałem sam panu to oznajmić, zanim przeczyta pan o tym w gazetach. Żeby pan wiedział, jak było.

- Dziękuję.

Tymczasem, o ile mogę być panu w czymś pomocny, nadal chętnie służę. - Zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

Schodząc szerokimi schodami w dół, Smiley czuł się niepotrzebny i rozdrażniony, a więc wyraźnie nie był w nastroju, w jakim człowiek powinien udawać się na pogrzeb.

Wszystko zostało zorganizowane w sposób godny podziwu. Zarówno kwiaty, jak i zachowanie uczestników idealnie pasowały do sytuacji. Być może pragnąc uszanować skromność Stelli Rode, pochowano ją nie w opactwie, lecz na cmentarzu parafialnym, nieopodal North Fields. Rektor był akurat - jak zwykle - zajęty, więc przysłał w zastępstwie swoją żonę, drobną, niepozorną kobietę, która spędziła wiele czasu w Indiach. D'Arcy był wyraźnie widoczny, gdyż przed rozpoczęciem ceremonii miotał się wszędzie jak gorliwy pies gończy. Zjawił się też pan Cardew, by pomóc przebrnąć duszy biednej Stelli przez nieznaną jej liturgię kościoła anglikańskiego. Przybyli również państwo Hecht; Charles cały na czarno, schludny i wytworny, Shane w ostentacyjnej żałobie i w kapeluszu z bardzo szerokim rondem.

Smiley, który podobnie jak inni przybył wcześniej, przewidując, że

pogrzeb może wywołać niezdrowe zainteresowanie gawiedzi, znalazł miejsce siedzące blisko wejścia do kościoła. Z zainteresowaniem śledził wchodzących, czekając na moment, w którym zobaczy po raz pierwszy Stanleya Rode.

Przybyli liczni mieszkańcy miasta, w nieco przyciasnych ubraniach oraz czarnych krawatach, i utworzyli oddzielną grupę pod południową ścianą kościoła, z dala od profesorów szkoły i ich żon. Wkrótce przyłączyli się

60

do nich inni członkowie miejscowej społeczności: kobiety, które znały panią Rode ze świątyni nonkonformistów, oraz Rigby, który spojrzał na Smiley'a, nie pokazując po sobie, że go zna. Z uderzeniem godziny trzeciej wkroczył wolno przez drzwi wysoki stary człowiek, który patrzył wprost przed siebie, nikogo nie widząc i nikogo nie rozpoznając. Obok niego szedł Stanley Rode.

Miał twarz, z której na pierwszy rzut oka Smiley nic nie potrafił wyczytać, nie odbijała bowiem ani temperamentu, ani cech charakteru. Była to pospolita, szeroka twarz, całkowicie pozbawiona wyrazu, pasująca do pospolitej, drobnej sylwetki pana Rode i jego pospolitych czarnych włosów. Malował się na niej - jakby specjalnie demonstrowany - smutek. Patrząc, jak Stanley Rode przechodzi między rzędami ławek i zajmuje miejsce wśród najważniejszych żałobników, Smiley zauważył, że jego wygląd i sposób poruszania się rażąco odbiegały od norm przyjętych w szkole Carne. Jeśliby przyjąć, że noszenie pióra w kieszonce marynarki, łączenie krzykliwych pulowerów z brązowymi krawatami czy chodzenie sprężystym krokiem na stopach lekko odchylonych na zewnątrz są objawami wulgarności, to Rode niewątpliwie był człowiekiem wulgarnym.

Nawet bowiem jeśli nie popełniał w danym momencie tego rodzaju wykroczeń przeciw etykiecie, to sugerował swym zachowaniem, że jest do nich zdolny.

Wyszli za trumną na kościelny dziedziniec i zatrzymali się wkrótce nad otwartym grobem. D'Arcy i Fielding stali obok siebie, uważnie obserwując przebieg obrzędu. Wysoki starzec, który wszedł do kościoła razem ze Stanleyem Rode, był teraz wyraźnie wzruszony i Smiley domyślił się, że jest to ojciec Stelli, Samuel Glaston. Po zakończeniu modłów Glaston szybko oddalił się od tłumu zebranych, kiwnął głową w kierunku swego zięcia i zniknął we wnętrzu kościoła. Posuwał się naprzód z wysiłkiem, jak człowiek idący pod silny wiatr.

Niewielka grupa uczestników pogrzebu z wolna oddaliła się od grobu i w końcu pozostał nad nim tylko Rode. Był sztywny, wyprostowany i spięty. Miał szeroko otwarte oczy, ale wydawało się, że nic nie widzi. Zaciśnięte usta tworzyły prostą kreskę. Obserwujący go Smiley miał w pewnej chwili wrażenie, że Rode budzi się ze snu; rozluźnił mięśnie i wolnym, ale pewnym krokiem ruszył w kierunku bramy kościelnej, przy której zebrała się grupka jego znajomych. Widząc nadchodzącego Stanleya Rode, Fielding, który stał na obrzeżu tej grupki, ku zdumieniu Smileya oddalił się pospiesznie z wyraźną niechęcią na twarzy. Nie była to zaplanowana reakcja człowieka, który chce kogoś dotknąć, okazując mu antypatię. Po prostu tym razem Terence Fielding nie był w stanie zapanować nad swymi

61

prawdziwymi uczuciami i nie myślał o tym, co o jego zachowaniu powiedzą inni.

Smiley, ociągając się, podszedł do grupki, którą tworzyli D'Arcy z siostrą i

trzej czy czterej inni profesorowie. Rode stał nieco z boku. Nikt nie był szczególnie rozmowny.

- Pan Rode? - spytał Smiley.

- Tak, zgadza się. - Mówił powoli, starannie unikając choćby cienia regionalnego akcentu.

- Jestem tutaj w imieniu panny Brimley z „Głosu Chrześcijańskiego”.

- Ach, tak?

- Pannie Brimley bardzo zależało na tym, żeby redakcja była reprezentowana na pogrzebie. Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

- Owszem, widziałem wasz wieniec. Jestem bardzo wdzięczny.

- Pańska żona należała do naszych najbardziej lojalnych sympatyków -ciągnął Smiley. - Uważaliśmy ją niemal za członka rodziny.

- Tak, była bardzo przywiązana do „Głosu”.

Smiley zastanawiał się, czy Rode zawsze jest aż tak powściągliwy, czy też jego apatia była skutkiem żalu po stracie żony.

- Kiedy pan przyjechał? - spytał nagle Rode.

- W piątek.

- Przy okazji urządził pan sobie weekend, co?

Smiley był przez chwilę tak zdumiony, że nie przychodziła mu do głowy żadna riposta. Rode jednak nie przestał na niego patrzeć, czekając na odpowiedź.

- Mam tu paru przyjaciół... jednym z nich jest pan Fielding.

- Ach, Terence. - Smiley był przekonany, że Rode i Fielding nie mówią sobie po imieniu.

- Chciałbym, jeśli wyrazi pan zgodę, napisać krótki nekrolog dla pisma



panny Brimley - powiedział. - Czy nie ma pan nic przeciwko temu?

- Stella byłaby z tego zadowolona.

- Jeśli nie jest pan zbyt przygnębiony, to może mógłbym wpaść do pana jutro i spytać o kilka szczegółów?

- Oczywiście.

- O jedenastej?

- Będzie mi bardzo miło - odparł niemal pogodnym tonem Rode i obaj ruszyli w kierunku bramy prowadzącej z dziedzińca kościelnego na ulicę.

62

## ŻAŁOBNICY

Smiley zdawał sobie sprawę, że stosuje nikczemny podstęp wobec człowieka, który nagle stracił żonę. Otwierając delikatnie furtkę i wchodząc do ogrodu, w którym dwa dni wcześniej odbył tak dziwną rozmowę z Janie Lyn, przyznawał w duchu, że osobnik, który w tych okolicznościach pod jakimkolwiek pretekstem nachodzi pana Rode, dowodzi całkowitego braku zasad moralnych. Typowe dla Smileya było jednak to, że nigdy w okresie swej tajnej działalności nie potrafił znaleźć równowagi między celem a środkami. Jako surowy krytyk swych własnych motywów odkrył po dłuższym okresie obserwacji, że nie kieruje się intelektem w takim stopniu, jak można by wnosić na podstawie jego przekonań i zwyczajów. Jego przełożeni stwierdzili podczas wojny, że łączy w sobie przebiegłość szatana z wrażliwością dziewicy, i osąd ten nie był chyba całkowicie nieuzasadniony.

Nacisnął dzwonek i czekał.

Drzwi otworzył Stanley Rode. Był ubrany bardzo starannie i schludnie.

- Och, dzień dobry - powiedział takim tonem, jakby byli starymi

przyjaciółmi. - Czy ma pan samochód?

- Niestety, zostawiłem go w Londynie.

- Nic nie szkodzi. - Rode wydawał się zawiedziony. - Myślałem, że moglibyśmy wybrać się na przejażdżkę i pogadać po drodze. Trochę mam już dość tego samotnego siedzenia w domu. Panna D'Arcy zaproponowała mi, żebym zamieszkał na jakiś czas u nich. To bardzo mili ludzie, naprawdę bardzo życzliwi, ale jakoś nie miałem ochoty... Chyba jeszcze na to za wcześnie.

- Rozumiem pana.

- Doprawdy? - Byli już w przedpokoju, Smiley zdejmował płaszcz, Rode czekał, chcąc go odebrać. - Chyba niewielu ludzi to rozumie... mam na myśli samotność. Czy wie pan, co oni zrobili... to znaczy rektor i pan D'Arcy? Wiem, że mieli dobre intencje. Rozdzielili między innych wszystkie prace egzaminacyjne, które miałem sprawdzać. Więc co mam tutaj robić, siedząc samotnie w domu? Nie mam nawet żadnych zajęć z uczniami; przejęli je inni. Można by pomyśleć, że chcą się mnie pozbyć. Smiley niezobowiązująco przytaknął skinieniem głowy. Rode ruszył przodem, prowadząc go do salonu.

- Jak już powiedziałem, wiem, że mieli jak najlepsze intencje. Ale w końcu muszę jakoś spędzać ten czas. Simon Snów dostał część prac,

63

które miałem sprawdzać. Czy poznał go pan przypadkiem? Jednemu z chłopców dał sześćdziesiąt jeden procent. Ten chłopiec jest kompletnym nieukiem; powiedziałem Fieldingowi już na początku semestru, że z pewnością nie przejdzie do następnej klasy. Nazywa się Perkins; to zresztą miły chłopak, starosta klasy Fieldinga. Przy wielkim szczęściu mógłby

dostać trzydzieści procent... a Snów dał mu sześćdziesiąt jeden.

Oczywiście nie widziałem jeszcze tej pracy, ale to niemożliwe, po prostu niemożliwe. Obaj usiedli.

- Nie żebym chciał utracić tego ucznia; to miły, dobrze wychowany chłopiec. Oboje z żoną zamierzaliśmy go w tym semestrze zaprosić na podwieczorek, i zrobilibyśmy to, gdyby nie... - Na chwilę zapadła cisza. Smiley właśnie chciał ją przerwać, kiedy Rode podniósł się z fotela.

-Postawiłem czajnik na ogniu, panie...

- Smiley.

- Postawiłem czajnik na ogniu, panie Smiley. Czy mogę panu zrobić filiżankę kawy? - Starannie panował nad swoim głosem, dokładnie wymawiając słowa. Jakby poruszał się w wypożyczonym fraku, pomyślał Smiley.

Rode wrócił po kilku minutach, niosąc tacę i skrupulatnie odmierzył ilości kawy, stosując się do upodobań każdego z nich.

Smiley poczuł, że irytują go towarzyskie aspiracje gospodarza i jego ciągłe wysiłki zmierzające do zatajenia swego pochodzenia. Pochodzenie to można było natychmiast rozszyfrować; wskazywały na nie każde jego słowo i każdy gest - od sposobu trzymania filiżanki aż po nawyk podciągania spodni przy siadaniu.

- Czy mógłbym teraz - zaczął Smiley - spytać pana...

- Proszę bardzo.

- Chodzi nam oczywiście przede wszystkim o związki pani Rode z... naszym kościołem.

- Naturalnie.

- O ile wiem, pobrali się państwo w Branxome?

- W świątyni w Branxome Hill, piękny kościół. - D'Arcy nie pochwaliby tonu, jakim udzielił tej odpowiedzi; mówił jak przemądrzały wyrostek.
- Kiedy to było?
- W pięćdziesiątym pierwszym, we wrześniu.
- Czy pani Rode angażowała się w Branxome w jakąś działalność charytatywną? Wiem, że tutaj była bardzo aktywna.

64

- Nie, nie w Branxome, ale tu istotnie miała sporo pracy. Widzi pan, w Branxome musiała nieustannie opiekować się ojcem. Tutaj wciągnęła się bardzo w akcję pomocy dla uchodźców. Rozkręciło się to naprawdę dopiero pod koniec 1956; najpierw pomagali Węgrom, a w ostatnim roku...

Smiley uważnie przyglądał mu się zza okularów; potem mrugnął nerwowo i odwrócił wzrok.

- Czy brała czynny udział w życiu towarzyskim na terenie szkoły? Czy żony profesorów mają tu jakiś klub kobiet albo coś w tym rodzaju? - spytał niewinnie Smiley.

- Owszem, trochę. Ale jako członek kościoła nonkonformistycznego zadawała się głównie ze swoimi współwyznawcami z miasta... powinien pan o to spytać pana Cardew; to tutejszy pastor.

- Ale czy mogę napisać, że pani Rode brała też aktywny udział w życiu szkoły?

Rode zawahał się. Tak, oczywiście.

- Dziękuję panu.

Na chwilę zapadła cisza. Przerwał ją Smiley.

- Nasi czytelnicy pamiętają oczywiście panią Rode jako zwycięzcy-nię

naszego konkursu na praktyczne porady kuchenne. Czy była dobrą kucharką, panie Rode?

- Bardzo dobrą. Gotowała proste potrawy, nie jakieś tam wymyślne dania.
- Czy istnieje coś, o czym pana zdaniem powinniśmy wspomnieć... coś, czym ona sama chciałaby się upamiętnić?

Rode spojrział na niego tępym wzrokiem. Potem wzruszył ramionami.

- Nie, chyba nie. Nic nie przychodzi mi do głowy. Ach, tak, możecie napisać, że jej ojciec piastował na północy stanowisko sędziego. Była z tego bardzo dumna.

Smiley dopił kawę i wstał z fotela.

- Okazał mi pan wiele cierpliwości, panie Rode. Jesteśmy za to naprawdę bardzo wdzięczni. Wyślemy panu odbitkę nekrologu jeszcze przed jego publikacją...

- Dziękuję. Widzi pan, zrobiłem to dla niej. Lubiała „Głos”, zawsze go czytała. Od dzieciństwa.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Przy okazji, czy wie pan, gdzie mogę znaleźć starego pana Glastona? Czy zatrzymał się w Carne, czy też wrócił już do Branxome?

5 Perfekcyjne morderstwo

65

- Był u mnie wczoraj. Wraca do Branxome dziś po południu. Policja chciała się z nim zobaczyć, zanim wyjedzie.
- Rozumiem.
- Mieszka w Sawley Arms.
- Dziękuję. Może spróbuję spotkać się z nim przed wyjazdem.
- A kiedy wraca pan do Londynu?

- Niebawem, jak sędę. A zatem do widzenia, panie Rode. Chciałbym jeszcze dodać... - zaczął Smiley.

- Tak?

- Gdyby pan kiedykolwiek był w Londynie i nie miał nic lepszego do roboty i miał ochotę pogadać... czy wypić filiżankę herbaty... będzie pan zawsze mile widziany w redakcji „Głosu”. Zawsze.

- Dziękuję bardzo, panie...

- Smiley.

- Dziękuję, to bardzo miło z pańskiej strony. Nikt się tak do mnie nie zwracał już od dawna. Któregoś dnia skorzystam z pańskiego zaproszenia. Jestem bardzo wdzięczny.

- Do widzenia.

Znów podali sobie ręce. Dłoń Stanleya Rode była chłodna, sucha i gładka. Smiley wrócił do Sawley Arms, usiadł przy biurku w pustym saloniku dla gości hotelowych i napisał krótki list do ojca Stelli:

Drogi Panie Glaston,

przebywam w Carne jako przedstawiciel panny Brimley z „Głosu Chrześcijańskiego”. Mam kilka listów od Stelli, które zapewne chętnie Pan przeczyta. Proszę mi wybaczyć, że molestuję Pana w tym smutnym momencie, ale o ile wiem, opuszcza Pan Carne dziś po południu, więc byłoby dobrze, gdyby zechciał Pan zobaczyć się ze mną przed wyjazdem. Dokładnie zakleił kopertę i udał się z nią do recepcji. Nie było w niej nikogo, więc nacisnął dzwonek i czekał. W końcu zjawił się portier - stary odźwierny o szarej, niedogolonej twarzy - i obejrzawszy podejrzliwie kopertę, zgodził się, w zamian za przesadnie wysoki napiwek, zanieść ją do pokoju pana Glastona. Smiley pozostał w recepcji i czekał na

odpowieź.

Smiley należał do gatunku samotników, którzy sprawiają wrażenie, że przyszli na świat w pełni wykształceni, w wieku lat osiemnastu. Niechęć do rzucania się w oczy nie tylko leżała w jego naturze, lecz była również jego zawodem. Świat wywiadu nie jest światem barwnych, atrakcyjnych przygód. Człowiek, który tak jak Smiley mieszkał i pracował przez wiele

66 lat wśród wrogów swego kraju, modli się przede wszystkim o jedno: żeby nigdy, przenigdy nie zostać zauważonym. Jego najważniejszym zadaniem jest asymilacja; wtopienie się w mijający go na ulicy tłum, który darzy miłością, gdyż zapewnia mu anonimowość i bezpieczeństwo. Jego lęk czyni go człowiekiem pokornym; gotów byłby paść w ramiona tych, którzy potrącają go niecierpliwie i spychają z chodnika. Gotów byłby pokochać urzędników, policjantów, konduktorów w autobusach, byleby zachowali wobec niego obojętną postawę.

Ale właśnie ten lęk i ta pokora wyrobiły w Smileyu wrażliwość na cechy bliźnich; kobiecą zdolność szybkiej oceny ich charakterów i motywacji. Znał ludzi równie dobrze jak myśliwy zna swe zamaskowane ukrycie, jak lis zna las. Szpieg bowiem musi polować również wtedy, kiedy inni polują na niego, a tłum jest jego naturalnym środowiskiem. Potrafi odnotowywać słowa i gesty ludzi, dostrzegać ich ukryte spojrzenia czy ruchy na tej samej zasadzie, na jakiej myśliwy zauważa złamaną gałązkę czy zgniecioną paproć, a lis czuje zbliżające się niebezpieczeństwo.

Czekając więc cierpliwie na odpowiedź Glastona i rekapitulując w pamięci burzliwe wydarzenia minionych ośmiu godzin, potrafił równocześnie uporządkować je i ocenić w sposób całkowicie obiektywny. Na czym

polegała istota stosunków między Feliksem D'Arcy a Fieldingiem?  
Dlaczego zachowywali się tak, jakby łączyła ich, wbrew ich woli, jakaś wstydliva tajemnica? Spoglądając przez okno wychodzące na zaniedbany hotelowy ogród, widział nad krytym blachą dachem opactwa znane budynki szkoły; szkoły, która pielęgnowała stare wartości i odrzucała nowe. Wyobraził sobie widok szkolnego dziedzińca w chwili wychodzenia uczniów z kaplicy; grupki ubranych na czarno chłopców, demonstrujących powolną nonszalancję osiemnastowiecznej Anglii, i przypomniał sobie inną szkołę, którą dostrzegł nieopodal posterunku policji - państwowe liceum przeznaczone dla dzieci mieszkańców Carne - mały tandetny budynek, przypominający budkę portiera na opustoszałym cmentarzu. Duch tej szkoły tak się różnił od ducha tamtej, jak jej ceglana siedziba od zabytkowego gmachu dyrekcji Carne School.

Tak, pomyślał w duchu, Stanley Rode odbył daleką drogę od chwili ukończenia państwowej szkoły w Branxome. I jeśli zabił swą żonę, to motywów tej zbrodni - a nawet jej okoliczności - szukać należy na tej trudnej drodze do Carne School.

To miło z pańskiej strony, że pan przyszedł - powiedział Glaston. - Jestem wdzięczny panie Brimley, że pana przysłała. W „Głosie” pracują

67

dobrzy ludzie, zawsze tak było. - Powiedział to w taki sposób, jakby „dobro” było w jego oczach najwyższą wartością.

- Może zechce pan przeczytać te listy, panie Glaston. Obawiam się, że ten drugi będzie dla pana szokujący, ale przyzna pan z pewnością, iż postąpiłbym niesłusznie, nie pokazując go panu.

Siedzieli w hotelowej kawiarni, a olbrzymie rośliny przeżyły się wokół nich



jak wartownicy. Smiley wręczył Glastonowi oba listy, a starzec wziął je od niego bez chwili wahania i zaczął czytać. Trzymał je podczas lektury w wyciągniętej ręce, odchylając głowę nieco w tył, przymykając oczy i mocno zaciskając usta.

- Pracował pan z panną Brimley w czasie wojny, prawda? - spytał w końcu.

- Owszem, byłem współpracownikiem Johna Landsbury.

- Rozumiem, i dlatego zwróciła się do pana?

- Chyba tak.

- Czy należy pan do kościoła nonkonformistycznego?

- Nie.

Glaston milczał przez chwilę; siedział z rękami złożonymi na kolanach, wpatrując się w stół, na którym leżały listy.

- Stanley należał do tego kościoła, kiedy za niego wychodziła. Potem zmienił wiarę. Czy wiedział pan o tym?

Tak.

- U nas, na północy, nie postępuje się w ten sposób. Dla nas nasza religia jest czymś, o co toczyliśmy zwycięską walkę. Niemal jak podczas wyborów.

- Wiem o tym.

Glaston siedział wyprostowany jak żołnierz. Wydawał się raczej zły niż zasmucony. Nagle odwrócił wzrok w kierunku Smileya i przez dłuższą chwilę uważnie mu się przyglądał.

- Czy jest pan nauczycielem? - spytał, a Smiley pomyślał, że w okresie swej działalności zawodowej Samuel Glaston musiał być bardzo bystrym człowiekiem interesu.

- Nie... właściwie jestem na emeryturze.

- Jest pan żonaty? Byłem.

Stary znów pogрузył się w milczeniu, a Smiley zaczął żalować, że nie zostawił go w spokoju.

- Była bardzo rozmowna - powiedział w końcu Glaston. Smiley zbył tę informację milczeniem.

- Czy doniósł pan o tym policji?

68

Tak, ale oni już to wiedzieli. To znaczy wiedzieli, że Stella podejrzewa swego męża o zamiar zamordowania jej. Próbowwała powiedzieć o tym panu Cardew...

Temu pastorowi?

Tak. Uważał, że jest przemęczona... że ma urojenia.

- Czy pan też tak sądzi?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Ale na podstawie tego, co słyshałem o pańskiej córce, nie sądzę, by była niezrównowazona. Coś musiało obudzić jej podejrzenia i bardzo ją przestraszyć. Uważam, że nie wolno nam zamykać na to oczu. Moim zdaniem nie można złożyć na karb przypadku tego, że tuż przed śmiercią zaczęła się czegoś bać. I dlatego nie wierzę, że zabiła ją ta żebraczka.

Samuel Glaston przytaknął bardzo powolnym ruchem głowy. Smiley odniósł wrażenie, że ojciec Stelli stara się okazać zainteresowanie, po części z uprzejmości, po części zaś dlatego, że demonstrując obojętność, przyznałby się do utraty zainteresowania własnym życiem.

Po długim milczeniu Glaston złożył starannie oba listy i zwrócił je Smileyowi. Przez chwilę zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale nie

odezwał się słowem.

Smiley odczekał jeszcze chwilę, a potem wstał z fotela i cicho wyszedł z kawiarni.

## 10 MAŁE KOBIETKI

Shane Hecht uśmiechnęła się i wypła jeszcze łyk sherry. - Musi pan być człowiekiem ogromnie ważnym - zwróciła się do Smileya - skoro D'Arcy podaje przyzwoite sherry. Kim pan jest - kimś z Almanach de Gothai

- Niestety, nie. Obaj byliśmy w sobotę na kolacji u Terence'a Fieldin-ga i D'Arcy zaprosił mnie na kieliszek sherry.

- Czy nie uważa pan, że Terence jest człowiekiem przewrotnym? Charles go nie znosi. Obawiam się, że mają całkowicie rozbieżne poglądy na temat Sparty... Biedny Terence. Czy wie pan, że to jego ostatni semestr?

- Wiem.

To miło z pana strony, że przyszedł pan wczoraj na pogrzeb. Ja nie znoszę pogrzebów, a pan? W czarnym kolorze jest coś niezdrowego. Nigdy nie zapomnę pogrzebu Jerzego V. Lord Sawley udzielał się wtedy na

69

dworze i dał Charlesowi dwie wejściówki. Był uroczy. Zawsze myślę, że to w pewien sposób odebrało nam ochotę do bywania na zwyczajnych pogrzebach. Choć w gruncie rzeczy nie jestem całkiem pewna, jaki mam do nich stosunek. Podejrzewam, że są przede wszystkim rozrywką klas niższych; cherry, brandy i ciasteczka w saloniku. Myślę, że tacy ludzie jak my preferują dziś spokojne pogrzeby; żadnych kwiatów, tylko krótka uroczystość, a potem nabożeństwo żałobne. - Jej małe oczy błyszczały w radosnym podnieceniu. Dopła sherry i wyciągnęła w kierunku Smileya pusty kieliszek. - Czy byłby pan tak dobry? Nienawidzę sherry, ale Feliks

jest taki skąpy. Smiley napełnił jej kieliszek ze stojącej na stole karafki.

- Straszne to morderstwo, prawda? Ta żebraczka musi być obłąkana. Zawsze uważałam, że Stella Rode jest bardzo miłą osobą... i bardzo niekonwencjonalną. Potrafiła tak pomysłowo przerabiać na różne sposoby tę samą suknię... Ale miała dziwnych przyjaciół. Darzyła sympatią prostych ludzi, jeśli wie pan, co mam na myśli.

- Czy była lubiana w Carae?

Shane Hecht zaśmiała się z wyższością.

- Nikt nie jest lubiany w Carne... ale ją niełatwo było lubić... W niedzielę ubierała się na czarno... Proszę mi wybaczyć, ale czy ludzie z niższych sfer zawsze to robią? Chyba lubili ją mieszkańcy miasta. Uwielbiają każdego, kto zdradza szkołę. Ale ona należała do Christian Scientists czy czegoś w tym rodzaju.

- Do baptystów, o ile wiem - powiedział bez zastanowienia Smiley. Przez chwilę przyglądała mu się z autentycznym zainteresowaniem.

To urocze - mruknęła. - Proszę mi powiedzieć, kim pan jest? Smiley odparł żartobliwie, że jest bezrobotny, i zdał sobie sprawę, że o mało co nie zaczął się przed nią tłumaczyć jak mały chłopiec. Jej brzydota, tusza i głos, połączone z wyszukaną złośliwością sposobu wyrażania się, dawały jej niebezpieczną przewagę nad innymi. Smiley był skłonny porównać ją z Fieldingiem, ale dla Fieldinga inni ludzie właściwie nie istnieli. Dla Shane Hecht natomiast istnieli po to, by można było zarzucać im brak towarzyskiego obycia, ośmieszać ich, izolować i niszczyć.

- Czytałam w gazecie, że jej ojciec był człowiekiem całkiem zamożnym. Mieszkali gdzieś na północy. Drugie pokolenie. To zdumiewające, że była

taka skromna... taka naturalna. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że można chodzić do publicznych pralni czy przyjaźnić się z żebrakami... Choć oczywiście ludzie z tamtych stron są inni, nieprawdaż? Mię-70 dzy Ipswich a Newcastle znaleźć można tylko ze trzy dobre rodziny. A skąd pan pochodzi, mój drogi?

- Z Londynu.

To urocze. Byłam raz u Stelli na podwieczorku. Podała indyjską herbatę i nalewała najpierw mleko, a potem resztę. Była taka inna. - Spojrzała uważnie na Smileya i mówiła dalej: - Coś panu powiem. Uważałam ją za osobę tak nieznośną, że niemal budziła mój podziw. Należała do tych męczących małych snobów, którzy sądzą, że tylko ludzie skromni są uczciwi. - Uśmiechnęła się nagle i dodała: - Jeśli idzie o Stellę Rode, to byłam nawet skłonna zgodzić się z Charlesem, a to zdarza się naprawdę rzadko. Jeśli jest pan badaczem gatunku ludzkiego, to niech pan mu się przyjrzy. Kontrast jest uderzający.

W tym momencie przyłączyła się do nich siostra Feliksa D'Arcy, koścista, energiczna kobieta o zmierzwionych siwych włosach i aroganckim, agresywnym wyrazie twarzy.

- Dorothy, kochanie - mruknęła czule Shane - cóż za miłe przyjęcie.

Urocze. Jakie to fascynujące, że mamy okazję poznać kogoś, kto przyjechał z Londynu, nie uważasz? Rozmawialiśmy o pogrzebie tej biednej Stelli Rode.

- Stella Rode mogła cholernie mało znać się na formach, Shane, ale robiła wiele dla moich uchodźców.

- Uchodźców? - spytał niewinnie Smiley.

- Węgrów. Urządzała zbiórki na ich rzecz. Odzież, meble, pieniądze. Była

jedną z nielicznych żon, którym chciało się zrobić coś konkretnego. - Spojrzała ostro na Shane Hecht, która uśmiechnęła się dobrotliwie do stojącego za jej plecami męża. - Była pracowitą kobietą; potrafiła zakasać rękawy i chodzić od drzwi do drzwi. Wciągnęła w tę akcję swoje znajome z kościoła baptystów i wspólnie zdobyły mnóstwo rzeczy. Trzeba im to przyznać. Mają w sobie zapał. Feliksie, nalej mi jeszcze sherry!

W dwóch pokojach zgromadziło się około dwudziestu osób, ale Smiley, który przyszedł z lekkim opóźnieniem, znalazł się w ośmioosobowej grupie stojącej najbliżej drzwi wejściowych. Tworzyli ją D'Arcy z siostrą, Charles i Shane Hecht, młody matematyk nazwiskiem Snów i jego żona, wikary z opactwa, oraz sam Smiley, który czuł się nieco oszołomiony. Rozejrzał się ukradkiem, ale nie dostrzegł nigdzie Fieldinga.

Tak - ciągnęła Dorothy D'Arcy - była bardzo gorliwą działaczką, bardzo... aż do samego końca. Poszłam tam w piątek z tym pastorem ich świątyni - panem Cardew - żeby zobaczyć, czy nie trzeba pomóc w porządkowaniu darów dla uchodźców. Ale nie znalazłam jednej rzeczy, która nie leżałaby na swoim miejscu; każda paczka z odzieżą była zaadresowana,

71

towa do wysyłki. Była naprawdę znakomitą organizatorką. Wspaniale Pisała podczas dobroczynnego festynu.

Owszem, moja droga - przyznała słodkim głosem Shane Hecht. -

13 przedstawiłam ją lady Sawley. Miała taki uroczy kapelusik - wiesz: 2n, który wkładała w niedzielę, i była tak pełna szacunku. Zwra- a się do niej „wielmożna pani”. - Odwróciła się do Smileya i mówiła To dość feudalna forma, nie uważa pan? Zawsze mówię: zostało nas już tak mało.

Matematyk i jego żona rozmawiali w kącie z Charlesem Hechtem. W kilkunastu minutach opuścił dyskretnie swe dotychczasowe towarzystwo i przyłączył się do nich.

Ann Snów była dość ładną dziewczyną, choć miała kwadratową twarz. Jej mąż był wysoki, chudy i lekko przygarbiony. Trzymał w palcach kieliszek sherry w taki sposób, jakby była to reaktor chemiczny, a kiedy zabierał głos, zdawał się mówić do swego kieliszka, a nie do słuchaczy. Smiley przypomniał sobie, że widział ich na pogrzebie. Hecht miał zaczerwienioną twarz, a spożywał fajkę, wskazywał na jego rozdrażnienie. Prowadzili dość cichą rozmowę, którą zagłuszała po części sąsiednia grupa gości. 'Widzi pan, Simon, w odróżnieniu od większości, nie był uczniem Carne, więc nie znaliśmy tu nikogo i nikt nie interesował. Wszyscy oczywiście udawali, że bardzo się cieszą przyjaźnią z Ann Snów, ale tylko Stella naprawdę... W tym momencie podeszła do nich Dorothy D'Arcy. Ann Snów - powiedziała zdecydowanym tonem. - Zamierzałam z panem rozmawiać już wcześniej. Chcę, żeby zajęła pani miejsce Stelli w ko-

-dnia Stella - powiedziała po chwili ciszy Ann Snów. - Bardzo mi przykro, ale wciąż nie potrafię przestać o tym myśleć. To jakieś szaleństwo, po prostu szaleństwo. Dlaczego ta Janie miałyby ją zabić?

szaleństwo lubili Stellę? - spytał Smiley.

Oczywiście, że ją lubiliśmy. Była przemiła. Jesteśmy tu już czwarty ^ ale ona była jedyną osobą, która kiedykolwiek odniosła się do mnie. Jej mąż nie odezwał się, tylko kiwnął głową w kierunku kieliszka sherry. - Widzi pan, Simon, w odróżnieniu od większości, nie był uczniem Carne, więc nie znaliśmy tu nikogo i nikt nie interesował. Wszyscy oczywiście udawali, że bardzo się cieszą przyjaźnią z Ann Snów, ale tylko Stella naprawdę... W tym momencie podeszła do nich Dorothy D'Arcy. Ann Snów - powiedziała zdecydowanym tonem. - Zamierzałam z panem rozmawiać już wcześniej. Chcę, żeby zajęła pani miejsce Stelli w ko-

>mocy dla uchodźców. - Rzuciła taksujące spojrzenie w kierunku. - Naszemu rektorowi bardzo leży na sercu sprawa uchodźców.  
-n, mój Boże! - odpowiedziała zdumiona Ann Snów. - Ja w żadnym wypadku nie mogę się tego podjąć, panno D'Arcy. Ja...

12

- Nie może pani? Dlaczego pani nie może? Przecież pomagała pani Stelli w urządzaniu jej stoiska na kiermaszu, prawda?

- Wiemy teraz, skąd brała swoje stroje - mruknęła za ich plecami Shane Hecht.

- Ale ja nie mam tyle odwagi, ile miała Stella, o ile wie pani, co chcę powiedzieć - broniła się Ann Snów. - Poza tym ona była baptystką; wszyscy miejscowi współwierzni pomagali jej, zbierali dla niej dary i bardzo ją lubili. W moim przypadku sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.

- Brednie! - oświadczyła panna D'Arcy, która zwracała się do wszystkich osób młodszych od siebie jak do służby lub do niegrzecznych dzieci.

Stojąca obok niej Shane Hecht spytała:

- Baptyści to ludzie, którzy nie lubią rezerwowanych miejsc w ławkach kościelnych, prawda? Zgadza się z nimi, człowiek ma wrażenie, że skoro zapłacił, to po prostu musi iść na nabożeństwo.

- Ależ pani Hecht, rezerwowane miejsca mają wiele zalet - zaprotestował nieśmiało wikary, rozmawiający dotąd w kącie o grze w krykieta, po czym wygłosił rozwlekłą pochwałę tego starodawnego zwyczaju. Shane słuchała go z oznakami żywego zainteresowania, gdy zaś skończył, powiedziała:

- Dziękuję ci, Williamie, to urocze. - I odwróciła się do niego plecami. -

To William Trumper - poinformowała Smileya scenicznym szeptem. -

Jeden z dawnych uczniów Charlesa. Cóż to było za święto, kiedy zdał



maturę!

Smiley, pragnąc odciąć się od arogancji okazanej wikaremu przez Shane Hecht, zrobił krok w kierunku Ann Snów. Ona jednak nadal była ofiarą charytatywnej pasji panny D'Arcy, a Shane dalej mówiła do niego:

- Jedyny Smiley, o jakim kiedykolwiek słyszałam, poślubił pod koniec wojny lady Ann Sercombe. Oczywiście wkrótce go rzuciła. Był to bardzo dziwny związek. Mówiono, że zupełnie nie nadawał się na męża. Ona była kuzynką lorda Sawleya. Rodzina Sawleyów związana jest z Came School od czterystu lat. Obecny dziedzic tytułu jest uczniem naszej szkoły; często bywamy w pałacu na kolacji. Nie mam pojęcia, co stało się z tą Ann Sercombe... chyba wyjechała do Afryki... czy może do Indii? Nie, do Ameryki. To tragiczna historia. Nie mówi się o tym w pałacu. - Do Smileya przestał nagle docierać panujący w pokoju gwar. Przez chwilę czuł na sobie tylko badawcze spojrzenie Shane Hecht i wiedział, że czeka na odpowiedź. Później odwróciła się i odeszła, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, mogłabym cię zmiażdżyć. Ale nie zrobię tego; pozwolę ci żyć dalej”.

73

Celowo opuścił przyjęcie razem z Ann i Simonem Snów. Mieli stary samochód i uparli się, że odwiozą go do hotelu.

- Jeśli nie mają państwo nic lepszego do roboty - zaproponował po drodze - chętnie zaproszę państwa na kolację do Sawley Arms. Podejrzewam, że kuchnia jest okropna.

Państwo Snów zaprotestowali, potem przyjęli zaproszenie i w kwadrans później siedzieli wszyscy troje w kącie olbrzymiej hotelowej jadalni, ścigani niechętnymi spojrzeniami trzech kelnerów oraz chyba z dwunastu

przodków lorda Sawleya, tęgich mężczyzn uwiecznionych na wyblakłych portretach.

- Poznaliśmy ją w gruncie rzeczy dopiero podczas naszego drugiego semestru - mówiła Ann Snów. - Stella nie starała się utrzymywać kontaktów z innymi żonami; już wcześniej otrzymała stosowną nauczki. Nie chodziła na podwieczorki i spotkania towarzyskie, więc poznaliśmy ją w wyniku szczęśliwego zbiegu okoliczności. Kiedy tu przyjechalśmy, szkoła nie miała dla nas służbowego mieszkania i musieliśmy spędzić pierwszy semestr w hotelu. Pod koniec drugiego semestru przenieśliśmy się do małego domku na Bread Street. Przeprowadzka była fatalnie zorganizowana; Simon egzaminował akurat uczniów ubiegających się o stypendia, a poza tym byliśmy w nędzy, więc wszystko, co mogliśmy, robiliśmy własnymi rękami. Przeprowadzka odbyła się w deszczowy czwartkowy poranek. Lało jak z cebra, a żaden z naszych lepszych mebli nie chciał przejść przez drzwi, więc ci ludzie z firmy przewozowej zostawili w końcu wszystko przed domem, na mojej głowie. - Zaśmiała się, a Smiley pomyślał, że jest sympatycznym dzieckiem. - Byli naprawdę okropni. Chyba odjechaliby od razu, ale chcieli, żeby im natychmiast zapłacić, a rachunek był o wiele wyższy niż wstępny kosztorys. Oczywiście nie miałam przy sobie książeczki czekowej, bo zabrał ją przez pomyłkę Simon, więc zaczęli grozić, że wszystko odwiozą z powrotem. Było to okropne. O mało się nie rozplakałam.

O mało nie płacze teraz, pomyślał Smiley.

- I wtedy, nie wiadomo skąd, zjawiała się Stella. Nie mam pojęcia, skąd w ogóle wiedziała, że się przeprowadzamy, jestem pewna, że nie wiedział o tym nikt inny. Przyniosła z sobą kombinezon i jakieś stare buty -po prostu

przyszła nam pomóc. Kiedy zobaczyła, co się dzieje, wcale nie dyskutowała z tymi robotnikami - podeszła do telefonu i zadzwoniła do właściciela firmy. Nie wiem, co mu powiedziała, ale przekazała potem słuchawkę brygadziście i od tej pory wszystkie kłopoty się skończyły. Była bardzo zadowolona - zadowolona, że może komuś pomóc. Należała do tego rodzaju osób. Robotnicy wyjęli drzwi i udało im się wnieść 74 wszystko do środka. Umiała wspaniale pomagać bez rządzenia. Inne żony -dodała z goryczą - bardzo lubią rządzić, ale nigdy nikomu nie pomogą. Smiley kiwnął głową i dyskretnie napełnił kieliszki.

- Simon odchodzi ze szkoły - Ann stała się nagle skora do zwierzeń.

-Dostał stypendium, więc wracamy do Oksfordu. Ma zamiar zrobić doktorat i pracować na uniwersytecie.

Wypili za jego powodzenie. Potem rozmowa zwróciła się na jakiś czas ku innym sprawom.

- A sam Rode... - spytał w końcu Smiley -jaki jest we współpracy?

- Jest dobrym nauczycielem - odparł z namysłem Simon. - Ale jako kolega potrafi być męczący.

- Ach, on jest zupełnie inny niż Stella - powiedziała Ann. - Ma obsesję na punkcie szkoły. D'Arcy wziął go pod swoje skrzydła i zaraził go tym bakcylem. Simon mówi, że wszyscy absolwenci państwowych szkół przechodzą taką transformację - jest to gorliwość neofitów. Trudno na to patrzeć bez obrzydzenia. Po przyjeździe do Carne zmienił nawet wyznanie. Ale nie Stella -jej nie przyszłoby to nawet do głowy.

- Urzędowy kościół może zrobić wiele dobrego dla Carne School

-stwierdził Simon, a Smileyowi podobała się obiektywna precyzja tego sformułowania.

- Stella nie znalazła chyba wspólnego języka z panią Shane Hecht  
-delikatnie zarzucił haczyk Smiley.  
- Oczywiście, że nie! - z gniewem przyznała Ann. - Shane traktowała ją okropnie, stale z niej drwiła; nie mogła jej wybaczyć, że jest uczciwa i mówi wprost to, co myśli. Shane nienawidziła Stelli; chyba za to, że Stella nie chciała być wytworną damą. Wolą być sobą. To najbardziej niepokoiło Shane. Ona chce, żeby ludzie o coś się ubiegali, bo może wtedy robić z nich durniów.

To samo można powiedzieć o Carne School - spokojnie dodał Simon.

- Wspaniale działała w Komitecie pomocy dla uchodźców. To właśnie naraziło ją na prawdziwe kłopoty. - Ann delikatnie obracała w szczupłych dłoniach kieliszek z koniakiem.

- Kłopoty?

Tuż przed śmiercią. Nikt panu o tym nie mówił? O jej okropnej kłótni z siostrą Feliksa D'Arcy?

- Nie.

- Oczywiście, nie chcieli, żeby pan o tym wiedział. A Stella nigdy nie plotkowała.

75

- Pozwól, że ja panu o tym opowiem - wtrącił Simon. - To dobra historia. Kiedy zaczął się Rok Pomocy dla Uchodźców, Dorothy D'Arcy była pełna świętego zapału do działalności charytatywnej. To samo moż na powiedzieć o naszym rektorze. Zapał Dorothy zdawał się zawsze ko respondować z jego pasją dobroczynną. Zaczęła zbierać odzież oraz nie mądze i wysyłać to wszystko do Londynu. Było to bardzo chwalebne ale w tym samym czasie zorganizowano równie chwalebna akcję na terenie

miasta; patronat nad nią objął tutejszy burmistrz. Ale to nie wystarczy o Dorothy; twierdziła, że szkoła musi mieć własny komitet, że nie można mieszać akcji charytatywnych. Myślę, że w gruncie rzeczy stał za tym Feliks. Tak czy owak, po kilku miesiącach tej działalności londyńskie centrum pomocy dla uchodźców napisało do Dorothy z zapytaniem, czy ktoś zechciałby udzielić gościny parze uchodźców. Zamiast ogłosić ten list Dorothy po prostu odpisała, że weźmie ich do siebie. Jak dotąd wszystko było w porządku. Zjawili się to małżeństwo. Dorothy i Feliks z dumą przygarnęli je pod swój dach, a cała lokalna prasa nazwała ten czyn przykładem brytyjskiego humanitaryzmu.

Mniej więcej w sześć tygodni później para uchodźców zjawiała się pewnego dnia na progu Stelli. Państwo Rode byli bliskimi sąsiadami Feliksa i Dorothy a zresztą Stella próbowała interesować się tymi ludźmi w czasie ich pobytu u Dorothy. Kobieta tonęła we łzach, a jej mąż szalał z oburzenia, ale to nie zaniepokoiło Stelli. Poprosiła ich do salonu i poczęstowała herbatą. W końcu wytłumaczyli łamaną angielszczyzną, że uciekli od Dorothy ze względu na sposób, w jaki byli traktowani. Ta dziewczyna musiała od rana do nocy pracować w kuchni, a od jej męża wymagano żeby był odpowiedzialnym opiekunem tych cholernych spanieli, które hoduje Dorothy. Tych bez nosów.

- King Charles - odpowiedziała mu Ann

Wszystko to było po prostu okropne. Dziewczyna spodziewała się dziecka, a on miał dyplom inżyniera, więc żadne z nich nie nadawało się do spełniania! domowych posług. Powiedzieli Stelli, że Dorothy nie chciała na wystawę psów i wróci dopiero wieczorem. Stella poradziła im żeby na razie została u niej, a wieczorem poszła do Dorothy i powiedziała jej co się

stało. Widz, pan, była odważną kobietą. Choć w gruncie rzeczy to nie był akt odwagi, Zrobiła po prostu to, co wydawało jej się. Se Dorothy była wściekła. Zażądała, żeby Stella natychmiast' zjechała z uchodźców. Stella odparła, że oni nie chcą wrócić, i poszła do domu. Po powrocie zadzwoniła do centrum pomocy w Londynie i poprosiła o radę. Centrum przysłało jakąś kobietę, która po rozmowie z Dorothy i z tym 76

małżeństwem zabrała ich oboje nazajutrz do Londynu... Może pan sobie wyobrazić, jak umiałyby wykorzystać tę historię Shane Hecht?

- A więc nie zna jej do tej pory?

Stella nie powiedziała o tym nikomu oprócz nas, a my zachowaliśmy dyskrecję. Dorothy rozgłosiła po prostu, że uchodźcy pojechali do Londynu, gdzie mieli dostać jakąś pracę, i na tym wszystko się skończyło.

- Jak dawno temu to się stało?

- Wyjechali dokładnie przed trzema tygodniami - powiedziała Ann do swego męża. - Stella opowiadała mi o tym, kiedy przyszła do mnie na kolację; ty byłeś wtedy w Oksfordzie na rozmowie w sprawie tego stypendium. Dziś mijają dokładnie trzy tygodnie od tego dnia. - Potem zwróciła się do Smiley'a: - Biedny Simon przeżywa ciężkie chwile. Feliks D'Arcy zwałił mu na głowę wszystkie prace egzaminacyjne, które miał poprawiać Rode. Sprawdzenie jednej partii prac jest wystarczająco trudne; sprawdzanie dwóch to szaleństwo.

Tak - z namysłem przyznał Simon. - To był niedobry tydzień, i w pewien sposób dość upokarzający. Część chłopców, których uczyłem fizyki w ubiegłym semestrze, jest teraz w klasie Stanleya Rode. Uważałem, że kilku spośród nich nie da się po prostu niczego nauczyć, ale Rode miał na

nich najwyraźniej wspinały wpływ. Poprawiałem pracę jednego z tych uczniów - Perkinsa. Sześćdziesiąt jeden procent punktów. W ubiegłym semestrze dostał piętnaście, choć tematy były o wiele łatwiejsze. Dostał promocję tylko dlatego, że bronił go zawzięcie Fielding. To chłopak z jego klasy.

- Wiem, taki rudzielec, starosta klasy.

- Czyżby go pan znał? - spytał ze zdumieniem Simon.

- Och, po prostu przedstawił mi go Fielding - odparł wymijająco Smiley.

- Nawiasem mówiąc, czy o tym incydencie z uchodźcami panny D'Arcy słyszeli państwo również od kogoś innego? Czy ktoś potwierdził tę wersję wydarzeń?

- Nie. - Ann spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Opowiadała nam o tym Stella, a Dorothy D'Arcy nigdy oczywiście nie wspominała o tej sprawie. Ale musiała zniechęcić Stellę.

Odprowadził ich do samochodu i mimo ich protestów czekał, dopóki Simonowi nie udało się uruchomić silnika. W końcu odjechali z warkotem, który odbijał się echem w cichej uliczce. Smiley stał jeszcze przez chwilę na chodniku, spoglądając za nimi w zamyśleniu.

77

11

...I PŁASZCZ, ŻEBY BYŁO JEJ CIEPŁO

Pies, który nie pogryzł listonosza; diabeł latający na wietrze; kobieta, która wiedziała, że umrze... drobny człowieczek w płaszczu stał na śniegu przed hotelem, choć delikatny dzwonek wieży opactwa nakłaniał go do udania się na spoczynek.

Smiley wahał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami, przeszedł na

drugą stroną ulicy, wszedł do hotelu, minął ciemnawy hol i wolno ruszył po schodach na górę.

Odczuwał głęboką niechęć do Sawley Arms. To przytłumione światło w holu było typowe: niewystarczające, staroświeckie i w złym guście.

Podobnie jak kelnerzy w hotelowej jadalni, jak przyciszone rozmowy w saloniku dla gości, jak jego okropny pokój z niebieskimi pozłaczanymi naczyniami do herbaty i wiszącym na ścianie kilimem, przedstawiającym jakiś ogród.

W pokoju panował dotkliwy chłód; pokojówka musiała zostawić otwarte okno. Wrzucił szylinga do automatu i zapalił piecyk gazowy. Płomień zafalował niemrawo i zgasł. Smiley, mrużąc coś pod nosem, zaczął szukać papieru listowego i ku swemu zaskoczeniu znalazł go w szufladzie biurka. Przebrał się w piżamę, włożył szlafrok i z niechęcią wszedł do łóżka. Przesiedziawszy w nim niewygodnie kilka minut, wstał, zdjął z wieszaka płaszcz i rozłożył go na kołdrze. Płaszcz, żeby było jej ciepło... Jak dokładnie brzmiało jej oświadczenie? „I kiedyś, biedactwo, będzie mi za to wdzięczna, a potem wzięłam jej klejnoty dla świętych, żeby ozdobić kościół, i wzięłam jej płaszcz, żeby było mi ciepło...” Ten płaszcz dostała Stella dla uchodźców w ubiegłą środę. Na podstawie oświadczenia Janie można było wnosić, że wzięła płaszcz z oranżerii, w tym samym momencie, w którym zdjęła z szyi Stelli sznur koralików. Ale Do-rothy D'Arcy była tam w piątek rano - razem z panem Cardew - i opowiadała na swoim przyjęciu: „Ale nie znalazłam jednej rzeczy, która nie leżałaby na swoim miejscu; każda paczka z odzieżą była zaadresowana, gotowa do wysyłki. Była naprawdę znakomitą organizatorką...” Więc dlaczego Stella nie spakowała tego płaszcza? Skoro pakowała wszystko inne, to dlaczego



pominęła płaszczy?

A może Janie ukradła płaszczy, zanim Stella przygotowała paczki? Gdyby tak było, to poszlaki wskazujące na jej winę stałyby się trochę mniej przekonujące. Ale tak nie było. Nie było tak, bo wydawało się niepraw-78 dopodobne, aby Janie ukradła płaszczy po południu i wróciła do domu Stelli wieczorem.

- Zaczniemy od początku - mruknął nieco sentencjonalnie Smiley do leżącej przed nim kartki papieru. - Janie ukradła płaszczy w tym samym momencie, w którym ukradła paciorki - to znaczy, kiedy Stella już nie żyła. A zatem albo płaszczy nie został spakowany wraz z resztą odzieży, albo...

Albo co? Albo odzież spakował ktoś inny, a nie Stella Rode; zrobił to już po śmierci Stelli, ale zanim Dorothy D'Arcy zjawiała się w Norm Fields z panem Cardew. A ich wizyta miała miejsce w piątek rano. Ale dlaczego, do diabła, myślał Smiley, ktoś miałby to zrobić?

Jedną z podstawowych zasad postępowania Smileya - bez względu na to, czy miał do czynienia z rękopisami jakiegoś zapomnianego poety, czy ze zgromadzonymi przez pracowników wywiadu strzępkami informacji - brzmiała: nie należy wykraczać poza dostępne dowody.

Uważał, że kiedy w drodze dedukcji ustali się jakiś fakt, błędem jest przypisywanie mu nadmiernie dużego znaczenia.

Dlatego, zamiast poszukiwać wniosków płynących ze swego odkrycia, zajął się najbardziej niejasnym problemem całej sprawy: motywem zabójstwa.

Zaczął pisać:

Dorothy D'Arcy - niechęć wywołana przez aferę z uchodźcami. Stanowczo

za mało jak na motyw morderstwa. Ale dlaczego z taką ostentacją wychwalała zasługi Stelli?

Feliks D'Arcy - gardził Stella Rode za to, że nie stosowała się do uświęconych tradycją zwyczajów szkoły. Jako motyw morderstwa - absurdałne.

Shane Hecht - nienawiść.

Terehce Fielding - w normalnych warunkach brak logicznego motywu.

Ale czy oni żyli w normalnych warunkach? Od lat dzielili to samo życie, mówili te same rzeczy tym samym ludziom, śpiewali te same hymny. Nie mieli pieniędzy ani nadziei. Świat się zmieniał, zmieniała się moda; ich żony oglądały to tylko w kolorowych czasopismach, a potem upinały włosy, wkładały swoje skromne suknie i jeszcze bardziej nienawidziły swych mężów. Shane Hecht - czy to ona zabiła Stellę Rode? Czy kryła w swym wielkim cielsku nie tylko nienawiść i zazdrość, lecz również odwagę, jakiej wymaga morderstwo? Czy bała się o karierę swego głupiego męża, czy bała się awansu Stanleya Rode, jego inteligencji? Czy naprawdę była tak zła, kiedy Stella odmówiła udziału w bezsensownej grze polegającej na naśladowaniu ludzi z wyższych sfer?

79

Rigby miał racje. - nie można było tego zgłębić. Tylko człowiek chory może zrozumieć innych chorych, ale musi spędzić w sanatorium nie tygodnie, lecz całe lata, musi leżeć na jednym z ustawionych rzędem łóżek, musi poznać zapach podawanego im jedzenia i czytać głód w ich oczach. Musi to widzieć i słyszeć, musi stać się jednym z nich, poznać ich zasady postępowania i sposoby naruszania tych zasad. Tym światem rządzą szczególne zasady; krótkowzroczne i obłudne, lecz realne.

Ale niektóre zjawiska rzucały się w oczy: dziwny związek łączący, mimo ich wzajemnej niechęci, Feliksa D'Arcy i Terence'a Fieldinga; upór, z jakim D'Arcy unikał rozmowy o wieczorze, podczas którego doszło do morderstwa, życzliwość, jaką darzył Stellę Rode Fielding (choć nie lubił jej męża), pogarda, jaką odczuwała wobec całego otoczenia Shane Hecht. Nie potrafił powstrzymać się od myślenia o Shane Hecht. Gdyby w Came School obowiązywały racjonalne zasady i gdyby ktoś musiał umrzeć, właśnie ona wydawała się najpoważniejszą kandydatką do roli ofiary. Znała tajemnice innych ludzi, instynktownie i bezbłędnie wyczuwała ich słabości. Przecież zdążyła już rozpracować nawet jego. Mówiąc o jego nieudanym małżeństwie, dręczyła go dla własnej przyjemności. Tak, była idealną kandydatką na ofiarę morderstwa.

Ale dlaczego, na Boga, zginęła Stella? Dlaczego i jak? Kto spakował paczkę po jej śmierci? I dlaczego?

Próbował usnąć, ale bez powodzenia. W końcu, kiedy zegar na wieży opactwa wybił trzecią, ponownie zapalił światło i usiadł na łóżku. W pokoju było o wiele cieplej i Smiley zaczął się zastanawiać, czy ktoś włączył centralne ogrzewanie, które przez cały dzień było nieczynne. Potem usłyszał szum ulewy. Podeszedł do okna i rozsunął zasłony. Padał silny deszcz; nie ulegało wątpliwości, że do rana cały śnieg zostanie zmyty. Ulicą szli dwaj policjanci; słyszał chlupot błota pod ich butami. Ich mokre czapki załśniły w blasku ulicznej latarni.

I nagle wydało mu się, że słyszy głos inspektora Rigby'ego: „Wszędzie krew. Morderca - ktokolwiek nim był - musiał być skąpany we krwi”. I słowa Pomyłonej Janie, która wołała do niego, stojąc na oświetlonym przez księżyc śniegu: „Janie go widziała... miał srebrne skrzydła, srebrne

jak ryby... mało który z was widział latającego diabła..." Oczywiście: ta paczka! Długo stał w oknie, patrząc na deszcz. W końcu, zadowolony z siebie, wgramolił się do łóżka i natychmiast zasnął.

Przez całe rano próbował dodzwonić się do panny Brimley. Za każdym razem mówiono mu, że wyszła i nie wiadomo, kiedy wróci. W końcu, około południa, zastał ją i przedłożył swoją prośbę. 80

- George - powiedziała - strasznie mi przykro, ale jest w Londynie pewien misjonarz... muszę przeprowadzić z nim wywiad, a po południu mam konferencję kościoła baptystów. Oba artykuły mają wejść do najbliższego numeru. Czy wystarczy, jeśli załatwię to jutro, z samego rana?

- Tak - odparł Smiley. - Jestem pewien, że wystarczy. - Nie było szczególnych powodów do pośpiechu. Tym bardziej że chciał wyjaśnić tego popołudnia jeszcze kilka niewyjaśnionych dotąd spraw.

## 12 NIEZRĘCZNE SŁOWA

I azda autobusem upłynęła mu przyjemnie. Zgryźliwy i gadatliwy konduktor opowiadał pasażerom o swym przedsiębiorstwie transportowym i tłumaczył, dlaczego traci ono pieniądze. Delikatnie zachęcany przez Smileya, tak szeroko rozwinął ten temat, że zanim dojechali do Sturminster, dyrektorzy Dorset and General Transport Company przedstawieni zostali jako stado gadareńskich wieprzy, gnających w kierunku przepaści, czyli dobrowolnego bankructwa. Tenże konduktor wytłumaczył mu, gdzie mieści się w Sturminster hodowla psów, kiedy więc wysiadł z autobusu w tym małym miasteczku, podążył pewnym krokiem w kierunku grupy wiejskich domków, stojących o jakieś pół kilometra za kościołem, przy drodze do Okefordu.

Miał niemiłe przeczucie, że pan Harriman nie wzbudzi jego sympatii. Już

sam fakt, że D'Arcy opisywał go w superlatywach, nastawiał Smileya przeciw niemu. Nie był przeciwnikiem podziałów klasowych, ale wolał oceniać ludzi według własnych kryteriów.

Na furtce umieszczona była tabliczka z napisem: HODOWLA PSÓW. WŁAŚCICIEL: CJ. REID-HARRIMAN, WETERYNARZ. OWCZARKI ALZACKIE i LABRADO-RY. PENSJONAT DLA PSÓW.

Na tyły domu prowadziła wąska ścieżka. Wszędzie wisiało suszące się pranie: koszule, bielizna i prześcieradła, przeważnie w kolorze khaki. W powietrzu unosił się silny zapach psów. Na podwórku stała studnia z ręczną pompą, na której wisiało kilka smyczy. Obok niej stała mała dziewczynka. Z wyraźnym smutkiem przyglądała się Smileyowi, który brnął przez błoto w kierunku drzwi wejściowych. Pociągnął za rączkę dzwonka i czekał. Po chwili spróbował jeszcze raz.

- Dzwonek nie działa - powiedziało dziecko. - Jest zepsuty. Już od dawna.

## 6 Perfekcyjne morderstwo

81

- A czy jest ktoś w domu? - spytał Smiley.

- Zobaczę - odparła chłodno, po czym raz jeszcze uważnie mu się przyjrzała i zniknęła za domem. Po chwili usłyszał z wnętrza zbliżające się kroki i drzwi zostały otwarte.

- Dzień dobry - powitał go jakiś jasnowłosy wąsaty mężczyzna. Miał na sobie beżową koszulę i jasnobieżowy krawat, stare spodnie od munduru wojskowego i tweedową marynarkę ze skórzanymi guzikami.

- Pan Harriman?

- Major Harriman - odparł życzliwym tonem. - Co zresztą nie ma żadnego znaczenia. Czym mogę panu służyć?

- Zamierzam kupić owczarka alzackiego - odparł Smiley. - Potrzebny mi jest pies obronny.

- Rozumiem. Proszę wejść. Moja małżonka jest chwilowo nieobecna. Proszę nie zwracać uwagi na dziecko. To córka sąsiadów. Przychodzi, bo lubi psy. - Smiley wszedł w ślad za nim do pokoju, gdzie obaj usiedli. W kominku nie palił się ogień.

- Skąd pan jest? - spytał Harriman.

- Przebywam chwilowo w Carne; mój ojciec mieszka na wsi, w hrabstwie Dorchester. Starzeje się, jest nerwowy i chce, żebym mu znalazł dobrego psa. Jest tam ogrodnik, który może się nim zajmować w ciągu dnia - karmić go, wyprowadzać na spacer i tak dalej. Ale ogrodnik wraca na noc do siebie, a ojciec denerwuje się, zostając samotnie w domu. Chciałem już dawno kupić mu psa, ale ta historia, która zdarzyła się w Carne, uświadomiła mi, że nie należy tego odkładać.

- Czy ten ogrodnik to przyzwoity człowiek? - spytał Harriman, ignorując aluzję.

Tak, bardzo przyzwoity.

- Nie potrzebuje pan znakomicie wyszkolonego psa. Powinien pan kupić takiego, który będzie zrównoważony i posłuszny. Na pańskim miejscu wziąłbym sukę. - Miał ciemne, opalone dłonie i przeguby rąk. W rękaw jego koszuli wetknięta była chustka do nosa. Smiley zauważył, że nosi zegarek zwrócony tarczą ku wewnętrznej stronie ręki, stosownie do mody panującej w kołach wojskowego demi monde, do którego najwyraźniej niegdyś należał.

- Jak się będzie zachowywać taka suka? Czy będzie agresywna?

- Zależy, jak się ją wytresuje, tak, zależy, jak się ją wytresuje. Ale będzie

ostrzegać, a to jest najważniejsze. Wystraszy wszystkich intruzów. Niech pan wywiesi tabliczkę UWAGA: ZŁY PIES i pozwoli jej poszcze-kać na listonosza, a cała okolica będzie o tym wiedziała. Włamywacze nawet nie zbliżą się do domu.

82

Wyszli do ogrodu i Harriman pokazał Smileyowi klatkę, w której biegało sześć małych owczarków alzackich, wściekle ujadających przez drucianą siatkę.

- Wszystkie psy z tego miotu są bardzo dobre - zawołał. - Cholernie ostre.  
- Otworzył drzwi klatki i po chwili wyłonił się z niej, trzymając na rękach małą, pulchną suczkę, która z zapałem gryzła jego marynarkę.

Ta mała panienka byłaby dla pana odpowiednia - oznajmił. - Nie możemy jej wystawiać, bo jest zbyt ciemna.

Smiley udał, że się waha, pozwolił Harrimanowi dać się przekonać, i w końcu wyraził zgodę. Weszli na powrót do domu.

- Wpłacę zaliczkę - powiedział Smiley - i odbiorę tę suczkę za jakieś dziesięć dni. Czy to wystarczy? - Wręczył Harrimanowi czek na pięć funtów, po czym obaj znów usiedli. Harriman szukał w swym biurku świadectw szczepienia i formularzy rodowodu.

- Szkoda, że ta pani Rode nie miała psa, prawda? - spytał nagle Smiley. - Być może ocaliłby jej życie.

- Ależ ona miała psa, tylko kazała go uśpić tuż przed śmiercią - oświadczył Harriman. - Mówiąc między nami, to cholernie dziwna sprawa. Była przywiązana do tego psa. To był kundel, mieszaniec, ale ona go kochała. Przywiozła go tu kiedyś, opowiedziała mi jakąś historyjkę o tym, że pogryzł listonosza, i poprosiła, żebym go uśpił; twierdziła, że jest

niebezpieczny. Była to kompletna bzdura. Moi przyjaciele mieszkający w Carne przeprowadzili dyskretne dochodzenie. Nikt nie składał żadnych skarg. Listonosz lubił tego kundla. To cholerna głupota, żeby opowiadać takie kłamstwa, kiedy mieszka się w małym miasteczku. Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw.

- Więc dlaczego, na Boga, kłamała?

Harriman wykonał gest, który Smileyowi wydał się szczególnie irytujący: przejechał palcem wskazującym po grzbiecie nosa, a potem szybko podkręcił z obu stron swe absurdalne wąsy. Zrobił to z pewnym zażenowaniem, jak podoficer, który naśladuje swego dowódcę i boi się reprimendy.

- Ona była intrygantką - stwierdził stanowczo. - Potrafię rozpoznać takie osoby. Kilkakrotnie stykałem się z nimi w moim pułku - z żonami, które lubiły intrygi. Małe wdzięczące się kobietki. Nie skrzywdziłyby muchy, bardziej pobożne niż papież i tak dalej. Układały kwiaty w kościele i dawały liczne dowody swej świątobliwości. Moim zdaniem była histeryczką, lubiącą wszystko dramatyzować, stale popłakującą po kątach nad swoim nieudanym życiem. Gotową zrobić wszystko, byle tylko był jakiś dramat.

83

- Czy była lubiana? - spytał Smiley, częstując go papierosem.

- Nie sędzę. Dzięki. W niedzielę ubierała się podobno na czarno. Typowe. Na Wschodzie mówiliśmy o takich kobietach „wrony” albo „niedzielne dziewice”. Były prze ważni e wyznawczyniami innych religii -nie należały do kościoła anglikańskiego. Niektóre były katoliczkami... mam nadzieję, że pan nie należy do...



- Bynajmniej.
- Człowiek nigdy nie jest pewien, z kim ma do czynienia, prawda?

Osobiście nie mogę ich znieść; nie mam żadnych uprzedzeń, ale nie lubię katolików - tak mawiał mój stary ojciec.

- Czy znał pan jej męża?
- Tego biedaka? Bardzo słabo, prawie wcale.

Smiley zauważył, że Harriman darzy żywych znacznie większym współczuciem niż zmarłych. Być może było to typowe dla byłych żołnierzy.

- Podobno jest okropnie załamany. To straszny szok - zmienne losy wojny, co? - ciągnął Harriman, a Smiley kiwnął potakująco głową. - To zupełnie inny typ człowieka. Skromne pochodzenie, dobry materiał na oficera, świetny kompan. Tacy najciężej przeżywają załamanie i najczęściej padają ofiarą kobiet.

Szli ścieżką w kierunku furtki. Smiley pożegnał się i obiecał, że przyjedzie po szczeniaka za jakiś tydzień. Odchodząc, usłyszał za sobą głos Harrimana:

- Och, jeszcze jedna sprawa... Smiley stanął i odwrócił się na pięcie.
- Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebym od razu zrealizował czek i uznał tę sumę za bezzwrotną zaliczkę?
- Oczywiście, że nie - odparł Smiley. - Tak będzie najlepiej. - Po czym ruszył w kierunku przystanku autobusowego, zastanawiając się nad dziwnym niekiedy sposobem myślenia zawodowych oficerów.

Ten sam autobus dowiózł go do Carne, ten sam konduktor pomstował na swych pracodawców, ten sam kierowca przejechał całą trasę na drugim biegu. Wsiadł na dworcu i udał się do zbudowanej z czerwonej cegły

świątyni kongregacji nonkonformistów. Cicho otworzył gotyckie odrzwia, wykonane z żółtawego politurowanego sosnowego drewna, i wszedł do wnętrza. Jakaś starsza kobieta w fartuchu roboczym polerowała ciężki mosiężny kandelabr, zwisający nad główną nawą. Po chwili wahania Smiley podszedł do niej na palcach i spytał, gdzie może znaleźć pastora. W milczeniu wskazała mu palcem drzwi do zakrystii. Stosując się do jej niemego pouczenia, podszedł do nich i zapukał. Otworzył mu wysoki mężczyzna w koloratce.

84

- Jestem z redakcji „Głosu Chrześcijańskiego” - cicho przedstawił się Smiley. - Czy mogę z księdzem chwilę porozmawiać?

Pastor Cardew wprowadził go bocznym wejściem do małego, starannie uprawianego warzywnika; puste grządki przedzielone były żółtymi ścieżkami. Mimo słonecznej pogody panowała niska temperatura. Był piękny chłodny dzień. Minęli warzywnik i weszli na zielony trawnik. Mimo padającego ubiegłej nocy deszczu, ziemia była twarda, a trawa krótka. Szli obok siebie, rozmawiając.

Ten skrawek pastwiska nazywa się Lammas Land i należy do szkoły. W lecie organizujemy tu festyny. Jest to bardzo wygodne.

Cardew nie wydawał się typowym pastorem. Smiley, który żywił wobec osób duchownych niemal dziecinną nieufność, spodziewał się ujrzeć religijnego fanatyka, agresywnego kaznodzieję przemawiającego kwiecistym stylem.

- Przysłała mnie tu panna Brimley, redaktor naczelny naszego pisma - zaczął Smiley. - Pani Rode była prenumeratorką naszego czasopisma; jej rodzina czytywała je od momentu powstania. Była niemal członkiem

naszej społeczności. Chcielibyśmy wspomnieć w nekrologu o jej działalności na rzecz kościoła.

- Rozumiem.
- Udało mi się też zamienić kilka słów z jej mężem; chcemy napisać o niej we właściwym tonie.
- I co panu powiedział?
- Że powinienem porozmawiać z panem o jej działalności; szczególnie o pomocy, jakiej udzielała uchodźcom.

Przez chwilę szli w milczeniu. Potem pastor powiedział:

- Pochodziła z północy, z okolic Derby. Jej ojciec był tam ważnym człowiekiem, choć pieniądze wcale go nie zmieniły.
- Wiem o tym,
- Znam całą rodzinę od lat. Widziałem się przed pogrzebem z jej starym ojcem.
- Co mogę napisać o jej pracy na rzecz kościoła, o jej wpływie na parafialną społeczność? Czy mogę stwierdzić, że była powszechnie kochana?
- Obawiam się - oznajmił pastor Cardew po krótkiej przerwie - że nie przepadam za takimi sformułowaniami, panie Smiley. Ludzie nigdy nie są powszechnie kochani, nawet po śmierci. - Jego akcent dowodził wyraźnie, że również pochodzi z północy.
- Więc co mogę napisać?

85

- Nie wiem - odparł łagodnie pastor. - A kiedy czegoś nie wiem, to zazwyczaj nie zabieram głosu. Skoro jednak zechciał mnie pan o to spytać, to odpowiem, że nigdy dotąd nie spotkałem anioła i Stella Rode również

nim nie była.

- Ale czyż nie była jedną z czołowych postaci komitetu do spraw uchodźców?

- Owszem. Owszem, była.

- I czyż nie zachęcała innych do podobnych wysiłków?

- Oczywiście. Była ofiarną działaczką.

Znów szli przez chwilę w milczeniu. Ścieżka wiodąca przez pole schodziła w dół i biegła wzdłuż strumienia, który był niemal niewidoczny w gąszczu porastających oba brzegi krzaków głogu i janowca. Za strumieniem stał rząd nagich wiązów, za nimi zaś rozciągała się panorama miasta Carne.

- Czy to wszystko, czego chciał się pan ode mnie dowiedzieć? - spytał nagle Cardew.

- Nie - odparł Smiley. - Naszą redaktorę bardzo zaniepokoił list, jaki otrzymała od pani Rode tuż przed jej śmiercią. Było to jakby... oskarżenie. Przekazaliśmy tę sprawę policji. Panna Brimley wyrzuca sobie, że nie była w stanie jej pomóc. Być może to nielogiczne, ale tak wygląda prawda. Chciałbym móc ją zapewnić, że nie było żadnego związku między śmiercią Stelli Rode a tym listem. To jest drugi motyw mojej wizyty...

- Kogo oskarżała w tym liście?

- Swego męża.

- Może pan powiedzieć panie Brimley - oznajmił Cardew, wolno i z naciskiem - że nie powinna mieć najmniejszych wyrzutów sumienia.

13

## DROGA DO DOMU

Był poniedziałkowy wieczór. Niemal w tym samym momencie, w którym Smiley wracał do hotelu po swej rozmowie z pastorem Cardew, Tim

Perkins, starosta klasy Fieldinga, żegnał się z panią Harlowe, która uczyła go gry na wiolonczeli. Była życzliwą, choć nerwową kobietą i martwiła się, widząc, że jest przygnębiony. Był zdecydowanie najlepszym uczniem, jakiego kiedykolwiek skierowała do niej Carne School, a poza tym lubiła chłopca.

86

- Grałeś dziś fatalnie, Tim - powiedziała, żegnając go przy drzwiach. - Po prostu fatalnie. Nie musisz mi mówić; do końca roku został już tylko jeden semestr, a brakuje ci jeszcze ocen pozytywnych z trzech przedmiotów, więc niepokoisz się o promocję i jesteś kłębkim nerwów. Jeżeli nie chcesz, to nie będziemy ćwiczyć w przyszły poniedziałek - przyjdź po prostu na ciastka, to posłuchamy płyt.

- Dobrze - powiedział, przytracając teczkę z nutami do bagażnika roweru.

- Światła działają, Tim? Tak, proszę pani.

- No dobrze, ale nie próbuj bić dziś żadnych rekordów. Masz mnóstwo czasu do podwieczorku. Pamiętaj, że droga jest nadal śliska od śniegu.

Perkins nie odpowiedział. Postawił rower na zwirowanej ścieżce i ruszył w stronę furtki.

- Czy nie zapomniałeś o czymś, Tim? Przepraszam, proszę pani.

Odwrócił się i podał jej rękę. Zawsze się tego domagała.

- O co chodzi, Tim? Czy zrobiłeś jakieś głupstwo? Mnie możesz się przyznać, prawda? Nie jestem członkiem ciała pedagogicznego.

Perkins wahał się przez chwilę.

To po prostu przez te egzaminy - powiedział w końcu.

- Rodzice dobrze się czują? Nie masz kłopotów w domu?

- Nie, wszystko w porządku. - Zawahał się raz jeszcze i dodał: -

Dobranoc, proszę pani.

- Dobranoc.

Patrzyła, jak zamyka furtkę i znika na wąskiej wiejskiej drodze. Wiedziała, że za kwadrans będzie w szkole - droga wiodła niemal przez cały czas w dół.

Zwykle lubił drogę powrotną do szkoły. Był to najprzyjemniejszy moment w ciągu tygodnia. Ale dziś prawie nie patrzył wokół siebie. Jak zwykle, mocno naciskał pedały. Żywopłoty pędziły w tył na tle ciemnego nieba, a spłoszone światłem lampy króliki uciekały na pobocza, dziś jednak prawie ich nie dostrzegał.

Będzie musiał komuś o tym powiedzieć. Powinien był powiedzieć pani Harlowe; żałował, że tego nie zrobił. Ona wiedziałaby, jak postąpić. Pan Snów byłby odpowiednim powiernikiem, ale nie uczył go już fizyki -uczył go Rode. Na tym polegał po części cały problem. Choć oczywiście główny sęk stanowił Fielding.

87

Mógł powiedzieć o tym True... owszem, tak właśnie robi - zwierzy się True. Pójdzie dziś wieczorem do panny Truebody i wyzna jej prawdę. Ojciec nigdy tego oczywiście nie przeboleje, gdyż oznaczać to będzie klęskę, a być może również hańbę. Nie będzie mógł pójść do akademii wojskowej po zakończeniu przyszłego semestru, rodzice będą musieli ponieść dodatkowe wydatki, na które ich przecież nie stać.

Zbliżał się do najbardziej stromego zjazdu. Po jednej stronie drogi nie było już żywopłotu; rozciągał się stąd przepiękny widok na Sawley Castle, przypominający zastawkę do scenografii Makbeta. Tim uwielbiał grę na

scenie - żałował, że rektor nie pozwala im zorganizować szkolnego teatru. Pochylił się nad kierownicą, by nabrać rozpędu przed krótkim podjazdem u podnóża góry. Czuł na twarzy pęd zimnego powietrza i na chwilę niemal zapomniał... Nagle nacisnął na hamulce; jego rower zachwiał się w gwałtownym poślizgu.

Coś było nie w porządku. Ujrzał przed sobą migoczące światło latarki i usłyszał znajomy głos nawołujący go z ciemności po imieniu.

#### 14 CNOTA MIŁOŚCI BLIŹNIEGO

Siedziba Komitetu Koordynacyjnego Działalności Szkół Prywatnych na Rzecz Pomocy dla Uchodźców (którego patronką była hrabina Sawley) mieściła się w Londynie przy Belgrave Square. Nie wiadomo dokładnie, czy osobom decydującym o wyborze tak luksusowej dzielnicy chodziło o to, by zwabić ludzi bogatych, czy też o to, by dodać odwagi ubogim, czy też wreszcie -jak twierdzili szeptem niektórzy przedstawiciele środowiska - o to, by zapewnić hrabinie Sawley niedrogie pied-a--terre w centrum miasta. Natomiast ośrodek pomocy dla uchodźców został ulokowany na południowym brzegu rzeki, na jednym z tych zaniedbanych placyków dzielnicy Kennington, które są elementami londyńskiej schizofrenii architektonicznej. York Gardens - bo tak brzmi jego nazwa - zostanie kiedyś odkryty przez ludzi zamożnych i straci cały swój urok; na razie jednak można na nim ujrzeć prawdziwe dzieci grające w klasy na środku jezdni oraz ich matki, które stoją na progach domów w rannych pantoflach i nie szcędzą im surowych napomnień.

Panna Brimley, która wyprawiła się w te okolice w wyniku przekazanej jej poprzedniego dnia telefonicznie prośby Smileya, posiadała rzadki 88 dar zwracania się do dzieci w taki sposób, jakby były one istotami ludzki

mi, dzięki czemu bez trudu odnalazła zaniedbany dom, w którym gromadzono dary dla uchodźców. Zjawivszy się na jego progu w asyście siedmiu małych chłopców, pociągnęła za dzwonek i cierpliwie czekała. Pi chwili usłyszała odgłos czyichś kroków na schodach i drzwi otworzył jakaś bardzo ładna dziewczyna. Przez chwilę przyglądały się sobie z wzajemną aprobatą.

- Przepraszam, że zawracam pani głowę - zaczęła panna Brimley ale mieszkająca na prowincji przyjaciółka prosiła mnie o sprawdzeniu zawartości paczki z odzieżą, która została nadesłana wczoraj lub przed wczoraj. Popęlniła drobną pomyłkę.

- Och, to bardzo przykre - powiedziała życzliwym tonem dziewczyna. - Czy zechce pani wejść? Mamy tu straszny bałagan i nie ma na czyr usiąść, ale możemy panią poczęstować kubkiem rozpuszczalnej kawy.

Panna Brimley ruszyła za dziewczyną, zamknąwszy stanowczo drzwi przed nosem siedmiu chłopcom, którzy wyraźnie chcieli jej towarzyszyć. Znalazła się w holu, gdzie w każdym kącie leżało mnóstwo paczek; nie które zaopatrzone w starannie opisane nalepki i opakowane w jutow worki, inne, porozdzierane i nieporęczne, owinięte w brązowy papier. Stał tam również skrzynki, wiklinowe kosze, stare walizki, a nawet antyczny kufer używany niegdyś podczas podróży morskich, zaopatrzony w wj blakłą żółtą nalepkę z napisem: PRZECHOWYWAĆ w ŁADOWNI. Dziewczyna poprowadziła ją na górę, gdzie mieściło się biuro - duży pokój, w którym stały zasypany korespondencją stół i jedno kuchenne krzesło. W rogu syczał gazowy grzejnik, obok niego melancholijnie szumił elektryczny czajnik.

- Bardzo panią przepraszam - powiedziała dziewczyna, gdy znalazły s



wewnątrz - ale na dole po prostu nie ma gdzie rozmawiać. Trudno prowadzi konwersację, stojąc na jednej nodze jak Inkowie. A może to nie Inkowie stoją na jednej nodze? Chyba Afgańczycy. Jak nas pani znalazła?

- Odwiedziłam wasze biuro w West End - odparła panna Brimley i powiedziano mi tam, że powinnam porozmawiać z panią. Nie przyję mnie zresztą zbyt życzliwie. Potem polegałam na informacjach dzieci One zawsze znaj ą drogę. Panna Dawney, prawda?

- Och, nie, ja jestem tylko jej asystentką. Jill Dawney pojechała c urzędu celnego w Rotherhide; wróci około piątej, jeśli chce pani się z n zobaczyć.

- Ależ skąd, jestem pewna, że zajmę pani najwyżej dwie minuty. Mo przyjaciółka, która mieszka w Carne („Mój Boże! Jak wytwornie!" - wtr ciła dziewczyna) - w gruncie rzeczy moja kuzynka, ale łatwiej nazywi ją przyjaciółką - oddała w ubiegły czwartek dla uchodźców starą popielatą suknię i jest przekonana, że zapomniała od niej odpiąć broszkę. Jestem pewna, że się myli, bo jest osobą wyjątkowo roztrzepaną, ale zadzwoniła do mnie, okropnie zdenerwowana, wczoraj rano, a ja jej obiecałam, że tu przyjadę i spytam. Nie mogłam niestety zjawić się wczoraj, bo musiałam siedzieć od świtu do nocy w redakcji mojego pisemka. Ale jak widzę, macie tu sporo paczek; może nie jest jeszcze za późno?

- Ależ skąd. To my mamy opóźnienie. Te wszystkie pakunki, które leżą na dole, trzeba rozpakować i posortować. Przysyłają je ochotnicy z różnych szkół - czasem uczniowie, czasem nauczyciele - którzy po prostu zawijają całą odzież w paczki i ekspediują je pocztą lub koleją - zwykle koleją. My sortujemy to wszystko przed wysyłką za granicę.

Tak właśnie mówiła Jane. Gdy tylko zorientowała się, że popełniła pomyłkę, poszła do tej kobiety, która zbiera i wysyła wszystkie dary, ale

oczywiście było za późno. Paczka została już nadana.

To kłopotliwe... Czy wie pani, kiedy ją wysłano?

Wiem. W piątek rano.

- Z Carne? Pociągiem czy pocztą?

Panna Brimley obawiała się tego pytania, ale postanowiła zaryzykować.

- Chyba pocztą.

Dziewczyna odwróciła się do niej tyłem i zaczęła grzebać w leżącym na stole stosie papierów. W końcu wyciągnęła z niego zeszyt w sztywnej okładce, do której przyklejona była etykieta z napisem:

INWENTARYZACJA. Zaczęła szybko przerzucać kartki, oblizując od czasu do czasu nerwowo czubek palca.

- Mogła dojść najwcześniej wczoraj rano - powiedziała. - Z pewnością nie została jeszcze otwarta. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak damy sobie z tym wszystkim radę, a teraz, kiedy nadchodzi Wielkanoc, sytuacja robi się coraz trudniejsza. Co gorsza, połowa naszego personelu traci czas w urzędach celnych... no proszę, mamy ją! - Podsunęła zeszyt panie Brimley, wskazując palcem pozycję wpisaną w środkowej kolumnie: CARNE, PRZESYŁKA POCZTOWA, 27 FUNTÓW.

- Czy zgodziłaby się pani, żebyśmy szybko do niej zajrzały? Zeszły do holu.

- Nie jest to takie trudne, jak się wydaje-pocieszyła ją dziewczyna.

-Wszystkie przesyłki, które nadeszły w poniedziałek, będą najbliżej drzwi.

- Jak ustalacie, skąd pochodzą, kiedy nie da się odczytać stempla pocztowego? - spytała panna Brimley, obserwując dziewczynę, która rozpoczęła już poszukiwanie.

- Rozdajemy naszym przedstawicielom wydrukowane naklejki. Każda z nich nosi numer, na podstawie którego wiemy, skąd pochodzi dana przesyłka. Czasem prosimy ich po prostu, żeby wypisywali na opakowaniu dużymi literami nazwę szkoły. Nie chcemy, żeby dołączali spisy zawartości, bo byłoby to zbyt skomplikowane. Po otrzymaniu paczki wysyłamy standardową kartę pocztową, w której potwierdzamy z podziękowaniem odbiór przesyłki z takiego a takiego dnia, ważącej tyle a tyle. Ludzie, którzy nie są naszymi stałymi przedstawicielami, nie przysyłaj ą darów do nas; kierujaje pod adresem naszego biura przy Belgrave Square.

- Czy ten system działa sprawnie?

- Nie - odparła dziewczyna. - Wręcz przeciwnie. Niektórzy przedstawiciele zapominają przyklejać nasze nalepki albo nie zawiadamiają nas, kiedy skończy im się ich zapas. Dzwonią w dziesięć dni po wysłaniu paczki i mają pretensje, że nie dostali potwierdzenia odbioru. Czasami przedstawiciele zmieniają się, nie przekazując sobie instrukcji dotyczących pakowania i wysyłki i nie informując nas o zmianie. Kiedy indziej uczniowie biorą się do tego sami, a nikt im nie mówi, jak trzeba to robić. Hrabina Sawley jest wściekła, kiedy jakaś paczka wyląduje w biurze zarządu komitetu - muszą ją wtedy przewozić do nas, żebyśmy ją przepakowały i spisały jej zawartość.

- Rozumiem. - Panna Brimley nadal z uwagą śledziła ruchy dziewczyny, która nie przerywając monologu, przerzucała kolejne paczki.

- Czy pani przyjaciółka naprawdę jest nauczycielką w Carne School?

Musi być bardzo wytworną osobą. Ciekawa jestem, jaki jest ten książę - na

fotografiach wygląda dość skromnie. Mam kuzyna, który ukończył tę szkołę - jest kompletnym wymoczkim. Czy wie pani, co mi kiedyś powiedział? Że podczas wyścigów w Ascot wszyscy... Nareszcie! Oto ona!

-Dziewczyna wyprostowała się, podnosząc z podłogi dużą paczkę.

Położyła ją na stole, który stał u podnóża schodów, i zaczęła starannie rozplątywać sznurki. Stojąca obok niej panna Brimley przyjrzała się drukowanej nalepce. W lewym górnym rogu umieszczony był symbol będący najwyraźniej identyfikatorem Carne: C4. Obok niego dopisał ktoś długopisem literę B.

- Co oznacza to B? - spytała.

- Ach, to oznakowanie, które wprowadzili na własną rękę. Nasza stała przedstawicielka, panna D'Arcy, miała ostatnio pewne trudności, więc dokooptowała przyjaciółkę, która pomaga jej w zbieraniu darów. Kiedy potwierdzamy odbiór, zawsze piszemy A lub B. Nie wiem, kto to jest B, ale musi być osobą bardzo aktywną.

Panna Brimley powstrzymała się od pytania, jaki procent paczek z Carne pochodzi od panny D'Arcy, a jaki od jej anonimowej asystentki.

91

Dziewczyna rozplatała sznurek i odwróciła paczkę do góry nogami, by usunąć zewnętrzną warstwę papieru. Panna Brimley dostrzegła w tym momencie na opakowaniu małą brunatną plamkę wielkości jednoszylingowej monety. Zgodnie ze swym racjonalistycznym podejściem do życia zaczęła szukać w myślach jakiegoś wytłumaczenia, przymykając oczy na wyjaśnienie, które nasuwało się samo. Dziewczyna nadal rozpakowywała paczkę.

- Czy to nie właśnie w Carne wydarzyło się niedawno to okropne

morderstwo? - spytała nagle, - Żona profesora zabita przez jakąś Cyganke? To straszne, że dochodzi do tylu takich przestępstw, prawda?... Hm... tak myślałam - powiedziała, nagle przerywając potok słów. Usunęła już zewnętrzną warstwę papieru i miała wziąć się do rozplątywania sznurka, którym owinięto znajdujący się pod nim pakunek, ale coś w jego wyglądzie najwyraźniej ją powstrzymało.

- O co chodzi? - spytała pospiesznie panna Brimley.

- Ach, nie, chodzi tylko o sposób pakowania - odparła z uśmiechem dziewczyna. - Paczki pochodzące od C4B są zwykle pakowane bardzo starannie - najlepsze, jakie dostajemy. Ta jest całkiem inna. Musiał ją pakować ktoś, kto ją zastępował. Domyśliłam się tego od razu.

- Po czym pani to poznaje?

- Och, to jest jak charakter pisma. Możemy bez trudu rozpoznać osobę. - Zaśmiała się ponownie i szybko odwinęła wewnętrzną warstwę papieru. - Popielata suknia, prawda? Zaraz zobaczymy. - Zaczęła oburącz zdejmować ze sterty odzieży poszczególne sztuki i układać je na stole. Była mniej więcej w połowie zawartości, kiedy zawołała nagle: - A cóż to takiego? Ktoś musiał chyba długo nad tym myśleć! - i wyciągnęła ze stosu używanej garderoby przezroczystą plastikową pelerynę od deszczu, parę starych skórzanych rękawiczek i gumowe kalosze.

Panna Brimley uchwyciła się mocno krawędzi stołu. Czuła pulsowanie krwi w dłoniach.

- Jakaś peleryna. W dodatku wilgotna - powiedziała z niesmakiem dziewczyna, rzucając brudne przedmioty na podłogę. Panna Brimley przypomniała sobie list Smileya: „Ktokolwiek ją zabił, musiał być zalany krwią”. Tak, i ktokolwiek ją zabił, musiał mieć na sobie plastikową

pelerynę z kapturem, gumowe kalosze i te stare rękawice, na których widnieją brunatne plamy. Ktokolwiek zabił Stellę Rode, nie napadł na nią pod wpływem impulsu, lecz zaplanował wszystko na długo przedtem i czekał. Tak, pomyślała panna Brimley. Czekał na nadejście długich nocy.

- Niestety nie widzę tu tej sukni - powiedziała dziewczyna. 92

Tak - odparła panna Brimley. - Widzę, że jej nie ma. Bardzo dziękuję za pomoc. - Przez chwilę miała uczucie, że straciła głos, potem opanowała się siłą woli. - Myślę, że powinna pani zostawić wszystko, tak jak jest - opakowanie i całą zawartość. Wydarzyło się coś strasznego i policja będzie chciała... zbadać wszystko dokładnie i obejrzeć tę paczkę... Musi pani mi zaufać... to bardzo skomplikowana sprawa. - I z ulgą wyszła na dwór, by znaleźć się na spokojnym placyku, gdzie czekała na nią gromadka zaciekawionych dzieci.

Poszła prosto do budki telefonicznej. Połączyła się z hotelem Sawley Arms i poprosiła znudzonego portiera, by wezwał do telefonu pana Smileya.

Potem zapadła cisza, którą przerwała po chwili telefonistka, prosząc ją o wrzucenie do automatu jeszcze trzech szylingów i sześciu pensów. Panna Brimley odpowiedziała stanowczo, że jak dotąd uzyskała za swoje pieniądze tylko trzyminutową próżnię. Usłyszała gniewne sapanie telefonistki, a potem nagle głos Smileya.

- George - powiedziała - mówi Brim. Plastikowa peleryna, gumowe kalosze i skórzane rękawiczki, które wyglądają tak, jakby były poplamione krwią. Na papierze kilka plam - też chyba od krwi; tak mi się przynajmniej wydaje.

Pauza.

- Czy na opakowaniu znajduje się odręcznie napisany adres?

- Nie. Organizatorzy akcji charytatywnej używają drukowanych nalepek.
- Gdzie są teraz te rzeczy? Czy zabrałaś je stamtąd?
- Nie. Powiedziałam tej dziewczynie, żeby zostawiła wszystko dokładnie tak, jak jest. Nie ruszy nic przez godzinę lub dwie... George, czy mnie słyszysz?

Tak.

- George, kto to zrobił? Jej mąż?
- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.
- Czy chcesz, żebym coś zrobiła... w sprawie tej odzieży? Może zadzwonić do Sparrowa czy do kogoś innego?
- Nie. Zaraz zobaczę się z Rigbym. Do widzenia, Brim. Dziękuję za telefon.

Odłożyła słuchawkę. Odniosła wrażenie, że Smiley rozmawiał z nią dość dziwnie. Czasem tracił kontakt z rzeczywistością. Jakby się wyłączał.

Ruszyła piechotą na północny zachód, w stronę rzeki. Było już dawno po dziesiątej - po raz pierwszy od Bóg wie jak dawna miała się spóźnić

93

do redakcji. Uznała, że powinna wziąć taksówkę. Ale jako kobieta oszczędna, wsiadła do autobusu.

Ailsa Brimley nie wierzyła w sytuacje kryzysowe, ponieważ posiadała łka u mężczyzn, a jeszcze rzadszą u kobiet dyscyplinę umysłową. Im •owazniejszy był kryzys, tym większy zachowywała spokój. John Land- ury powiedział jej kiedyś: „Ty jesteś całkowicie odporna na dramatyzm - masz rzadki dar lekceważenia pilnych spraw. Znam z tuzin osób '• zapłaciłyby pięć tysięcy rocznie tylko za to, żebyś mówiła im co- enme, że to, co ważne, rzadko bywa pilne. Rzeczy pilne mają charak-

meryczny, a efemeryczny znaczy tyle co nieważny".

Wysiadła z autobusu, skrupulatnie wrzucając bilet do pojemnika na leci. Stojąc w ciepłym słońcu, zerknęła na tablicę ogłoszeniową reklamującą pierwsze wydanie popołudniowego dziennika. W normalnych warunkach me zwróciłaby na nią uwagi, ale oślepiło ją światło słoneczne usiała spuścić wzrok. Wypisany grubymi mokrymi jeszcze literami tytuł odzwierciedlał historyczne upodobania codziennej prasy i brzmiał-  
CAŁONOCNE POSZUKIWANIA ZAGINIONEGO UCZNIA CARNE  
SCHOOL.

15

## DROGA DO FIELDINGA

Qmiley odłożył słuchawkę, szybkim krokiem minął recepcję i ruszył ł~>w kierunku drzwi wejściowych. Wiedział, że musi natychmiast zoba-zyc się z Rigbym. Wychodząc z hotelu, usłyszał własne nazwisko Od-ł się i zobaczył swego starego wroga, nocnego portiera, który najwyraźniej me bojąc się dziennego światła, wzywał go, jak Charon nerwowymi gestami szarej dłoni.

- Właśnie dzwoniło w pańskiej sprawie z posterunku policji - oznaj-uł z nieukrywaniem zadowoleniem. - Inspektor Rigby życzy sobie pana idziec. Ma pan tam niezwłocznie się udać. Niezwłocznie, rozumie pan? Właśnie tam idę - odparł niecierpliwie Smiley, ale mimo to pony-nając obrotowe drzwi, usłyszał ponownie starczy głos: Niezwłocznie, rozumie pan?

Czekają na pana.

Idąc uliczkami miasta, zastanawiał się po raz setny nad tym jak mało domo o motywach, które popychają ludzi do działania; jak trudno c ich prawdziwych pobudek. Ani czysta logika, ani najbardziej męt-



stycyzm me dostarczają pewnych, niezawodnych metod zgłębienia

94

prawdy - szczególnie jeśli chodzi o motywy działania ludzi, którzy decydują się na popełnienie aktu przemocy.

Czy morderca, który niebawem zostanie zdemaskowany, odczuwał zadowolenie, skrupulatnie wykonując swe plany? Bo teraz nie było już żadnych wątpliwości: to morderstwo zostało zaplanowane do najdrobniejszego szczegółu; nawet fakt, że narzędzie zbrodni odnaleziono tak daleko od miejsca jej popełnienia, posiadał jakieś, nieznane dotąd, znaczenie. Było to morderstwo, którego sprawca zadbał o dodatkowe elementy mające skierować prowadzących śledztwo na ślepy tor, morderstwo zaplanowane w taki sposób, by wydawało się niezaplanowane, morderstwo dla sznurka paciorków. Teraz wyjaśniła się tajemnica odcisków stóp: umieściwszy kalosze w paczce, morderca wrócił ścieżką do furtki, a jego ślady zostały wkrótce zdeptane przez liczne osoby, które przybyły na miejsce zbrodni.

Rigby wydawał się bardzo zmęczony.

- Chyba zna pan najnowszą wiadomość, sir?

- Jaką wiadomość?

- O tym chłopcu z klasy Fieldinga, który nie wrócił na noc do szkoły?

- Nie. - Smiley poczuł, że robi mu się słabo. - Nic o tym nie słyszałem.

- Boże święty, byłem pewien, że pan wie! Fielding zatelefonował do nas wczoraj wieczorem, o ósmej trzydzięci, z wiadomością, że starosta jego klasy, Perkins, nie wrócił z lekcji muzyki u pani Harlowe, która mieszka przy drodze do Longemede. Ogłosiliśmy alarm i zaczęliśmy go szukać.

Wysłano radiowóz na drogę, którą wracał zwykle do szkoły - miał ze sobą

rower. Za pierwszym razem nie dostrzegli nic szczególnego, ale za drugim kierowca zatrzymał radiowóz u stóp wzgórza Longemede, tuż obok stawu. Pomyślał, że być może chłopiec rozpędził się zanadto, jadąc w dół i nieopatrznie wjechał do wody. Znaleźli go w przydrożnym rowie. Rower leżał obok.

- Och, mój Boże!

- Z początku nie zawiadomiliśmy o tym prasy. Rodzice tego chłopca mieszkają w Singapurze; jego ojciec jest tam oficerem w wojsku. Fielding wysłał do nich telegram. Porozumieliśmy się też z Ministerstwem Wojny.

- Ale jak to się stało? - spytał Smiley po chwili ciszy.

- Zamknęliśmy tę drogę i próbujemy zrekonstruować przebieg wydarzeń. Wysłałem tam właśnie detektywa. Kłopot polega na tym, że nie mogliśmy wiele zdziałać, dopóki nie zrobiło się jasno. Poza tym ludzie zdeptali miejsce wypadku, i trudno im się dziwić. Wygląda na to, że

95

musiał przewrócić się u podnóża tej góry i uderzyć głową o kamień; ma ranę na prawej skroni.

- A jak przyjął to Fielding?

- Był wstrząśnięty. Naprawdę ogromnie wstrząśnięty. Szczerze mówiąc, nie uwierzyłbym, że można się aż tak przejąć. On po prostu... załamał się. Trzeba było zająć się mnóstwem spraw - zadeszować do rodziców, porozumieć się z wujem chłopca, który mieszka w Windsorze, i tak dalej. Ale on zwałił to wszystko na pannę Truebody, swoją pomoc domową. Nie wiem, jak dałbym sobie radę bez niej. Fielding rozmawiał ze mną przez jakieś pół godziny, a potem kompletnie się załamał i poprosił, żeby zostawić go samego.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że się załamał? - spytał pospiesznie Smiley.

- Płakał. Szlochał jak dziecko - odparł spokojnie Rigby. - Nigdy bym się tego nie spodziewał.

Smiley poczęstował inspektora papierosem i sam również zapalił.

- Przypuszczam - powiedział pytającym tonem - że był to wypadek?

- I ja tak sądzę - odparł Rigby, ale jakby bez wielkiego przekonania.

- Być może najlepiej będzie, jeśli przekażę panu zdobyte przeze mnie informacje, zanim zrobimy następny krok - powiedział Smiley. -

Wybrałem się właśnie do pana, kiedy pan zadzwonił. Miałem telefon od panny Brimley. - I w precyzyjny, nieco oficjalny sposób przekazał mu uzyskane od Ailsy Brimley informacje, a potem wyjaśnił, dlaczego zainteresował się zawartością paczki.

Rigby poprosił go, żeby chwilę poczekał, i zatelefonował do Londynu.

Wy tłumaczył rzeczowo, o co mu chodzi: należy zabezpieczyć paczkę i jej zawartość, poddać ją natychmiast badaniom w zakładzie medycyny sądowej, zdjąć odciski palców ze wszystkich równych powierzchni.

Zapowiedział, że wybiera się do Londynu z kilkoma próbkami pisma chłopca i z jego pracą egzaminacyjną, gdyż chce zasięgnąć opinii grafologa. Nie, przyjedzie pociągiem odchodzącym z Carne o 4.25, a docierającym na dworzec Waterloo o 8.05. Czy mogą wysłać po niego samochód na stację? Po chwili ciszy oświadczył z rezygnacją w głosie:

- No, dobrze, w takim razie wezmę taksówkę - i dość gwałtownym ruchem odłożył słuchawkę. Przez moment z gniewem spoglądał na Smiley'a, potem uśmiechnął się i pociągnął za własne ucho. - Przepraszam, sir, chyba wysiadają mi nerwy. - Wskazał ruchem głowy ścianę swego

gabinetu i dodał: - To pewnie przez to, że walczę na zbyt wielu frontach. Będę musiał powiedzieć o tej paczce komisarzowi; w tej chwili 96 go nie ma, bo pojechał z kilkoma przyjaciółmi postrzelać do gołębi. Wróci niebawem, ale ponieważ, szczerze mówiąc, nie wspominałem mu dotąd o pańskiej obecności w Carne, wolałbym, jeśli nie ma pan nic przeciw temu...

- Ależ oczywiście - przerwał mu pospiesznie Smiley. - Niech pan całkowicie pominie moją osobę.

- Powiem mu, że stwierdziliśmy to w toku śledztwa. Będziemy musieli kiedyś wspomnieć o panie Brimley, ale nie warto komplikować sprawy, prawda?

- Oczywiście.

- Będę chyba musiał zwolnić Pomyloną Janie... Miała rację, prawda? Srebrne skrzydła w świetle księżyca.

- Na pana miejscu... nie, nie zwalniałbym jej jeszcze, panie Rigby - powiedział Smiley z niezwykłą u niego stanowczością. - Niech pan ją trzyma u siebie najdłużej, jak pan może. Na miłość boską, mamy już dość wypadków. Nie można dopuścić do dalszych.

- A więc nie wierzy pan w to, że śmierć Perkinsa nastąpiła w wyniku wypadku?

- Ależ skąd! - zawołał Smiley. - Przecież pan też w to nie wierzy, prawda?

- Przydzieliłem do tej sprawy oficera dochodzeniowego - chłodno odparł Rigby. - Nie mogę się nią zająć osobiście. Mam prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa Stelli Rode. Szef będzie musiał wezwać teraz na pomoc Scotland Yard i zapewniam pana, że będzie wściekły. Myślał, że sprawa jest już zamknięta.

- A tymczasem?
- A tymczasem, sir, zamierzam zrobić, co w mojej mocy, by odkryć, kto zabił Stellę Rode.
- Jeżeli... - ostrożnie zaczął Smiley - jeżeli, w co wątpię, znajdzie pan odciski palców na tej paczce, to czy będzie pan mógł je porównać z odciskami... mieszkańców Carne?
- Mamy oczywiście odciski Stanleya Rode i Janie.
- A odciski Fieldinga? Rigby wahał się przez chwilę
- Prawdę mówiąc, też mamy - odparł w końcu. - W związku z pewną sprawą, która miała miejsce dawno temu. Ale wtedy chodziło o coś zupełnie innego.
- Było to w czasie wojny - powiedział Smiley. - Wiem o tym od jego brata. Na północy. Ale sprawa została zatuszowana, prawda?

Rigby kiwnął potakująco głową.

## 7 Perfekcyjne morderstwo

97

O ile się orientuję, wiedząc tym tylko pan i panna D'Arcy, no i oczy-ektor. Zdarzyło się to w czasie wakacji... chodziło o jakiegoś łodego lotnika. Mój szef podszedł do całej sprawy w sposób bardzo życzliwy...

Smiley uścisnął dłoń inspektora i zszedł na dół po znanych mu już wymych boazerią schodach. Znów poczuł typowy dla instytucji pań-

\*.Rcy zapach, jaki unosił się w internacie prowadzonym przez Fiel-

3ez pośpiechu ruszył w kierunku hotelu. Ale gdy dotarł do miejsca

którym powinien skrócić w lewo, stanął i jak gdyby nagle zmienił zda-

(1«o, z oporami, przeszedł na drugą stronę ulicy, dotarł do skwerku

cego opactwo i skręcił na południe, w kierunku internatu prowadzonego przez Fieldinga. Wydawał się zaniepokojony, niemal wystraszo-

## 16 ZAMIŁOWANIE DO MUZYKI

"Drzwi otworzyła mu panna Truebody. Miała zaczerwienione oczy jakby niedawno płakała.

Czy pan Fielding zechce mnie przyjąć? Chciałbym się pożegnać, pan Fielding jest bardzo przygnębiony - powiedziała niepewnie - żeby chciał się z kimkolwiek widzieć. - Poszedł w ślad za nią do drzwi, jak podchodzi do drzwi gabinetu. Zapukała, nasłuchiwała chwilę z pochyloną głową, a potem delikatnie nacisnęła klamkę do środka. Minęło sporo czasu, zanim wróciła. - Pan Fielding już przyjdzie - powiedziała, nie patrząc na Smiley'a. - Czy zdejmie pan płaszcz? Czekała bez ruchu, podczas gdy on szamotał się z płaszczem. Powiesiła go obok krzesła z obrazu van Gogha. Stali oboje w milczeniu, spoglądając w kierunku gabinetu.

Nagle w półotwartych drzwiach pojawił się Fielding. Był nieogolony i miał na sobie marynarkę.

Na miłość boską - powiedział stłumionym głosem. - Czego pan chce?

Chciałbym się pożegnać z Panem Fielding, i złożyć panu Fielding patrzył na niego przez chwilę, opierając się o drzwi. 98

- Do widzenia. Dziękuję, że pan wpadł. - Wykonał ręką nieokreślony gest w powietrzu. - Nie musiał pan w gruncie rzeczy fatygować się osobiście, co? - spytał niezbyt uprzejmie. - Mógł pan wysłać do mnie kartkę pocztową...

- Owszem, mogłem wysłać kartkę... ale wydało mi się to wszystko tragiczne; teraz, kiedy był tak bliski sukcesu...

- O co panu chodzi? Co, do diabła, ma pan na myśli?

- Jego pracę egzaminacyjną... zrobił takie postępy. Mówił mi o tym Simon Snów. To naprawdę niezwykle, że ten Rode tak wiele go nauczył.

Nastąpiła długa cisza.

- Do widzenia, panie Smiley - powiedział w końcu Fielding. - Dziękuję, że pan wpadł. - Wchodził już do gabinetu, kiedy zatrzymał go podniesiony głos Smileya.

- Nie ma za co... nie ma za co. Myślę, że ten biedny Rode też był zaskoczony wynikiem tego egzaminu. Ale Perkins musiał go zdać, była to dla niego, że tak powiem, sprawa życia lub śmierci, prawda? Gdyby nie zdał fizyki, nie otrzymałby promocji pod koniec następnego semestru. Musieliby usunąć go ze szkoły ze względu na przekroczenie granicy wieku, mimo że był starostą klasy, a wtedy nie mógłby zdawać egzaminu do Akademii Wojskowej w Sandhurst. Biedny Perkins, miał wobec Stanleya Rode wielki dług wdzięczności, prawda? I wobec pana, Fielding, jestem tego pewien. Musieliście okazać mu wiele pomocy; obaj - pan i Rode. Jego rodzice powinni się o tym dowiedzieć. O ile wiem, są w dość ciężkiej sytuacji materialnej; ojciec służy w wojsku, prawda...? chyba w Singapurze? Utrzymywanie syna w Carne musiało kosztować ich wiele wyrzeczeń. Pocieszą się trochę, gdy usłyszą, jak wiele dla niego zrobiono, prawda, panie Fielding?

Smiley był bardzo blady, ale ciągnął dalej:

- Chyba słyszał pan ostatnią wiadomość? Chodzi o tę nieszczęsną żebraczkę, która zabiła Stellę Rode. Uznali, że mogą postawić ją w stan oskarżenia. Pewnie ją powieszają. To będzie trzecia śmierć, prawda?

Powiem panu coś dziwnego. Ale niech to zostanie między nami, panie Fielding. Nie wierzę, że to ona zabiła Stellę. A pan? Ja wcale w to nie

wierzę.

Nie patrzył na Fieldinga. Mocno zacisnął swe drobne dłonie za plecami i stał z opuszczonymi ramionami i z lekko przechyloną głową, jakby oczekiwał odpowiedzi.

Słowa Smileya zdawały się sprawiać Fieldingowi fizyczny ból. Wolno potrząsnął głową.

- Nie - powiedział - nie, zabiło ich Carne. To mogło się zdarzyć tylko tutaj. To ta gra, w którą wszyscy gramy - gra polegająca na wykluczaniu

99  
innych. Dziel i rządź! - Spojrzał Smileyowi prosto w twarz i zaczął krzyczeć: - A teraz niech pan stąd idzie, na miłość boską! Osiągnął pan to, czego pan chciał, prawda? Może mnie pan włączyć do swojej kolekcji okazów, co? - I nagle, ku niemiłemu zaskoczeniu Smileya, zaczął szlochać, zasłaniając ręką twarz. Nagle nabrał groteskowego wyglądu: ocierał dziecięce łzy bladą dłonią, stojąc niezgrabnie na rozstawionych stopach. Smiley łagodnie wprowadził go do gabinetu i delikatnie posadził na fotelu przed kominkiem. Potem zaczął mówić do niego cicho, jakby ze współczuciem.

- Jeżeli moje podejrzenia są słuszne, to nie mamy wiele czasu - zaczął. - Chcę, żeby pan mi powiedział, jak było z Perkinsem... chodzi mi o ten egzamin.

Fielding, nadal zasłaniając dłońmi twarz, kiwnął głową.

- Oblałby ten egzamin, prawda? Oblałby go i nie otrzymał promocji; musiałby opuścić szkołę. - Fielding milczał. - Po egzaminie, tego samego dnia, Rode poprosił go o przyniesienie tutaj teczek, w których były prace egzaminacyjne; Rode miał w tym tygodniu dyżury w kaplicy i nie



zdażyłby już do domu przed kolacją, ale zamierzał poprawić prace tego wieczoru, po wizycie u pana.

Fielding cofnął dłonie od twarzy i oparł się o fotel, odchylając głowę w tył i przymykając oczy. Smiley mówił dalej.

- Perkins wrócił do internatu i zgodnie z poleceniem Stanleya Rode przyniósł panu tę teczkę z prośbą o przechowanie jej do wieczora. Perkins był w końcu starostą pańskiej klasy, odpowiedzialnym chłopcem...

Wręczył panu tę teczkę, a pan spytał, jak mu poszedł egzamin.

- Płakał - powiedział nagle Fielding. - Płakał tak, jak umie płakać tylko dziecko.

- A potem załamał się i wyznał panu, że dopuścił się oszustwa, prawda? Że wynalazł prawidłowe odpowiedzi i wpisał je do swej pracy. Czy tak było? A po zabójstwie Stelli Rode przypomniał sobie, co jeszcze dostrzegł w teczce jej męża?

Fielding wstał gwałtownie z fotela.

- Nie! - zawołał. - Czy pan tego nie rozumie? Tim nie byłby w stanie popełnić oszustwa, nawet gdyby mogło mu to ocalić życie! Na tym polega cały problem, cała cholerna ironia losu! On nikogo nie oszukał! Ja to zrobiłem dla niego.

- Ale pan nie mógł tego zrobić! Nie umiałby pan podrobić jego pisma!

- Pisał długopisem. Były to tylko formułki i wykresy. Kiedy wyszedł, zostawiając u mnie teczkę, zajrzałem do jego pracy. Sprawa wyglądała beznadziejnie - odpowiedział tylko na dwa z siedmiu pytań. Więc popeł-

100

niłem oszustwo, żeby mu pomóc. Ściągnąłem po prostu odpowiedzi z podręcznika i wpisałem je niebieskim długopisem; takim, jakich wszyscy

używamy. Kupuje sieje w firmie Abbofs. Podrobiłem jego pismo najlepiej, jak umiałem. Musiałem wpisać tylko trzy kolumny cyfr. Reszta to były wykresy.

- A więc to pan otworzył tę teczkę? To pan widział...

Tak, mówię panu, że to byłem ja, a nie Tim! On nie oszukałby nikogo nawet po to, by ocalić własne życie! Ale Tim zapłacił za to, nie rozumie pan? Kiedy ogłoszono wyniki egzaminu, musiał wiedzieć, że coś się nie zgadza. W końcu próbował odpowiedzieć tylko na dwa pytania spośród siedmiu, a dostał sześćdziesiąt jeden procent. Ale nie wiedział nic więcej, naprawdę nic!

Przez dłuższą chwilę obaj milczeli. Fielding stał nad Smileyem, wyraźnie rozkoszując się ulgą, jaką przyniosło mu to wyznanie. Smiley patrzył w jakiś odległy punkt; na jego twarzy malowało się głębokie skupienie.

- I oczywiście - powiedział w końcu - kiedy zamordowano Stellę Rode, pan wiedział, kto jest sprawcą.

- Owszem - odparł Fielding. - Wiedziałem, że zabił ją Rode.

Fielding nalał sobie i Smileyowi po kieliszku koniaku. Chyba już odzyskał panowanie nad sobą. Usiadł w fotelu i przez chwilę, pogrążony w myślach, przyglądał się Smileyowi.

- Nie mam pieniędzy - powiedział w końcu. - Żadnych oszczędności. Nie wie o tym nikt oprócz rektora. Och, wiedzą oczywiście, że nie jestem zamożny, ale nie wiedzą, jak bardzo jestem zrujnowany. Kiedyś, dawno temu, popełniłem głupstwo. Naraziłem się na kłopoty. Zdarzyło się to podczas wojny, kiedy brakowało nauczycieli. Byłem opiekunem klasy i właściwie prowadziliśmy całą szkołę - D'Arcy i ja. Kierowaliśmy nią razem, a rektor kierował nami. Wtedy właśnie zrobiłem z siebie durnia.

Było to w czasie wakacji. Byłem wtedy na północy i wygłaszałem cykl wykładów w ośrodku szkolenia RAF-u. I popełniłem błąd. Poważny błąd. Aresztowano mnie. Wtedy zjawił się D'Arcy w swoim wytwornym płaszczu, przywożąc przesłanie od rektora, jego warunki: „Wracaj do Carne, mój drogi, i zapomnijmy o całej sprawie; prowadź nadal swój oddział, mój drogi, i dziel się z młodzieżą swoją wiedzą. Afera nie nabrała rozgłosu, wiemy, że to się nie powtórzy, mój drogi, a bardzo potrzebujemy nauczycieli. Wróc na etat tymczasowy". Więc wróciłem i jestem tutaj do tej pory, tyle że muszę co rok chodzić w grudniu z czapką w rękę do mojego drogiego kolegi, pana D'Arcy, i prosić o przedłużenie mojego kontraktu, i oczywiście nie mam praw do emerytury. Będę musiał uczyć w jakiejś

101

szkole. Chcą mnie zatrudnić w pewnym liceum w Somerset. W czwartek jadę do Londynu, żeby spotkać się z dyrektorem. Jest to coś w rodzaju złomowiska starych nauczycieli. Musiałem o tym powiadomić rektora, żeby dał mi list polecający.

- I dlatego nie mógł pan nikomu o tym powiedzieć? Z powodu Perkin-sa?  
- Owszem, w pewnym sensie ma pan rację. Chodzi o to, że zaczęto by się doszukiwać motywów różnych rzeczy, które robiłem dla Tima. Rada pedagogiczna nie popiera takiego... faworyzowania... Wygląda to dość podejrzanie, prawda? Ale to nie była sympatia tego rodzaju, Smiley, tym razem nie. Nie słyszał pan nigdy, jak on grał na wiolonczeli. Nie był jeszcze wirtuozem, ale czasem potrafił zagrać tak pięknie, z tak wystudiowaną prostotą, że było to po prostu wspaniałe. Wydawał się ogólnie mało sprawnym chłopcem i kiedy grał tak dobrze, wszyscy byli

zaskoczeni. Szkoda, że nigdy go pan nie słyszał.

Więc nie chciał go pan w to wciągać. Gdyby powiedział pan policji, co pan widział, on również byłby skończony, prawda? Fielding kiwnął potakująco głową.

W całym Carne jego jednego kochałem.

Kochałem? - powtórzył Smiley.

- Na miłość boską - ze znużeniem rzekł Fielding - a cóż w tym złego? Jego rodzice chcieli, żeby studiował w Sandhurst, aleja byłem temu przeciwny. Myślałem, że jeśli zatrzymam go w szkole jeszcze przez jeden semestr, to może uda mi się zdobyć dla niego stypendium na studia muzyczne.

Właśnie dlatego mianowałem go starostą; chciałem, żeby rodzice byli przekonani, że dobrze mu idzie, żeby pozostawili go w szkole... Był zresztą fatalnym starostą - dodał po chwili przerwy.

- Ale co właściwie znalazł pan w tej teczce, którą otworzył pan, żeby obejrzeć pracę egzaminacyjną Tima? - spytał Smiley.

- Arkusz przezroczystego plastiku - mogła to być zresztą taka jednorazowa peleryna, jakie teraz sprzedają - parę starych rękawiczek i gumowe kalosze własnej roboty.

Własnej roboty?

Tak. Chyba były wycięte ze śniegowców typu Wellington.

- To wszystko?

- Nie. Był tam jeszcze odcinek grubego kabla; myślałem, że to eksponat prezentowany przez Rode'a na lekcji fizyki. Jest zima, więc fakt, że nosił ze sobą nieprzemakalny płaszcz i gumowe buty, wydał mi się naturalny. Dopiero potem, po morderstwie, zrozumiałem, jak je popełnił.

- A czy wie pan - spytał Smiley - dlaczego je popełnił? 102

Fielding zastanowił się przez chwilę.

- Rode jest w pewnym sensie królikiem doświadczalnym - zaczął w końcu. - Pierwszym absolwentem państwowej szkoły, jakiego zatrudniliśmy. Większość z nas to absolwenci Carne. Znaliśmy od początku zasady gry. Rode ich nie znał i szkoła go fascynowała. Sama nazwa Carne School jest synonimem perfekcji, a Rode uwielbia perfekcję. Jego żona była zupełnie inna. Miała swoją własną skalę ocen, inną, ale równie dobrą. Przyglądałem mu się kilkakrotnie w opactwie podczas niedzielnych nabożeństw. Wie pan, nauczyciele siedzą na skraju ławek, tuż obok głównej nawy. Obserwowałem jego twarz, kiedy mijała go procesja: chór w czerwonoszkarłatnych szatach, rektor w doktorskiej todze, a za nim członkowie władz szkolnych i dobroczyńcy Carne. Rode był pijany - pijany z dumy, że jest członkiem Carne School. Dla człowieka, który ukończył państwową szkołę, Carne to dość mocne wino. Musiał ciężko przeżywać to, że Stella nie podziela jego dumy. Rzucało się to w oczy. Wtedy, kiedy byli u mnie na kolacji, tuż przed jej śmiercią, doszło między nimi do kłótni. Nikomu o tym nie powiedziałem, ale tak było. Tego wieczoru, podczas Kompletu, rektor wygłosił kazanie pod hasłem: „Trwaj usilnie przy tym, co dobre”. Rode mówił o tym przy kolacji; nie mógł dużo pić, nie był do tego przyzwyczajony. Rozwodził się nad kazaniem i nad elokwencją rektora. Ona nigdy nie przychodziła do opactwa - modliła się w tym ponurym kościółku obok stacji. On zaś gadał w kółko o pięknie, godności i splendorze nabożeństw odprawianych w opactwie. Stella czekała cierpliwie, aż skończy, a potem powiedziała ze śmiechem: „Biedny stary Stan. Dla mnie zawsze będziesz Stan”. Nigdy nie

widziałem, żeby ktoś był tak wściekły jak on wtedy. Zrobił się biały jak ściana.

Fielding odgarnął siwe włosy, które opadały mu na oczy, i mówił dalej, jakby ze swą dawną nonszalancją:

- Ja również obserwowałem, podczas posiłków. Nie tylko tutaj, ale na przyjęciach w innych domach, do których byliśmy równocześnie zapraszani. Patrzyłem, jak je najprostsze rzeczy, na przykład jabłko. Obierała je na okrągło, dopóki nie zdjęła całej skórki. Potem kroїła na ćwiartki i na połówki ćwiartek - jak żona górnika, przygotowująca lancz dla swego męża. Z pewnością widziała, jak zachowują się inni ludzie związani ze szkołą, ale nie przyszło jej do głowy, żeby ich naśladować. Podziwiam taką postawę. Pan pewnie też. Ale Carne jej nie aprobuje, a co najważniejsze, nie aprobował jej Rode. Obserwował ją i mam wrażenie, że zaczął jej nienawidzić za tę odmowę podporządkowania się regułom. Uznał w końcu, że jest dla niego przeszkodą w drodze do sukcesu, jedynym

103

elementem uniemożliwiającym mu zrobienie wielkiej kariery. A skoro doszedł do takiego wniosku, to co mógł przedsięwziąć? Nie mógł się z nią rozwieść -to by zaszkodziło jego opinii znacznie bardziej niż pozostanie w związku małżeńskim. Rode znał stanowisko Carne School w sprawie rozwodów; niech pan pamięta, że jesteśmy fundacją kościelną. A więc zabił ją. Zaplanował ohydne morderstwo, a ponieważ ma precyzyjny sposób myślenia fizyka, dostarczył policji wszystkich niezbędnych poszlak. Sfabrykowanych poszlak. Poszlak, które wskazywały na nieistniejącego mordercę. Ale wydarzyło się coś nieprzewidzianego:

Perkins dostał sześćdziesiąt jeden procent. Uzyskał nieprawdopodobny wynik - a zatem musiał popełnić oszustwo. Miał po temu sposobność; to on przynosił teczkę z pracami egzaminacyjnymi. Rode wysilił swój ograniczony umysł i odtworzył przebieg wydarzeń: Tim otworzył teczkę, więc musiał zobaczyć pelerynę, rękawiczki i kalosze. A także kabel. A więc Rode zabił również jego.

Z zaskakującą energią Fielding wstał z fotela i nalał sobie drugi kieliszek koniaku. Na jego zaczerwienionej twarzy malował się wyraz niemal triumfu. Smiley również się podniósł.

- Mówił pan, że wybiera się pan do Londynu w czwartek, prawda? - spytał. Tak. Umówiłem się na lunch z przedstawicielem mojej nowej szkoły w jednym z tych okropnych klubów na Pali Mali. Nigdy nie mogę trafić do właściwych drzwi, a pan? Ale chyba nie mam po co z nim się spotykać, skoro to wszystko zostanie ujawnione? Nawet marna szkoła nie zechce mnie zatrudnić. Smiley zawahał się.

- Niech pan przyjdzie do mnie na kolację w czwartek wieczorem. Może pan u mnie przenocować. Zaproszę jeszcze jedną czy dwie osoby. Urządzimy przyjęcie. Do tej pory poczuje się pan lepiej. Będziemy mogli porozmawiać. Niewykluczone, że będę w stanie panu pomóc... ze względu na pamięć Adriana.

- Dziękuję. Chętnie przyjdę. Niezależnie od tego spotkania muszę załatwić w Londynie kilka spraw.

- Dobrze. Za kwadrans ósma. Bywater Street, w dzielnicy Chelsea, numer 9A. - Fielding zapisał adres w kalendarzu. Ręka wcale nie drżała.

- Smoking? - spytał Fielding, zatrzymując pióro w powietrzu, a jakiś złośliwy chochlik podsunął Smileyowi odpowiedź:

- Owszem, zwykle wkładam smoking do kolacji, ale nie ma to znaczenia.

Na chwilę zapadła cisza. 104

- Przypuszczam - spytał niepewnie Fielding - że podczas procesu ujawnione zostaną wszystkie fakty dotyczące mnie i Tima, prawda? Jeśli tak się stanie, będę skończony; naprawdę skończony.

- Nie sądzę, żeby dało się tego uniknąć.

- Tak czy owak, czuję się teraz o wiele lepiej - wyznał Fielding. - O wiele lepiej.

Smiley bąknął coś na pożegnanie i zostawił go samego. Szedł szybkim krokiem w stronę posterunku policji, a w jego świadomości dojrzywał głębokie przekonanie, że dawno nie zetknął się z tak pomysłowym kłamcą jak Terence Fielding.

17

## UCIECZKA KRÓLIKA

Zapukał do drzwi gabinetu Rigby'ego i zaraz potem wszedł do środka. - Jest mi bardzo przykro, ale będzie pan musiał aresztować Stanleya Rode - oznajmił od progu, po czym zrelacjonował swą rozmowę z Fieldingiem.

- Będę musiał poinformować o tym komisarza - z powątpiewaniem w głosie stwierdził Rigby. - Czy zechce pan powtórzyć to wszystko w jego obecności? Skoro mamy aresztować nauczyciela Carne School, to nie mogę tego zrobić bez wiedzy komisarza. Właśnie wrócił. Proszę chwileczkę poczekać. - Podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z komisarzem. W kilka minut później szli obaj w milczeniu długim korytarzem. Na podłodze leżał dywan, ściany zdobiły fotografie drużyn rugby i krykieta; niektóre były pożółkłe i wyblakłe od słońca Indii, inne utrzymane w kolorze sepii, w którym lubowali się fotografowie miasta



Carne na początku wieku. Pod ścianami korytarza stały gdzieś jaskrawoczerwone puste wiadra, na których ktoś starannie wypisał białymi literami słowo: POŻAR. Na końcu znajdowały się ciemne dębowe drzwi. Rigby zapukał i czekał. Cisza. Zapukał ponownie i tym razem usłyszeli okrzyk:

- Wejść!

Od progu obserwowały ich dwa bardzo duże spaniele. Za ich plecami siedział przy ogromnym biurku komisarz policji w Carne, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, emerytowany generał Havelock. Wyglądał jak szczur wodny siedzący na tratwie.

Nieliczne pasma siwych włosów, zaczesane z obu stron na łysej czaszce, były starannie ułożone w taki sposób, by przykrywały jak największą

105

powierzchnię. Nadawało mu to wygląd człowieka, który przed chwilą wynurzył się z wody. Pożółkłe, gęste wąsy z powodzeniem rekompensowały niedostatki innego uwłosienia. Komisarz był niezwykle drobnym mężczyzną; miał na sobie brązowe ubranie i białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem o zaokrąglonych rogach.

- Sir - zaczął Rigby - chciałem przedstawić pana Smileya, który przyjechał z Londynu.

Komisarz wyszedł zza biurka w taki sposób, jakby oddawał się w ich ręce. Zachowywał się jak człowiek nie przekonany, ale zrezygnowany. Wysunął w kierunku Smileya drobną, gruzłowatą dłoń.

- Z Londynu, co? Jak się pan miewa? - powiedział jednym tchem, jakby to była kwestia, której nauczył się na pamięć.

- Pan Smiley przyjechał do Carne w sprawach prywatnych, sir - ciągnął

Rigby. - Jest znajomym pana Fieldinga.

- Ach, ten Fielding to niezwykły człowiek, wprost niezwykły - wyrecytował komisarz.

- Istotnie - przyznał Rigby i ciągnął dalej: - Pan Smiley złożył przed chwilą wizytę panu Fieldingowi, pragnąc pożegnać się z nim przed swym powrotem do Londynu.

Havelock rzucił Smileyowi badawcze spojrzenie, jakby zastanawiał się, czy będzie miał dość siły, by dotrzeć do celu podróży.

- Pan Fielding złożył... złożył oświadczenie i uwiarygodnił je nowymi dowodami. Chodzi o to morderstwo, sir.

- No i co, Rigby? - wyzywającym tonem spytał komisarz. Smiley postanowił wtrącić się do rozmowy.

- Twierdzi, że zrobił to jej mąż, Stanley Rode. Fielding oświadczył, że kiedy starosta jego klasy przyniósł mu teczkę pana Rode, zawierającą prace egzaminacyjne...

- Jakie prace egzaminacyjne?

- Pamięta pan zapewne, że Rode nadzorował tego popołudnia przebieg egzaminu. Musiał także, przed udaniem się na kolację do Fieldinga, odbyć przypadający na niego dyżur w kaplicy. Dał więc te prace chłopcu nazwiskiem Perkins, prosząc, by zaniósł je...

- Czy to ten chłopiec, który miał wypadek? - spytał komisarz.

- Owszem.

- Sporo pan o tym wszystkim wie - pośpiesznie stwierdził Havelock.

- Fielding wyznał, że otworzył dostarczoną mu przez Perkinsa teczkę.

Chciał przekonać się, jak Perkinsowi poszedł pisemny egzamin z fizyki.

Przyszłość tego chłopca zależała od tego, czy uzyska promocję.

- Ach, oni tam teraz myślą tylko o nauce - z goryczą stwierdził Have-lock.
- Mogę pana zapewnić, że kiedy ja chodziłem do tej szkoły, było zupełnie inaczej.
- Kiedy Fielding otworzył teczkę, znalazł wewnątrz prace egzaminacyjne, a oprócz nich parę starych skórzanych rękawiczek, plastikową pelerynę i gumowe kalosze zrobione z wellingtonów.

Pauza.

- Mój Boże! Mój Boże! Czy słyszysz, Rigby? Przecież to właśnie znaleziono w tej paczce wysłanej do Londynu! Mój Boże!
  - Oprócz tego w teczce znajdował się kawałek grubego kabla. Pamięta pan zapewne, że Rode wrócił po teczkę tego wieczoru, którego dokonano morderstwa - zakończył Smiley. Rozmowa z komisarzem przypominała mu karmienie dziecka; nie należało nakładać na łyżkę zbyt dużo.
- Znów zapadła cisza, tym razem bardzo długa. Potem odezwał się Rigby, który najwyraźniej dobrze znał swojego szefa.
- Motywem była chęć zrobienia kariery zawodowej, sir. Pani Rode nie chciała awansować w hierarchii towarzyskiej, ubierała się niedbale i nie brała udziału w życiu religijnym szkoły.
  - Chwileczkę - przerwał mu Havelock. - A więc Rode zaplanował to morderstwo o wiele wcześniej, zgadza się?
  - Tak, sir.
  - I chciał przeprowadzić wszystko w taki sposób, żeby wyglądało to na morderstwo rabunkowe?

Tak, sir.

- Odebrawszy tę swoją teczkę, pomaszerował z powrotem do North Fields. Co zrobił potem?

- Włożył na siebie plastikową pelerynę z kapturem, kalosze i rękawiczki. Uzbroił się w narzędzie zbrodni. Wszedł ścieżką od strony ogrodu, minął znajdujący się za domem trawnik, podszedł do drzwi frontowych i nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyła mu żona. Ogłuszył ją, zawlókł do oranżerii i tam zamordował. Opłukał pod kranem pelerynę, kalosze oraz rękawiczki i wsunął je do paczki. Zapakowawszy starannie przesyłkę, opuścił dom i poszedł ścieżką prowadzącą do frontowej furtki. Wiedział, że odciski jego stóp zostaną i tak zdeptane przez innych. Dotarł do drogi, pokrytej twardym śniegiem, tak że nie było widać na niej żadnych śladów, a następnie odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do domu, tym razem w roli przerażonego męża. Zadał sobie wiele trudu, żeby po pozorowanym znalezieniu ciała nałożyć własne odciski palców na plamy pozostawione przez rękawiczki. Ale był jeden przedmiot, którego wysłanie w paczce uważał za zbyt niebezpieczne. Narzędzie zbrodni.

107

-st, SIT. Czy mogę wysłać do pana Fieldinga sierżanta zęby zaprotokołował jego oświadczenie? ^Dlaczego, do diabła, nie powiedział nam o tym wszystkim wcześniej,

- spytał Haveiock'

- Nie, niestety nie.

To skąd pan zna Fieldinga?

- Poznaliśmy się w Oksfordzie, tuż po wojnie

Czy

- Owszem.

Czytałem o tym w jakiejś gazecie

SzJrpSrla?POWiedZW--- \*=" ""\*- " \*\*=\* J-M Pam Tak... chyba tak.

Nie. Istotnie nie można.

Na tym polegają problemy dzisiejszego świata.

Nikt

do

""•\* baw'ć \* W\*\*- « biurku nożem

108

ście, że o tym wiedział, co wydaje się prawdopodobne. Chyba nie miałyby aż tyle tupetu.

Tak, to dziwne, cholernie dziwne - mruknął Havelock. Zerknął na zegarek, wysoko podnosząc lewy łokieć, jakby wykonywał jakiś element musztry.

Jego ruch wydał się Smileyowi komiczny, a zarazem przygnębiający.

Mijały minuty. Smiley zastanawiał się, czy nie powinien pożegnać

komisarza i wyjść, ale miał niejasne wrażenie, że Havelock pragnie jego towarzystwa.

- Będzie cholerne zamieszanie - powiedział komisarz. - Bądź co bądź, niecodziennie aresztuje się profesora Carne, oskarżając go o morderstwo. -

Z hałasem odłożył nóż na biurko. - Tych cholernych dziennikarzy

należałoby wychłostać! - oznajmił. - Niech pan zobaczy, co wypisują o rodzinie królewskiej! To niktzemne, niktzemne!

Wstał, przeszedł przez pokój i usiadł na stojącym obok kominka fotelu.

Jeden z psów ułożył się u jego stóp.

- Ciekaw jestem, co go do tego skłoniło. Co, do diabła, go do tego

skłoniło? Co za człowiek... żeby zabić własną żonę. - Havelock zdawał się prosić o wyjaśnienie tej zagadki.

- Nie wydaje mi się - z rozmysłem powiedział Smiley - żebyśmy kiedykolwiek mogli do końca pojąć motywy postępowania innych ludzi.
- Mój Boże, ma pan zupełną słuszność... Czym pan się zajmuje, Smiley?
- Po wojnie spędziłem jakiś czas w Oksfordzie. Uczyłem i prowadziłem badania naukowe. Teraz mieszkam w Londynie.
- Ach, a więc jest pan uczonym, tak?

Smiley zaczął się zastanawiać, kiedy wróci Rigby.

- Czy wie pan coś o rodzinie tego Rode'a? Czy ma rodziców albo jakichś krewnych?
- O ile wiem, oboje rodzice nie żyją - odparł Smiley i w tym momencie rozległ się przenikliwy dźwięk stojącego na biurku telefonu. Dzwonił Rigby. Stanley Rode zniknął.

## 18 PO BALU

Wsiadł do londyńskiego pociągu odchodzącego o 13.30. Z trudem na niego zdążył, bo sporo czasu zajął mu spór dotyczący rachunku za hotel. Zostawił list do inspektora; podał mu swój adres oraz numer telefonu 109

i poprosił, żeby Rigby zadzwonił do niego wieczorem, kiedy bada znane wyniki testów laboratoryjnych. Nie miał już nic do roboty w Carne. Kiedy pociąg ruszył i za oknami zaczęły przesuwać się znane widoki, przesłonięte chłodną zimową mgiełką, Smileya ogarnęło uczucie ulgi. Nie chciał tu przyjeżdżać; tego był pewien. Bał się miejsca, w którym spędziła dzieciństwo jego żona, obawiał się widoku pól, wśród których dorastała. Ale nie znalazł tu nic - ani w posepnej sylwetce Sawley Castle, ani w otaczającym go krajobrazie - co przypominałoby mu o jej istnieniu. Pozostały tylko plotki, powtarzane przez takich ludzi jak Shane Hecht czy

Havelock, ludzi pragnących pochwalić się swą znajomością z pierwszą rodziną Carne.

Wziął taksówkę do Chelsea, wniósł walizkę na górę i rozpakował ją z sumienną pedanterią człowieka od dawna mieszkającego samotnie. Miał ochotę wziąć kąpiel, ale postanowił zadzwonić najpierw do Ailsy Brimley. Telefon stał przy łóżku. Usiadł na jego krawędzi i nakręcił numer. Usłyszawszy śpiewny wyuczony głos telefonistki: „Dzień dobry, tu Unipress”, spytał o pannę Brimley. Po dłuższym oczekiwaniu telefonistka odezwała się ponownie:

- Niestety, panna Brimley jest na konferencji. Czy chce pan rozmawiać z kimś innym?

- Nie - odparł. - Proszę jej tylko powiedzieć, że dzwonił George Smiley. - Odłożył słuchawkę, wszedł do łazienki i puścił ciepłą wodę. Borykał się właśnie ze spinkami od mankietów, kiedy zadzwonił telefon. Była to Ailsa Brimley.

- George? Myślę, że powinieneś zaraz się tu zjawić. Mamy gościa. To pan Rode; przyjechał z Carne. Chce z nami porozmawiać.

Smiley włożył marynarkę, wybiegł na ulicę i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

## 19 WERYFIKOWANIE LEGENDY

Winda, która zjechała na parter, wypełniona była pracownikami koncernu prasowego Unipress, spieszącymi do domów po męczącym dniu w redakcjach. Widok grubego, starszawego jegomościa, wchodzącego po schodach, wyraźnie ich rozbawił; Smiley szedł więc szybko w górę, ścigany szyderczymi uwagami gońców i sekretarek. Na pierwszym 110 piętrze zatrzymał się i zaczął studiować ogromną tablicę informacyjną, na

której znalazł tytuły sporej części gazet o zasięgu ogólnokrajowym. W końcu, w dziale: WYDAWNICTWA TECHNICZNE i INNE dostrzegł napis: GŁOS CHRZEŚCIJAŃSKI, POKÓJ 619. Winda wlokła się jakoś dziwnie wolno. Z obitych pluszem ścian sączyła się pozbawiona melodii muzyka, a chłopiec w liberii kręcił rytmicznie biodrami w jej takt.

Wreszcie pomalowane na złoty kolor drzwi rozsunęły się z westchnieniem, windziarz powiedział: „Szóste!” i Smiley pospiesznie wysiadł. W chwilę później pukał do drzwi pokoju 619. Otworzyła mu Ailsa Brimley.

- George, to wspaniale, że jesteś - powiedziała pogodnie. - Pan Rode będzie zachwycony. - I bez dalszych wstępów wprowadziła go do gabinetu. Na fotelu pod oknem siedział Stanley Rode, wykładowca Carne School. Miał na sobie elegancki czarny płaszcz. Na widok Smileya wstał i wyciągnął rękę.

To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że zechciał pan przyjść - powiedział. - Jestem ogromnie wdzięczny. - Jak zawsze zachowywał rezerwę i mówił beznamiętnym głosem.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytał Smiley.

Wszyscy usiedli. Smiley poczęstował pannę Brimley papierosem i podał jej ogień.

- Chodzi o ten artykuł, który pan pisze o Stelli - zaczął Rode. - Jest mi bardzo przykro, bo okazaliście jej tyle troski... jej i jej pamięci, jeśli wie pan, co mam na myśli. Wiem, że ma pan dobre intencje, ale nie chcę, żeby pan o niej pisał.

Smiley nie odezwał się; Ailsa miała dość rozumu, by również zachować milczenie. Wiedziała, że od tej pory on będzie kierował przebiegiem rozmowy. Cisza nie denerwowała Smileya, ale wyraźnie denerwowała



Stanleya Rode.

To nie byłoby wskazane, to wcale nie byłoby słuszne. Pan Glaston zgadza się ze mną; rozmawiałem z nim wczoraj, zanim wyjechał, i przyznał mi słusność. Po prostu nie mogę pozwolić na to, żeby pan pisał o niej w ten sposób.

- Dlaczego?

- Widzi pan, zbyt wiele osób znało prawdę. Biedny pastor Cardew... spytałem go o zdanie. On dużo wie w ogóle i dużo wie o Stelli, więc go spytałem. Rozumie również, dlaczego porzuciłem kongregację nonkonformistów. Nie mogłem patrzeć, jak Stella chodzi tam co niedziela i modli się na kolanach. - Potrząsnął głową. - To wszystko było fałszywe. Po prostu kpiła z naszej wiary.

111

- A co powiedział pan Cardew?

- Że nie powinniśmy być sędziami. Że powinniśmy zostawić osąd Bogu. Ale ja mu oświadczyłem, że to po prostu byłoby niesłuszne, żeby ludzie, którzy ją znali i wiedzieli, jak postępowała, czytali w „Głosie” takie rzeczy. Gotowi uznać to za jakieś szaleństwo. Ale on jakby tego nie rozumiał. Powiedział: „Zostawmy to Bogu”. Ale ja tak nie potrafię, panie Smiley.

Znów zapadło milczenie. Rode siedział nieruchomo, jedynie lekko kołysząc głową. Potem znów zaczął mówić:

- Z początku nie wierzyłem staremu Glastonowi. Mówił mi, że ona jest zła, ale ja w to nie wierzyłem. Mieszkali wtedy na wzgórzu, na Gorse Hill, tuż obok kościoła, Stella i jej ojciec. Służba nigdy jakoś nie zagrzewała u nich miejsca, więc Stella sama wykonywała większość prac domowych.

Wpadałem do nich czasem w niedzielę rano, po kościele. Stella opiekowała się ojcem, gotowała mu posiłki i tak dalej, a ja zadawałem sobie pytanie, czy kiedykolwiek odważę się poprosić go o jej rękę. Glastonowie byli ważnymi ludźmi w Bransome. Ja w tym czasie uczyłem w państwowej szkole. Pracowałem na pół etatu, przygotowując się równocześnie do obrony dyplomu i postanowiłem, że jeśli zdam egzamin, poproszę ją, by za mnie wyszła.

Kiedy powiadomiono mnie, że obroniłem dyplom, poszedłem tam w niedzielę, po rannym nabożeństwie. Drzwi otworzył mi pan Glaston. Poprosił mnie do swojego gabinetu. Z jego okien widać było połowę zakładów ceramicznych w Poole, a za nimi morze. Glaston kazał mi usiąść i powiedział: „Wiem, po co tu przyszedłeś, Stanley. Chcesz ożenić się ze Stella. Ale ty jej nie znasz; ty jej wcale nie znasz”. - „Bywam tu od dwóch lat, panie Glaston - odparłem - i wydaje mi się, że wiem, czego chcę”.

Wtedy on zaczął mówić o Stelli. Nigdy nie myślałem, że ktokolwiek może tak mówić o własnym dziecku. Powiedział mi, że jest zła - z gruntu zła. Że ma złośliwy charakter. Dlatego służba nie chce pracować w ich domu.

Opowiadał mi, jak wyciągała ludzi na zwierzenia, okazując im życzliwość i sympatię, a kiedy już wyznali jej wszystko, zadawała im ból, mówiąc okropne rzeczy, mieszając kłamstwa i prawdę. Powiedział mi też wiele innych rzeczy, ale ja mu nie uwierzyłem ani w jedno słowo. Zezłościłem się i powiedziałem mu, że jest zazdrosnym starcem, który nie chce stracić służącej, zakłamanym zazdrosnym starcem, który usiłuje zmusić córkę, by mu usługiwała aż do jego śmierci. Oznajmiłem mu, że to on jest zły, a nie Stella, i krzychałem: „Kłamca, kłamca!”, a on zachowywał się, jakby mnie nie słyszał; kręcił tylko głową. Wybiegłem na korytarz i zawołałem Stellę.

Była akurat w kuchni - tak mi się wydaje - ale przyszła, zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie. 112

Wzięliśmy ślub w miesiąc później i stary Glaston udzielił nam błogosławieństwa. Na weselu uściskał mi dłoń i nazwał mnie prawym młodym człowiekiem, a ja pomyślałem, że jest zakłamanym hipokrytą. Dał nam trochę pieniędzy - nie jej, mnie - dwa tysiące funtów.

Podejrzewałem, że chce w ten sposób zrekompensować te okropne rzeczy, które o niej powiedział, a w jakiś czas później wysłałem do niego list, w którym napisałem, że mu przebaczam. Nie odpisał i od tej pory rzadko się widywaliśmy.

Przez jakiś rok żyliśmy w Branxome dość szczęśliwie. Była dokładnie taka, jak myślałem: skromna i prostolinijna. Lubiła chodzić na spacer i całować się ze mną pod drzewami, czasem miała ochotę udawać wielką damę, więc ubieraliśmy się wieczorowo i szliśmy na kolację do Delfina. Nie przeczę, iż bardzo mi wtedy pochlebiało, że mogę pokazać się w eleganckim lokalu z córką pana Glastona. Był rotarianinem, członkiem Rady Miejskiej, i wielką figurą w Branxome. Czasem dokuczała mi na ten temat, nawet przy ludziach, co mnie trochę złościło. Pamiętam pewną naszą wyprawę do Delfina; jednym z kelnerów był mój znajomy, Johnie Raglan. Chodził ze mną do szkoły i był nicponiem - od ukończenia szkoły nic nie robił. Uganiał się za dziewczynami i ściągał sobie na głowę kłopoty. Stella знаła go - nie wiem skąd - i zaczęła do niego machać, gdy tylko siedliśmy przy stole. Johnie podszedł, a ona kazała mu przynieść sobie krzesło i usiąść z nami. Kierownik sali wyglądał jak chmura gradowa, ale nie śmiał zwrócić nam uwagi, bo Stella była córką Samuela Glastona. Johnie siedział z nami aż do końca kolacji, a ona rozmawiała z

nim o naszych szkolnych latach i wypytywała go o mnie. Był oczywiście zachwycony i zaczął opowiadać różne rzeczy, głównie wysane z palca: że byłem prymusem i grzecznym chłopcem, a on mnie stale tłukł, i tak dalej. Zacząłem jej potem robić wymówki, mówiąc, że nie po to wydaję ciężkie pieniądze w Delfinie, żeby słuchać, jak Johnie Raglan opowiada wysane z palca historyjki, a ona zrobiła mi wściekłą scenę. Powiedziała, że to jej pieniądze, a Johnie jest w jej oczach równie dobry jak ja. Potem przeprosiła mnie i pocałowała, a ja udałem, że jej przebaczam. Na twarzy Stanleya Rode pojawiły się krople potu. Mówił szybko, nerwowo wyrzucając z siebie potoki słów, jak człowiek wspominający jakiś nocny koszmar, który nadal żywo pamięta i który nadal przejmuje go lękiem. Przerwał i spojrzał badawczo na Smileya, jakby oczekiwał od niego jakiegoś komentarza. Ale Smiley patrzył w przestrzeń. Jego twarz miała nieprzenikniony wyraz, a jej łagodne kontury wyraźnie się zaostrzyły.

## 8 - Perfekcyjne morderstwo

113

- Potem przenieśliśmy się do Carne. Zacząłem wtedy czytywać „Ti-mesa” i zobaczyłem ogłoszenie. Szukali nauczyciela fizyki, więc wysłałem swoją ofertę. Po rozmowie z panem D'Arcy otrzymałem tę posadę. Dopiero po przyjeździe do Carne odkryłem, że jej ojciec mówił prawdę. Poprzednio nie była zbyt gorliwą nonkonformistką, ale gdy tylko znalazła się w Carne, zaczęła ostentacyjnie udzielać się w tamtejszej kongregacji. Wiedziała, że będzie to razić wielu ludzi i że mi zaszkodzi. W Bran-xome jest duży kościół i nie było nic śmiesznego w tym, że ktoś odwiedza świątynię. Ale w Carne było inaczej; tamtejszy kościół jest skromnym budynkiem,

stojącym na peryferiach miasta. Ona chciała być inna, na przekór szkole i mnie grając rolę skromnej prostytutki. Nie miałbym nic przeciw temu, gdyby była w tym szczerą, ale tak nie było. Wiedział o tym pastor Cardew. On się orientował, jaka jest naprawdę. Chyba powiedział mu o tym jej ojciec; zresztą Cardew mieszkał poprzednio na północy i znał dobrze całą rodzinę. O ile wiem, pisał nawet do pana Glastona, a może nawet pojechał do Bransome, żeby z nim porozmawiać o Stelli.

Na początku zachowywała się dość poprawnie. Wszyscy współwyznawcy - mieszkańcy miasta - chętnie ją tam widzieli. Nie zdarzyło się dotąd, by żona któregoś z nauczycieli szkoły należała do kongregacji nonkonformistów. Potem przyłączyła się do akcji na rzecz uchodźców - zaczęła zbierać odzież i tak dalej. Panna D'Arcy prowadziła tę działalność na terenie szkoły i Stella postanowiła pokonać ją na jej własnym terenie: zebrać więcej wśród członków kongregacji niż panna D'Arcy w szkole. Ale ja wiedziałem, dlaczego to robi, wiedział też pan Cardew, a w końcu zrozumieli to również mieszkańcy miasta. Stale miała otwarte uszy. Zbierała wszystkie plotki, wszystkie brudy. Czasem wracała wieczorem do domu - w środy i w piątki zajmowała się akcją na rzecz uchodźców - zrzucała płaszcz i śmiała się tak długo, że bałem się, czy nie zwariowała. „Mam ich! Mam ich wszystkich! - mówiła. - Znam ich wszystkie tajemnice i mam ich w garści, Stan”. Tak mówiła. A ci, którzy zdawali sobie z tego sprawę, zaczynali się jej bać. Wszyscy plotkowali, to prawda, ale nie po to, by wyciągać z tego korzyści, nie tak jak Stella. Stella była przebiegła, potrafiła splugawić i zohydzić wszystko, co dobre i uczciwe. Dokuczyła wielu ludziom. Na przykład Mulliganowi, temu od przewozu mebli. Jego córka z dzieckiem mieszka niedaleko Leamington. Stella

dowiedziała się, nie wiem skąd, że ta dziewczyna nie jest zamężna; wysłano ją do ciotki, żeby urodziła tam dziecko i zaczęła życie od nowa. Kiedyś zadzwoniła do tego Mulligana - miało to jakiś związek z kosztami przeprowadzki Simona Snowa - i powiedziała mu: „Pozdrowienia z Lea-  
114

mington, panie Mulligan. Chcemy, żeby pan nam oddał drobną przysługę". Sama mi to opowiadała - wróciła do domu, zanosząc się od śmiechu i powiedziała mi, jak było. Ale w końcu ją dopadli, prawda? Zemścili się na niej za wszystko!

Smiley, nie spuszczać z niego wzroku, wolno kiwnął głową. Tak - powiedział wolno. - Zemścili się na niej za wszystko.

- Oni myślą, że to zrobiła Pomyłona Janie, ale ja wcale tak nie uważam. Janie zabiłaby prędzej własną siostrę niż Stellę. Były z sobą blisko zaprzyjaźnione. Godzinami gadały wieczorami, kiedy nie było mnie w domu z powodu dodatkowych zajęć lub zebrania. Stella dokarmiała ją, dawała jej odzież i pieniądze. Pomagając takiej osobie jak Janie, zmuszając ją do zabiegania o swoje względy, czuła się ważniejsza. Nie dlatego, że była taka hojna, ale dlatego, że była okrutna.

Przywiozła ze sobą z Braxome małego pieska, mieszańca. Przed kilku miesiącami wróciłem pewnego dnia do domu i znalazłem pieska leżącego w garażu. Skomlał i był przerażony. Miał przetrąconą łapę i pokrwawiony grzbiet. Pobiła go. Musiała wpaść w szal. Wiedziałem, że biła go już dawniej, ale nigdy do tego stopnia, nigdy. Wtedy coś się ze mną stało: zacząłem na nią krzyczeć, a kiedy się roześmiała, uderzyłem ją. Niezbyt mocno, ale tak, że to poczuła. W twarz. Powiedziałem, że jeśli nie uśpi tego psa w ciągu dwudziestu czterech godzin, doniosę na policję. Zaczęła

na mnie wrzeszczeć; krzyczała, że jest to jej pies i zrobi z nim, co jej się będzie podobało, ale następnego dnia włożyła swój mały czarny kapelusik i zawiozła psa do weterynarza. Pewnie opowiedziała mu jakąś wyssaną z palca historyjkę. Potrafiła zmyślać niestworzone rzeczy na każdy temat. Po prostu wczuwała się w czyjąś rolę i grała ją konsekwentnie do końca. Tak było z tymi Węgrami. U panny D'Arcy mieszkała kiedyś para uchodźców z Węgier i Stella naopowiadała im tak okropnych rzeczy, że uciekli od niej i trzeba ich było odwieźć z powrotem do Londynu. Panna D'Arcy zapłaciła za ich podróż i pokryła wszystkie koszty; sprowadziła nawet przedstawiciela instytucji charytatywnej, która się zajmowała tymi uchodźcami, żeby z nimi porozmawiał i spróbował coś im wyjaśnić. Chyba do tej pory nie wie, kto tak wystraszył tych Węgrów, ale ja to wiem - Stella sama mi powiedziała. Jak zwykle, śmiała się przy tym szyderczo i mówiła: „Oto twoja wytworna dama, Stan. Zobacz, co wyszło z jej działalności dobroczynnej!”

Po tej sprawie z psem zaczęła mi wmawiać, że jestem brutalem; kuliła się z rzekomego strachu, gdy do niej podchodziłem i podnosiła rękę, jakby chcąc się zasłonić przed uderzeniem. Twierdziła nawet, że zamierzam

115

ją zamordować - poszła do pana Cardew i powiedziała mu to. Sama wcale zresztą w to nie wierzyła, bo wyśmiewała często ten pomysł. Mówiła do mnie: „Nie możesz mnie teraz zabić, Stan, bo wszyscy będą wiedzieli, kto to zrobił”. Ale przy innych okazjach zaczynała nagle zawodzić i czulić się do mnie, błagając, żebym jej nie mordował. „Zabijesz mnie którejś z długich nocy!” - wołała i upajała się dźwiękiem tych słów jak aktor na scenie, budując wokół nich całą fabułę. „Och, Stan - mówiła - oszczędź

mnie podczas długich nocy!" Czy wie pan, jak czuje się człowiek, który w ogóle nie ma zamiaru czegoś zrobić, ale jest przez kogoś stale błagany, by tego nie robił? Zaczyna, myśleć, że może jednak potrafiłby się na to zdobyć, rozważa taką możliwość.

Panna Brimley gwałtownie wciągnęła oddech. Smiley wstał i podszedł do Stanleya Rode.

- Może pojedziemy do mnie do domu, żeby coś zjeść? - zaproponował. - Będziemy mogli wszystko spokojnie omówić. Jak przyjaciele.

Wzięli taksówkę na Bywater Street. Rode, teraz już nieco spokojniejszy, zajął miejsce obok panny Brimley, a Smiley siedział naprzeciw niego na rozkładanym fotelu, obserwował go i zastanawiał się głęboko. Zdał sobie sprawę, co najbardziej go uderzało, kiedy myślał o Stanleyu Rode: otóż fakt, że nie ma on wcale przyjaciół. Przypomniała mu się bajka Buch-nera o chłopcu, który został sam na wyludnionym świecie. Nie miał do kogo otworzyć ust, udał się więc na księżyc, bo księżyc się do niego uśmiechał. Ale księżyc okazał się zrobiony ze spróchniałego drewna. Kiedy więc przekonał się, że nie ma dla niego miejsca ani na księżycu, ani na słońcu, ani wśród gwiazd, próbował wrócić na ziemię, ale ziemia tymczasem zniknęła.

Smiley, który miał prawo być zmęczony - a może dlatego, że był już człowiekiem dość starym - poczuł nagle przyływ współczucia dla Stanleya Rode, współczucia, jakie dzieci odczuwają wobec nędzarzy, a rodzice wobec dzieci. Rode tak bardzo się starał - używał języka Carne School, odpowiednio się ubierał, a nawet usiłował myśleć w odpowiedni sposób, ale mimo to pozostał człowiekiem beznadziejnie samotnym i wyobcowanym.



Ailsa Brimley poszła do delikatesów na King's Road po zupę i jajka, a Smiley zajął się zapalaniem gazowego grzejnika w salonie. Potem nalał wszystkim whisky z wodą sodową i podał jedną ze szklanek Stanleyowi Rode, który zaczął pić w milczeniu małymi łyżkami.

- Musiałem o tym komuś powiedzieć - stwierdził wreszcie. - Pomyślałem sobie, że pan będzie właściwym człowiekiem. Ale nie chcę, żeby zamieszczał pan ten artykuł. Widzi pan... wiedziało o tym zbyt wiele osób.

- No właśnie, ile osób naprawdę wiedziało?

- Chyba tylko ludzie, którym weszła w drogę. Może z dziesięciu mieszkańców miasta i oczywiście pan Cardew. Widzi pan, ona była bardzo przebiegła. Nieczęsto powtarzała plotki. Wyczuwała instynktownie, jak daleko może się posunąć. Wiedzieli tylko ci, których złapała na swój haczyk. Ach, i D'Arcy, Feliks D'Arcy; on również wiedział. Znała jakąś jego ważną tajemnicę, ale nigdy nie powiedziała mi, o co chodzi.

Niekiedy, późnym wieczorem, zarzucała na ramiona szal i wychodziła z domu, tak podekscytowana, jakby szła na przyjęcie. Czasem było to o jedenastej, nawet o północy. Nigdy nie pytałem, dokąd się wybiera, bo to tylko dodawało jej skrzydeł, ale od czasu do czasu ona sama kiwała głową i mówiła do mnie z przebiegłym uśmiechem: „Ty nie masz pojęcia, o co chodzi, Stan, ale D'Arcy wie. D'Arcy wie i nic nie może powiedzieć”.

Potem znów zaczynała się śmiać, robiła tajemniczą minę i wychodziła z domu.

Smiley przyglądał mu się przez dłuższą chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Potem spytał nagle:

- Czy wie pan, jaką Stella miała grupę krwi?

- Ja mam grupę B. Jestem tego pewien, bo byłem krwiodawcą w Bra-

nxome. Stella miała inną.

- Skąd pan to wie?
- Przed ślubem przechodziła badania. Cierpiała wtedy na anemię.

Pamiętam, że jej grupa krwi była inna niż moja, to wszystko. Pewnie A.

Nie pamiętam już tego dokładnie. Dlaczego pan pyta?

- Gdzie pan był zarejestrowany jako krwiodawca?
- W banku krwi w Norm Poole.
- Czy pana tam pamiętają? Czy pana karta nadal jest w kartotece?
- Pewnie tak.

Rozległ się dzwonek do drzwi frontowych. Panna Brimley wróciła z zakupami i poszła od razu do kuchni, Rode i Smiley zaś pozostali w ciepłym salonie.

- Chcę panu zadać jeszcze jedno pytanie dotyczące nocy, której popełniono morderstwo - powiedział Smiley. - Dlaczego zostawił pan u Fiel-dinga tę teczkę? Przez roztargnienie?

- Nie, w gruncie rzeczy nie. Miałem tego wieczoru dyżur w kaplicy, więc Stella i ja zjawiliśmy się u Fieldinga osobno. Ona przyjechała przede mną i myślę, że Fielding od razu wręczył jej tę teczkę, na samym początku, żeby później o tym nie zapomnieć. Mówił o niej potem, podczas

117

kolacji. Stella położyła ją w holu obok swojego płaszcza. To była nieduża teczka - chyba z czterdzieści pięć na dwadzieścia centymetrów. Mógłbym przysiąc, że miała ją w ręku, kiedy zegnaliśmy się, stojąc w holu, ale musiałem się mylić. Dopiero po powrocie do domu spytała mnie, co z nią zrobiłem.

- Ona spytała pana, co pan z nią zrobił?

Tak. Potem wpadła we wściekłość i zarzuciła mi, że każę jej o wszystkim pamiętać. Nie miałem wielkiej ochoty wracać. Mogłem zadzwonić do Fieldinga i ustalić z nim, że odbiorę teczkę nazajutrz z samego rana, ale Stella nie chciała o tym słyszeć. Zmusiła mnie do wyjścia. Nie mówiłem policji o tej naszej kłótni, wydawało mi się to krępujące.

Smiley kiwnął głową.

- A po powrocie do Fieldinga - czy zadzwonił pan do drzwi?

Tak. Są tam drzwi frontowe i oszklone drzwi wewnętrzne, żeby nie było przeciągów. Drzwi frontowe były nadal otwarte, a w holu paliło się światło. Nacisnąłem dzwonek i odebrałem teczkę od Fieldinga.

Kiedy zadzwonił telefon, kończyli kolację.

- Mówi Rigby, panie Smiley. Mam już wyniki badań laboratoryjnych. Są dość zaskakujące.

- Pomówmy przede wszystkim o tej pracy egzaminacyjnej. Czy wyniki nie potwierdzają naszej hipotezy?

- Nie. Tutejsi eksperci twierdzą, że wszystkie cyfry i formułki zostały napisane tym samym długopisem. Nie mają pewności co do rysunków, ale mówią, że podpisy pod nimi robiła ta sama ręka co resztę pracy.

- A więc wszystko napisał jednak ten chłopiec?

- Tak. Przyniosłem kilka próbek jego pisma, dla porównania. Idealnie pasują do pracy egzaminacyjnej. Fielding nie mógł nic w niej zmienić.

To dobrze. A ta odzież? Czy nie ma na niej żadnych śladów? Tylko resztki krwi. Żadnych odcisków palców na plastiku.

- A propos, jaką miała grupę krwi?

- A.

Smiley przysiadł na krawędzi łóżka. Przyciskając słuchawkę do ucha,

zaczął do niej cicho mówić. W dziesięć minut później zszedł powoli na dół. Polowanie było skończone, ale na myśl o momencie ujęcia winnego już teraz robiło mu się słabo.

Minęła niemal godzina, zanim zjawił się Rigby.

IJ8

## 20 NIECZYSTOŚCI WYRZUCONE PRZEZ RZEKĘ

~\ ^ost Alberta wyglądał jak zwykle groteskowo; cienka stalowa konstrukcja, zwieńczona wagnerowskimi wieżyczkami, ostro kontrastowała z cierpliwym londyńskim niebem. Pod nim płynęła z rezygnacją Tamiza, niosąc nieczystości w kierunku nadbrzeży Battersea i rozmywając się we mgle.

Mgła była gęsta. Smiley patrzył, jak tonie w niej stopniowo kłoda płynącego z prądem drewna; najpierw pokryła się białym pyłem, potem jakby rozplynęła się i zniknęła.

W taki właśnie ohydny poranek wywloką skomlącego o litość mordercę z celi i założą mu na szyję konopny sznur. Smiley, wyglądając przez okno i słuchając bicia zegara, zastanawiał się, czy będzie miał dość odwagi, by wspominać tę chwilę w dwa miesiące później. Kiedy winny zawiśnie już na szubienicy, a jego ciało zostanie sprzątnięte jak nieczystości wyrzucone przez rzekę?

Wyszedł z domu i ruszył Beaumont Street w kierunku King's Road. Minął go elektryczny wózek mleczarza. Smiley postanowił zjeść śniadanie na mieście, a potem pojechać taksówką na Curzon Street i zamówić wino do kolacji. Wybierze jakiś dobry rocznik i gatunek. Fielding powinien to docenić.

Fielding przymknął oczy i pociągnął z kieliszka, przyciskając lekko lewą

dłoń do piersi.

- Boskie! - powiedział. - Boskie!

Siedząca naprzeciw niego Ailsa Brimley uśmiechnęła się łagodnie.

- Jak zamierza pan spędzić lata emerytury, panie Fielding? - spytała. -

Pijąc frankenwein?

Nadal trzymając kieliszek przy ustach, spojrział na świecę. Srebro było dobre, lepsze niż jego własne.

- W spokoju - odparł w końcu. - Dokonałem niedawno pewnego odkrycia.

- Jakiego odkrycia?

- Odkryłem, że grałem przed pustą widownią. Ale teraz z ulgą myślę, że nikt nie pamięta, kiedy pomyliłem kwestie lub spóźniłem się z wejściem na scenę. Tak liczni spośród nas czekają spokojnie, aż ich widownia wymrze. Nikt w Carne nie będzie pamiętał dłużej niż przez jeden semestr, jak głupio zmarnowałem życie. Do niedawna byłem zbyt próżny,

119

by zdać sobie z tego sprawę. - Odstawił kieliszek i uśmiechnął się nagle do panny Brimley. - To jest spokój, o który mi chodzi: istnieć tylko we własnej pamięci, stać się świeckim mnichem, bezpiecznym i zapomnianym.

Smiley nalał mu wina.

- Panna Brimley dobrze znała w czasie wojny pańskiego brata, Adriana - powiedział. - Pracowaliśmy wszyscy w tym samym departamencie. Była nawet przez pewien czas jego sekretarką, prawda, Brim?

To przygnębiające, że źli ludzie żyją tak długo - oznajmił Fielding.

-Kłopotliwe. To znaczy dla tych złych. Oto moment prawdy podczas dobrego posiłku! Übergangs periode, pomiędzy entremets a deserem -

dodał i wszyscy roześmiali się głośno. Potem zapadła cisza. Smiley odstawił kieliszek.

Ta historia, którą opowiedział mi pan w czwartek, kiedy złożyłem panu wizytę... - zaczął.

- Słucham, o co chodzi? - spytał z irytacją w głosie Fielding.

- O tym, że popełnił pan oszustwo, żeby pomóc Perkinsowi... że wyjął pan z teczki jego pracę egzaminacyjną i poprawił ją...

Tak?

To nie była prawda. - Smiley mówił takim tonem, jakby gawędził o pogodzie. - Zbadano tę pracę i wiemy, że to nieprawda. Wszystko zostało napisane jednym pismem - tego chłopca. Jeśli ktoś popełnił oszustwo, musiał to być on sam. Zapadła długa cisza. Fielding wzruszył ramionami.

- Drogi panie, nie żąda pan chyba, żebym w to uwierzył. Ci eksperci to ignoranci.

- Oczywiście z tego nic jeszcze nie wynika. Może tylko to, że chroni pan tego chłopca, prawda? Że kłamie pan, by ocalić jego honor. Czy to właściwe wytłumaczenie?

- Powiedziałem panu prawdę - odparł ostro Fielding. - Może pan sobie to tłumaczyć, jak pan chce.

- Możliwa jest też inna wersja wydarzeń. Może zrobiliście to wspólnie. Może wzruszyła pana rozpacz chłopca, kiedy przyniósł do pana tę teczkę, więc pod wpływem nastroju chwili wyjął pan jego pracę i powiedział mu, co ma napisać.

- Niech pan posłucha - ze wzburzeniem powiedział Fielding - po co pan się do tego miesza? Co pana to obchodzi?

- Próbuję panu pomóc, Fielding - odparł dość ostro Smiley. - Proszę mi

wierzyć, że próbuję panu pomóc. Ze względu na Adriana. Chcę uniknąć... niepotrzebnych komplikacji, niepotrzebnych cierpień. Chcę wyjaśnić wszystko, zanim przyjdzie Rigby. Wycofali oskarżenie przeciwko Janie. Wie pan o tym, prawda? Chyba podejrzewają, że zabił ją Rode, ale go nie aresztowali. Choć mogli to zrobić. Spisali tylko jego dodatkowe oświadczenia. Więc sam pan widzi, że sprawa tej teczki ma wielkie znaczenie. Wszystko zależy od tego, czy naprawdę widział pan, co w niej było - i czy widział to Perkins. Czy pan tego nie rozumie? Jeśli to Perkins popełnił oszustwo, jeśli na własną rękę otworzył teczkę, bez pańskiego udziału, to policja będzie szukała odpowiedzi na bardzo ważne pytanie; będzie chciała się dowiedzieć, skąd pan wie, co było w teczce.

- Co pan próbuje sugerować?

- Wie pan, oni nie są w gruncie rzeczy ignorantami. Zaczniemy na chwilę od drugiej strony. Załóżmy, że to pan zabił Stellę Rode, załóżmy, że miał pan powód, bardzo ważny powód, i że oni znają pański motyw. Załóżmy, że tej nocy wyprzedził pan Stanleya Rode, wręczywszy mu tę teczkę; że pojechał pan na przykład na rowerze, „lecząc na skrzydłach wiatru” - jak zeznała Janie. Gdyby ta wersja była prawdziwa, wszystkich tych wymienionych przez pana przedmiotów w ogóle nie byłoby w teczce. A zatem, musiałby pan to zmyślić. A potem, kiedy ogłoszono wyniki egzaminu, zorientował się pan, że Perkins popełnił oszustwo, a zatem musiał zajrzeć do teczki i wiedzieć, że nie było w niej nic, nic oprócz prac egzaminacyjnych. - Przerwał i spojrzał na Fieldinga. -1 w pewnym sensie - dodał, jakby niechętnie - ta wersja wydaje się bardziej prawdopodobna, nie uważa pan?

- A jaki, jeśli mogę spytać, byłby ów motyw, o którym pan wspomniał?

- Być może pana szantażowała. Niewątpliwie wiedziała, że w czasie wojny stanął pan przed sądem, bo mieszkała wtedy na północy. Jej ojciec był tam sędzią, prawda? O ile wiem, sprawdzili to w aktach. To znaczy policja. To właśnie jej ojciec orzekał w pańskiej sprawie. Wiedziała, że jest pan zrujnowany i potrzebuje nowej posady, więc trzymała pana w szachu. Zdaje się, że wiedział również pan D'Arcy. Powiedziała mu o tym. Nie miała nic do stracenia: on przecież był zamieszany w całą historię od samego początku i nigdy nie pozwoliłby na to, żeby dowiedzieli się o niej dziennikarze. Wiedziała o tym, wiedziała, z kim ma do czynienia. Czy pan również zwierzył się Feliksowi D'Arcy, Fielding? Myślę, że mógł pan tak postąpić. Kiedy przyszła do pana, by oznajmić, że o wszystkim wie, kiedy zaczęła z pana szydzić i drwić, wybrał się pan do niego, by mu się zwierzyć. Spytał go pan, jak postąpić. A on powiedział... no, co mógł powiedzieć? Być może poradził panu, żeby dowiedział się pan, czego ona chce. Ale ona nie chciała nic; w każdym razie nie chodziło jej o pieniądze, lecz o coś, co osobie o tak spaczonyj psychice wydawało się znacznie

121

ważniejsze i bardziej satysfakcjonujące: chciała nad panem dominować, uczynić pana swoją własnością. Uwielbiała spiski i tajemnice; wzywała pana na spotkania o absurdalnych porach i w absurdalnych miejscach -w lesie, w opuszczonych kościołach, a przede wszystkim nocą. Nie żądała niczego oprócz pańskiej uwagi; kazała panu słuchać swych przechwałek, opowieści o swych obłąkańczych intrygach, zmuszała pana do służalczego zabiegania o jej względy, a potem pozwalała panu odejść, do następnego razu. - Smiley znów podniósł wzrok. - Widzi pan, oni mogą snuć tego rodzaju domysły. Dlatego musimy się dowiedzieć, kto znał zawartość



teczki. I kto sfalszował pracę egzaminacyjną.

Oboje patrzyli na niego uważnie. Ailsa miała przerażenie w oczach.

Fielding wydawał się nieporuszony, obojętny.

- Skoro mają takie podejrzenia - spytał w końcu Fielding - to na jakiej podstawie zakładają, że ja byłem pewien, iż Rode wróci po teczkę jeszcze tego wieczoru?

- Och, oni wiedzą, że miał się pan z nią spotkać właśnie tej nocy, po kolacji, na której byli u pana - odparł Smiley nonszalancko, jakby chodziło o nieciekawy szczegół. - Na tym właśnie polegała gra, którą lubiła prowadzić.

- Skąd oni to wiedzą?

- Rode twierdzi, że kiedy zegnali się z panem w holu, Stella trzymała tę teczkę w ręku. Kiedy wrócili do North Fields, nie miała jej; wpadła we wściekłość i zwymyślała go za to, że o niej zapomniał. Kazała mu po nią wrócić. Czy dostrzega pan wynikający z tego wniosek?

- Och tak, bardzo wyraźnie - odparł Fielding, a Smiley usłyszał, jak Ailsa Brimley z przerażeniem wymawia jego imię.

- Innymi słowy, kiedy Stella wymyśliła tę intrygę, mającą zadowolić jej naturę, pan uznał to za okazję do zamordowania jej i zrzucenia winy na jakiegoś nieistniejącego włóczęgę, a gdyby to się nie powiodło - na jej męża, którego uznał pan za drugą linię swej obrony. Załóżmy, że zamierzał pan ją zamordować. Chciał pan, jak sądzę, pojechać tam na rowerze któregoś wieczoru, kiedy Rode miał wieczorne zajęcia z uczniami. Miał pan tę pelerynę, kalosze, nawet kabel ukradziony z gabinetu Stanleya Rode, i zamierzał pan pozostawić fałszywy trop. Ale jaka wspaniała okazja nadarzyła się panu, kiedy Perkins przyniósł tę teczkę! Stella chciała się z

panem spotkać, a zapomniana teczka miała posłużyć jej za pretekst. Obawiam się, że tak będą rozumować policjanci. Bo widzi pan, oni wiedzą, że nie zabił jej Rode.

- Skąd to wiedzą? Skąd mogą to wiedzieć? Przecież on nie ma alibi. 122 Smiley zdawał się go nie słyszeć. Patrzył w kierunku okna, na poruszającą się aksamitną zasłonę.

- Co tam jest? Na co pan patrzy? - spytał nerwowo Fielding, ale Smiley jakby go nie słyszał.

- Widzi pan, Fielding - powiedział w końcu - my w gruncie rzeczy po prostu nie wiemy, jacy są inni ludzie; nie ma żadnej generalnej prawdy, dotyczącej istot ludzkich, żadnej reguły, która pasowałaby do każdego z nas. I są wśród nas jednostki tak chwiejne, tak pozbawione osobowości, że budzi to nasze zdziwienie. Czytałem kiedyś opowieść o pewnym poecie, który kąpał się w zimnej fontannie, żeby - przez kontrast - zdać sobie sprawę z własnej egzystencji. Szukał potwierdzenia własnej odrębności jak dziecko, które wrogo odnosi się do rodziców. Można by powiedzieć, że musiał wystawić się na światło słoneczne, aby ujrzeć swój cień i poczuć, że żyje.

- Skąd wiecie, że nie zrobił tego Rode? - powtórzył Fielding, niecierpliwie machając ręką.

- Ludzie tego pokroju... a tacy istnieją, Fielding- czy zna pan ich tajemnicę? Nie czują w sobie nic; ani radości, ani bólu, ani miłości, ani nienawiści. Są zawstydzeni i przerażeni swym brakiem wrażliwości, i ten wstyd, właśnie ten wstyd, Fielding, popycha ich do ekstrawagancji i skłania do niekonwencjonalnych zachowań; muszą poczuć dotknięcie tej zimnej wody, gdyż bez tego są niczym. Otoczenie uważa ich za

kabotynów, fanatyków, kłamców, może za ludzi nadwrażliwych, a oni są w gruncie rzeczy żywymi trupami.

- Skąd to wiecie? Skąd wiecie, że to nie był Rode? - Fielding podniósł gniewnie głos.

- Zaraz panu powiem - spokojnie odpowiedział Smiley.

- Jeśli Rode zamordował swoją żonę, musiał to planować od dłuższego czasu. Ta plastikowa peleryna, kalosze, narzędzie zbrodni, dokładny harmonogram czasowy, wybór Perkinsa jako tego, kto zanieś teczkę do pana - wszystko to dowodzi premedytacji. Można by oczywiście spytać: skoro tak, to po co w ogóle wciągał w to Perkinsa, po co właściwie rozstawał się z tą teczką? Ale pomińmy tę kwestię. Zobaczmy, jak mógłby to zrobić. Wraca po kolacji wraz z żoną do siebie, umyślnie zostawiwszy teczkę u pana. Zostawia Stellę w domu i wraca do pana po teczkę.

Zostawianie teczki u pana byłoby - nawiasem mówiąc - ryzykowne.

Pomijając już fakt, że chyba zamknąłby ją w tych warunkach na kluczyk, jego żona mogła przecież zauważyć, że nie ma jej z sobą, wychodząc od pana. Mogli to również zauważyć pan albo panna Truebody, ale na szczęście

123

nikt nie zwrócił na to uwagi. Odbiera więc teczkę, wraca pospiesznie do domu, zabija żonę, fabrykując fałszywe poszlaki, które mają wprowadzić w błąd policję. Wrzuca pelerynę, kalosze i rękawiczki do paczki przeznaczonej dla uchodźców, zawijają i przygotowuje się do ucieczki.

Być może płoszy go widok Pomyłonej Janie, ale wraca na drogę i wchodzi do domu ponownie jako Stanley Rode. W pięć minut później jest już u Feliksa D'Arcy i jego siostry. Od tego momentu jest przez czterdzieści

osiem godzin pod stałym nadzorem. Może pan o tym nie wie, Fielding, ale policja znalazła narzędzie zbrodni o sześć kilometrów od domu państwa Rode, w przydrożnym rowie. Znalezione je w dziesięć godzin od zawiadomienia o morderstwie; Rode nie miał cienia możliwości podrzucenia go w tym miejscu.

Ale z tym właśnie wiąże się pewien ważny szczegół, Fielding. Tego właśnie policja nie potrafiła dotąd rozgryźć. Przypuszczam, że możliwe byłoby wykonanie fałszywego narzędzia zbrodni. Rode mógł więc zdjąć kilka włosów z grzebienia Stelli, przykleić je za pomocą ludzkiej krwi do kawałka współosiowego kabla i podrzucić ten kabel w rowie, zanim popełnił morderstwo. Ale mógł użyć do tego celu tylko własnej krwi, która miała inną grupę. Tymczasem krew, którą znaleziono na narzędziu zbrodni, była krwią grupy A; do tej samej grupy należała krew Stelli. A więc on tego nie zrobił. Istnieje jeszcze jeden, może bardziej konkretny, dowód jego niewinności. Ma on związek z tą paczką. Rigby rozmawiał wczoraj z panną Truebody. Okazuje się, że dzwoniła ona do Stelli Rode rano w dniu morderstwa. Telefonowała na pańskie polecenie, panie Fielding. Powiedziała, że jeden z chłopców dostarczy trochę używanej garderoby w czwartek rano, i prosiła, żeby do tej pory pozostawić paczkę otwartą... Czym zagroziła panu Stella, Fielding? Że napisze anonimowy list do tej nowej szkoły, w której miał pan uczyć?

Po chwili ciszy Smiley położył dłoń na ramieniu Fieldinga. - Niech pan już idzie - powiedział - na miłość boską, niech pan stąd idzie. Zostało bardzo niewiele czasu, więc przez wzgląd na pamięć Adriana niech pan idzie.

Ailsa Brimley szepnęła coś bezgłośnie. Fielding zdawał się nic nie słyszeć.

Siedział z odrzuconą do tyłu głową i na wpół przymkniętymi oczami, nadal trzymając w swych grubych palcach kieliszek wina.

Dźwięk dzwonka u drzwi zabrzmiał jak krzyk kobiety w pustym domu.

Smiley nie był pewien, co wydało ten dźwięk: czy dłonie, którymi Fielding uderzył o stół, zrywając się na równe nogi, czy też upadające krzesło. Być może nie był to dźwięk, lecz szok wywołany nieoczekiwanym

ruchem Fieldinga, który chwilę wcześniej siedział apatycznie na krześle, a teraz biegł szybko przez pokój. Rigby dopadł go i wykręcił mu prawą rękę w taki sposób, że Fielding krzyknął z bólu i przerażenia, a potem odwrócił go twarzą do Smileya i wygłosił formułkę towarzyszącą aresztowaniu.

- Niech pan go powstrzyma, Smiley, na miłość boską, niech pan go powstrzyma! - zawołał Fielding. - Oni mnie powieszają! - I dalej powtarzał w kółko ostatnie słowa: - Powieszają mnie, powieszają mnie - dopóki nie weszli czekający na zewnątrz detektywi w cywilu i nie wyprowadzili go do stojącego przed domem radiowozu.

Smiley patrzył za odjeżdżającym samochodem, który niespiesznie oddalił się w głąb zalanej deszczem ulicy i zniknął mu z oczu. Stał jeszcze nieruchomo przez dłuższą chwilę, spoglądając w tamtym kierunku, tak że nieliczni przechodnie przyglądali mu się ze zdziwieniem lub zwracali wzrok w tę samą stronę co on. Ale nie było tam nic, co można by zobaczyć. Tylko słabo oświetlona ulica i przesuwane się po niej cienie.